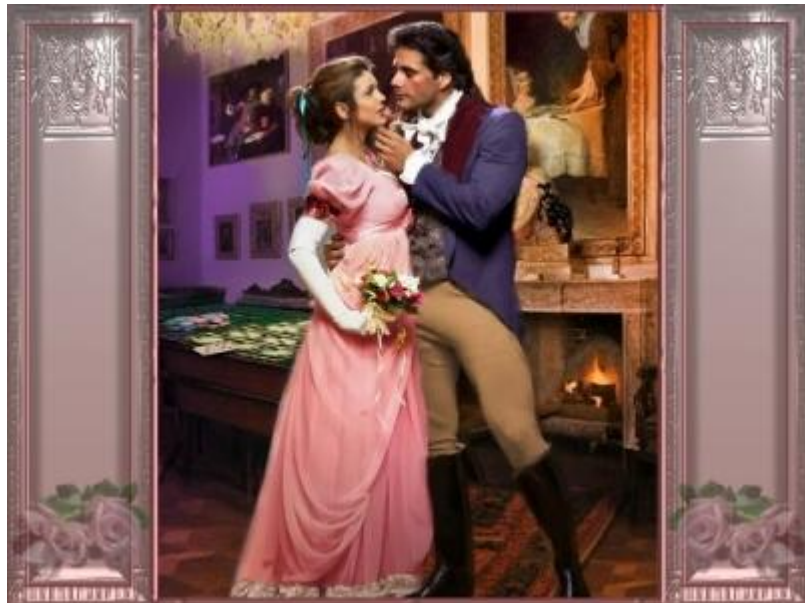




# *Anne Stuart*



# *Ryzykantka*

# Rozdział pierwszy

*Anglia, 1804*

- Rusz ten obsrany tyłek - powiedziała do panny Charlotte Spenser jej wierna pokojówka, Meggie.

- Czy to nie za dosadne? - zapytała panna Spenser.

- Niech się pani nie zastanawia, tylko mówi.

- Rusz ten zasrany tyłek - mruknęła bez przekonania Charlotte.

- Obsrany - poprawiła Meggie.

- Obsrany - powtórzyła posłusznie Charlotte i dodała: - Słuchaj, co mówię. Do jasnej cholery, rusz ten obsrany tyłek. Teraz dobrze?

- Dobrze. Z tym że musi pani mieć naprawdę dobry powód, żeby się tak odezwać, i trzeba się liczyć z tym, że dostanie pani na odlew, ale czasami warto.

- Na odlew?

- Znaczy się w buzię wierzchem dłoni. Bardziej boli z powodu kłykci i pierścieni.

Charlotte popatrzyła na pokojówkę z nagłą ciekawością.

- Twój mąż tak cię bił?

- Żeby tylko tak. Na swoje nieszczęście, raz gdy się spił jak bela i nie wiedział, co robi, wypadł przez okno - oznajmiła obojętnie. - Pierwej piekło zamarznie, niżli dopuszczę teraz do siebie jakiego chłopa. Wszyscy oni to dranie.

- Dranie - powtórzyła Charlotte, upajając się brzmieniem tego słowa. - Obsrane dranie.

- Nie, panno Charlotte. To musi mieć sens.

- Słusznie. Przymiotnik musi pasować do rzeczownika. Czy może być cholerne dranie?

- Jak najbardziej.

- Cudownie - ucieszyła się Charlotte. - Przecwiczę to sobie.

Pani i pokojówka szły dalej ulicą w doskonałej komitywie.

Wracały z cotygodniowego spotkania Stowarzyszenia Starych Panien i Megier Richmond Hill, gdzie całe popołudnie Meggie wprowadzała wysoko urodzone członkinie organizacji w arkany sztuki przeklinania. Charlotte, niestety, odstawała w tej dziedzinie od reszty pań, ale dzięki indywidualnym lekcjom czyniła szybkie postępy.

Były u stóp marmurowych schodów do Whitmore House, gdy drzwi do rezydencji otworzyły się gwałtownie i ich oczom ukazał się widok w pełni zasługujący na określenie „totalny chaos”. Służący miotali się tam i z powrotem, taszcząc kosze kwiatów, pozłacane fotele i wielkie srebrne tace. Kuzynka Evangelina wydawała bal, o czym Charlotte na śmierć zapomniała.

- Do licha! - powiedziała do Meggie. - Kuzynka ma dzisiaj gości.

- Niech pani spróbuje wykrzyknika „cholera jasna” - podpowiedziała usłudźnie Meggie. - Goście - mruknęła pod nosem. - To dwieście darmozjadów.

- Dwustu - poprawiła automatycznie Charlotte. - Do cholery, ile razy mam cię poprawiać, Meggie!

Pokojówka roześmiała się.

- Więcej złości, panno Charlotte. Musi pani dużo ćwiczyć, żeby brzmiało jak należy.

Meggie skręciła do kuchennego wejścia. Charlotte nie zatrzymywała służącej. Nauczyła się, że jej egalitarne przekonania nie dla wszystkich są zrozumiałe. Wyciągnęła Meggie z londyńskich slumsów, gdzie groziło jej stoczenie się na ulicę. Początkowo podopieczna nie doceniała odmiany losu, jaka stała się jej udziałem, ale już od dwóch lat była zaufaną powiernicą panny Spenser. Uratowana od upadku Meggie nie pchała się do domu frontowym wejściem, chociaż, będąc pokojówką Charlotte Spenser, była do tego w pełni uprawniona.

Kiedyś Charlotte zeszła do pomieszczeń kuchennych na filiżankę herbaty ze służbą i zapamiętała nieznośnie sztywną atmosferę, która towarzyszyła temu wydarzeniu. Zrozumiała, że nie ma większych snobów niż brytyjska służba domowa. Jej obecność pod schodami okazała się rażąco nie na miejscu. Nie ponawiała zatem prób fraternizowania się.

Skinęła głową lokajom dekorującym girlandami świeżych wiosennych kwiatów masywne odrzwia do pokoiów recepcyjnych, pokojówce oddała kapelusz, pelerynkę i rękawiczki. Dziewczyna miała na imię Hetty. Dygnęła i rozejrzała się na boki nerwowo, jakby obawiała się gestu życzliwości ze strony Charlotte. Ta jednak wyciągnęła wnioski z poprzednich doświadczeń.

- Gdzie lady Whitmore? - zapytała „pańskim” tonem.

- W gotowalni, panno Spenser. Prosiła przekazać, że oczekuje pani.

- Wiesz, w jakiej sprawie?

- Nie potrafię powiedzieć, proszę panienki.

- Jakżeby inaczej - prychnęła Charlotte, kierując się ku schodom.

Przybrała cierpienniczą minę.

Nie umiała kłamać i Lina natychmiast przejrzy ją na wylot, ale co szkodziło spróbować.

Evangelina, wdowa po hrabim Whitmore, siedziała przy toalecie wpatrzona w swoje odbicie w lustrze. Louise, francuska pokojówka, układała jej włosy. Najwyraźniej własny wygląd nie zadowalał damy, co mogło tylko dziwić. Evangelinę uważano za jedną z najpiękniejszych kobiet w Anglii. Lśniące, wijące się czarne włosy, żywe fiołkowe oczy, mlecznobiała cera, delikatny nosek i zmysłowe usta czyniły ją nadzwyczaj atrakcyjną. Była o dwa lata młodsza od trzydziestoletniej Charlotte. Przypatrywała się sobie równie krytycznie, jak miała to w zwyczaju czynić wobec Charlotte.

- Mizernie wyglądam - powitała kuzynkę zmartwionym głosem. - Dlaczego tak się dzieje, że ilekroć wydaję przyjęcie, wyglądam jak z krzyża zdjęta?

- Prezentujesz się kwitnąco - zaprzeczyła żywo Charlotte, ale przypomniała sobie plan, z jakim przyszła. - Szkoda, że nie czuję się na siłach, by ci towarzyszyć - dodała zboląłym głosem.

- Nawet o tym nie myśl! - Lina odwróciła się do kuzynki, niwecząc pracę pokojówki. - Żadnych chorób. Nabrałam się na to pierwsze trzy razy. Potrzebuję ciebie.

- W ogóle nie zauważysz, czy jestem, czy mnie nie ma - odparła Charlotte, siadając na skraju łóżka tak, aby jej odbicie znalazło się w lustrze obok odbicia Liny.

Dawno temu pogodziła się ze swoim wyglądem. Widząc siebie obok pięknej Liny, pożałowała jednak, że natura nie okazała się dla niej tak hojna jak dla kuzynki. Charlotte nie miała złudzeń co do własnych niedociągnięć. Była za wysoka - górowała nad większością mężczyzn. Poza tym miała rude włosy i piegi, za duży biust, a na dodatek nosiła okulary.

Jakby tych naturalnych braków było za mało, nie dysponowała posagiem i, w opinii większości dżentelmenów, nie wyłączając jej ojca, była za mądra. Za atrakcyjne uważano niewysokie i ładne kobiety, które nie przeczą mężczyznom, nawet jeśli plotą oni oczywiste głupstwa. A jeśli nie dowidziały, mogły nauczyć się rozpoznawać ludzi po głosie. Co zaś do czytania, komu to potrzebne? Takiego zdania był ojciec Charlotte.

Już dawno, bo w połowie żalostnego debiutanckiego sezonu towarzyskiego, Charlotte zaczęła nosić okulary w złoconych oprawkach (przez co jej nos nabrał orlego kształtu, oddalając się od zalotnie zadartego ideału), odmówiła zgody na poddawanie się kuracji mlecznej, pod wpływem której miały wyblaknąć jej piegi (nie blakły, za to stale towarzyszył jej zapach sfermentowanego mleka), i postanowiła zostać starą panną. Prawdę powiedziawszy, okularów wcale nie potrzebowała, ale ponieważ dobrze komponowały się ze stale goszczącym na jej twarzy grymasem niezadowolenia, nosiła je zawsze, nawet jeśli z tego powodu bolała ją głowa.

Decyzja o pozostaniu starą panną zapadła w pierwszych miesiącach owego tragicznego debiutanckiego roku, ale ojciec Charlotte wciąż liczył na zamążpójście córki. Stracił nadzieję, gdy włożyła okulary i zasłynęła z deptania po nogach partnerom do tego stopnia, że stała się postrachem sal balowych.

Drugiego sezonu ojciec jej nie zafundował.

- Oczywiście, że zauważę - odpowiedziała Lina. - Przynajmniej na początku - dała ze swoją zwykłą szczerością, którą rezerwowała wyłącznie dla Charlotte i kilku nielicznych osób. - A poza tym, jeśli mnie nie będziesz osłaniała, jak nawiążę dyskretny flircik z wicehrabią Rohanem?

- Poczekasz na lepszą okazję. Na przykład na przyszłotygodniowe spotkanie w Hensley Court.

- A tymczasem on zainteresuje się inną ładną buzią. Zagięłam na niego parol. Jest wspaniały, cudownie zepsuty i, jak fama niesie, nieziemsko sprawny w łóżku - dodała, przeciągając się lubieżnie.

- Nie wątpię - powiedziała, nawet nie mrugnawszy okiem, Charlotte. - Jednak erotyczna sprawność lorda Rohana nie jest przedmiotem mojego zainteresowania.

- Jesteś beznadziejna, moja droga. Nie wiesz nawet, co tracisz. Ja biorę co najlepsze z mojego wdowieństwa.

Charlotte miała na ten temat inne zdanie, ale przezornie powstrzymała się od jego wyrażenia. Propozycję kuzynki zamieszkania z nią po śmierci jej podstarzałego męża przyjęła z wdzięcznością. Była jedynaczką, jednak rodzice, umierając, pozostawili ją bez pensa przy duszy. Oprócz Liny nie miała nikogo bliskiego na świecie. Pozycja ubogiej krewnej nie była spełnieniem marzeń, a mimo to, przenosząc się do Liny, Charlotte czuła się, jakby złapała Pana Boga za nogi. Jedynym problemem był nieposkromiony temperament kuzynki, równie nieautentyczny co głoszony wszem wobec przez Charlotte brak zainteresowania wicehrabią Rohanem.

- Trudno, nie zmienię się. Niech będzie. Postoję pół godziny za twoimi plecami, gdy będziesz witała gości, a potem zniknę.

- Godzinę - targowała się Lina. - Rohan może okazać się trudny. Możliwe, że będę potrzebowała twojej pomocy.

Charlotte zmroziło.

- Nie zamierzam nawet zbliżyć się do Rohana.

Lina odwróciła się od lustra, znowu psując wysiłki Louise.

- Dlaczego? Nie wiedziałam, że go znasz. Uchybił ci?

- Nic o nim nie wiem oprócz tego, że demonstruje rażący brak poczucia moralności - odparła lodowatym tonem Charlotte. - Rozmawiałam z nim tylko raz w życiu i nigdy nie przebywałam z nim sam na sam - podkreśliła, aby zabrzmiało to przekonująco.

Niechęć do Rohana powinna wyglądać na szczerą. Nie zniosłaby, gdyby Lina domyśliła się prawdy.

- W takim razie dlaczego nie chcesz...

- Nie chcę, i już.



Lina wzruszyła ramionami i usiadła spokojnie przed lustrem. Louise wróciła do pracy, mamrocząc pod nosem francuskie przekleństwa.

- Jak sobie życzysz. Skoro czujesz do niego taką awersję, to poproszę o pomoc przyjaciółkę. Muszę tylko zadbać, by nie złowiła go dla siebie.

- Z tego co wiem o Rohanie, to on już miał wszystkie twoje przyjaciółki.

- Najprawdopodobniej tak - przyznała ze śmiechem Lina. - Gdyby nie spędził ostatniego roku na kontynencie, miałby i mnie. No cóż, jeśli nie dzisiaj, to na pewno dojdzie do czegoś w Hensley Court.

Charlotte zeszywniała.

- Ja też nie mogę się doczekać - powiedziała, zadowolona, że pokojówka kuzynki nie rozumie, o czym mowa.

Lina zatrzymała wzrok na Charlotte.

- Uważasz, że to rozsądne, kochanie? Podziwiam twój dociekliwy umysł i zainteresowanie obserwacją niskich instynktów rodzaju ludzkiego, ale zważ, czy nie posuwasz się za daleko. Może powinnaś poskromić ciekawość.

Charlotte chętnie zgodziłaby się z kuzynką, ale nie pozwoliła jej na to ambicja. Nie zamierzała stchórzyć.

- Skoro planuję spędzić resztę życia w komforcie staropanieństwa, to chciałabym się naocznie przekonać, co tracę, jak to określiłaś. Powoduje mną również zainteresowanie czysto naukowe.

Lina zachichotała.

- Nie mogę ci obiecać, że twoja ciekawość zostanie zaspokojona, jeśli pojedziesz tam w roli obserwatora.

- Uważasz, że powinnam wziąć czynny udział? - Charlotte starała się, żeby pytanie zabrzmiało rzeczowo.

- W żadnym wypadku! Trudno byłoby nazwać to odpowiednim wprowadzeniem w rozkosze sypialni, moja droga. Nie warto się martwić na zapas. Wystąpisz w mnisim habicie z obszernym kapturem, pod którym ukryjesz twarz i włosy. Nikt się nie zorientuje, czy jesteś mężczyzną, czy kobietą, i nikt cię nie zaczepi, jeśli będziesz miała na ramieniu białą opaskę. To absolutnie bezpieczne.

- Tak mówisz, jakbyś samą siebie chciała uspokoić - zauważyła Charlotte.

- Istotnie, rozpraszam raczej własne wątpliwości aniżeli twoje. Gdy się nad tym głębiej zastanawiam, dochodzę do przekonania, że ten wyjazd może ci wyjść na dobre. Jeśli nie natkniesz się na zbyt szokującą sytuację, może ci to nawet pomóc przezwyciężyć awersję do mężczyzn.

- Nie czuję awersji do mężczyzn, a do instytucji małżeństwa, które zniewala kobiety.

- Tak, wiem. - Lina знаła to na pamięć. - Prawdę mówiąc, ujrzysz mężczyzn od ich najgorszej strony, to może cię do nich do reszty zniechęcić. Nie, żebym była zwolenniczką małżeństwa, wręcz przeciwnie. Mam swoje ku temu powody.

- Skoro i tak nie mogę liczyć na zamążpójście, to wszystko mi jedno. Wiesz, jaki mam dociekliwy umysł. A to jedyna dziedzina, o której niczego nie dowiem się z książek.

- Zależy jakich... Mniejsza z tym. Będziemy się dobrze bawić po powrocie do domu, wspominając, jak wielcy tego świata są w gruncie rzeczy żałośni. Pod żadnym pozorem nikomu nie pozwalaj się dotknąć - kontynuowała Lina. - Zresztą, jeśli ktoś spróbuje, będzie miał ze mną do czynienia. Jesteś moją najukochańszą kuzynką i zamierzam cię chronić - podkreśliła. - Dzisiaj wieczorem włóż zieloną jedwabną suknię. Louise cię uczesze. Wypróbuj ostatnią szansę, zanim prysną twoje złudzenia.

- Nie mam złudzeń i nie jestem zainteresowana wypróbowaniem ostatniej szansy, jak to delikatnie ujęłaś. Meggie mnie uczesze.

- Jesteś niemożliwa! Przynajmniej ubierz zieloną suknię, zamiast tej ohydnej brzoskwiniowej - poradziła Lina. - Wygląda tragicznie w zestawieniu z twoimi włosami.

Charlotte wstała. Cmoknęła gładki policzek Liny. Na końcu języka miała uwagę, że w zestawieniu z jej włosami każdy kolor wygląda tragicznie. Z wyjątkiem może zielonego, który sprawia, że jej oczy stają się zielone.

- Spotkamy się na dole u stóp schodów - rzekła, nie obiecując niczego.

Lina z zatroskaniem popatrzyła w ślad za wychodzącą kuzynką, po czym odwróciła się do lustra. Znała ją lepiej, niż ta przypuszczała. Rozumiała, co znaczy błysk w jej oczach, gdy do pokoju wchodził wicehrabia Rohan. Adrian Rohan potrafił zainteresować



sobą nawet Charlotte, która uparcie twierdziła, że dla niej mężczyźni w ogóle nie istnieją. Rohan mógł mieć każdą kobietę, której zapragnął, i zazwyczaj miał. Nieprawdopodobne, by zainteresował się panną, która tak długo siała rutkę, że zasłużyła na miejsce wśród szacownych wdów w koronkowych czepeczkach, zawzięcie plotkujących pod ścianami sal balowych.

Gdyby Rohan zapragnął jednak Charlotte po tym, kiedy Lina go zdobędzie, utraci on wszelki powab w oczach kuzynki. Nie, nieprawdopodobne, by Rohan zabłądził w pobliże kuzynki, rozważała Lina. Na uroki innych mężczyzn, choćby najprzystojniejszych, najbardziej czarujących i najbogatszych, Charlotte jest uodporniona. Zresztą, nikt taki jej nie grozi. Jako uboga stara panna może liczyć jedynie na małżeńską ofertę mało atrakcyjnego niemłodego wdowca lub, co gorzej, pastora. Gdy zobaczy, do czego zdolni są mężczyźni, nie spojrzy na żadnego konkurenta. Lina postanowiła zawieźć Charlotte do Hensley Court, aby ją uchronić od mężczyzn.

Kuzynka nie знаła całej prawdy o tym, jak układało się pożycie Evangeliny ze starym hrabią Whitmore'em, i tak miało pozostać. Lepiej, żeby przykre szczegóły pokryła niepamięć. Tam ich miejsce. Był czas, że Lina w nocy zakrywała twarz poduszką, by nie budzić nikogo głośnym płaczem. To już przeszłość. Nie pozwoli, aby podobny los przytrafił się Charlotte.

Może niepotrzebnie się kłopotuje. Kuzynka przekroczyła granicę wieku, w którym kobiety wychodzą za mąż, była za wysoka, miała za duży biust, żeby dobrze wyglądać w modnych sukniach, i zbyt niezależny umysł, aby schlebiać stroszącym piórka samcom. Jak sobie przez kilka wieczorów popatrzy na ekscesy Niebieskich Zastępów, nie zmieni obecnej opinii na temat miłości i małżeństwa. W sumie szkoda, uznała Lina, bo Charlotte jest doskonałym materiałem na kochającą matkę. Macierzyństwo jednak idzie w parze z małżeństwem, a to za wysoka cena.

- *Voilà, enfin!* - powiedziała Louise.

Cofnęła się o krok, zadowolona ze swojego dzieła.

Lina uważnie popatrzyła na swoje odbicie. Wyglądała doskonale. Dzieło sztuki. Zimne, bez życia i piękne. Wystarczająco dobre, by zwabić do łóżka rozwiązłego wicehrabiego Rohana.

- *Eh bien* - rzuciła krótko.

Wstała od lustra gotowa dokończyć toaletę.

## Rozdział drugi

Charlotte tylko przez chwilę rozważała włożenie zielonej sukni, po czym ubrała brzoskwińnię, na tle której jej świetlista, barwy kości słoniowej cera straciła blask i poszarzała. Do holu zeszła w ostatniej chwili, ponieważ kuzynka była zdolna odesłać ją na górę, żeby się przebrała, gdyby było na to dość czasu. Tymczasem pierwsi goście pokazywali się w wejściu. Lina wyglądała olśniewająco w różowym jedwabnym stroju, idealnie opływającym jej kształtną figurę. Spojrzała z dezaprobatą na Charlotte, która zajęła miejsce za jej plecami.

Gdyby to zależało od Liny, ustawiłaby kuzynkę obok siebie i kazała jej witać gości, ale Charlotte się nie zgodziła. Było niewiele korzyści związanych z pozycją ubogiej krewnej, ta była jedną z nich. Nie musiała stać w pierwszym rzędzie i mizdrzyć się do głupkowatych młodzieńców i podstarzałych bywalców salonów. Trwała na posterunku, lecz spanikowała, gdy dostrzegła szpakowatą grzywę Etienne'a de Giverney, górującą nad tłumem zgromadzonym u wejścia. Tam, gdzie był wytworny hrabia de Giverney, mógł się za chwilę pokazać jego młodszy kuzyn, wicehrabia Rohan, a ona postanowiła nie kusić losu.

Wymknęła się i wmieszała w gości przesuwających się ku sali balowej. Jedyna bezpieczna droga ucieczki do sypialni wiodła kuchenną klatką schodową, znajdującą się na drugim końcu sali. Nie mogła przecież wspiąć się na górę głównymi schodami na oczach licznych gości. Nie chciała ryzykować, choć możliwość, że wicehrabia Rohan zaszczyliłby ją spojrzeniem, i tak była znikoma. Im rzadziej będzie miała do czynienia z tym dżentelmenem, tym dla niej lepiej. Większość kobiet uwielbiała takich awanturników jak on, ona zdecydowanie nie.

Torowała sobie mozolnie drogę przez tłum, niezauważalna jako kobieta nie pierwszej młodości, bez majątku i urody. Drzwi na kuchenną klatkę schodową były tuż-tuż, gdy przed nią wyrosła wysoka sylwetka mężczyzny. Charlotte zorientowała się zbyt

późno i doszło do zderzenia. Uniosła głowę; przed oczami miała piękną twarz Adriana Alistaira de Giverney, wicehrabiego Rohana.

Widocznie szczęście opuściło ją tego wieczoru. Po raz pierwszy okazało się, że nauki Meggie nie poszły w las, albowiem z ust Charlotte wymknęło się przekleństwo.

- Cholera jasna!

Adrian Rohan zdążył ją uwolnić i mruknąć pod nosem zdawkowe przeprosiny. Poszedłby swoją drogą, zatrzymały go jednak te cicho, lecz wyraźnie wypowiedziane słowa. Wbił w nią spojrzenie intensywnie niebieskich oczu, jakby ją dostrzegł po raz pierwszy w życiu, choć byli sobie przedstawiani przynajmniej kilkanaście razy i nawet kiedyś razem tańczyli.

Na jego usta wypełził złośliwy, zwodniczy uśmieszek. Zanim Charlotte zdążyła usunąć się, osłonięta rękawiczką dłoń ujęła ją za łokieć. Zrobił to delikatnie, poprzez materiał, a mimo to Charlotte przeszedł dreszcz.

Do diabła, zakląła w myślach. Dlaczego musiała wpaść właśnie na Rohana?

- Panna... - Usiłował sobie przypomnieć. - Panna Spenser, prawda?

Jak to się stało, że zapamiętał jej nazwisko? - zadała sobie w duchu pytanie. Obracała się w zupełnie innym świecie niż on.

- Przepraszam za niestosowny język. Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie - sumitowała się.

Sytuacja stawała się kłopotliwa. Od swojego debiutu towarzyskiego wodziła za nim wzrokiem poprzez zatłoczone sale balowe, świadoma, że nie powinna tego robić, bo to nie żaden piękny rycerz z bajki, tylko zły czarownik, który rzucił na nią paralizujący urok. Teraz, stojąc z nim twarzą w twarz, czuła się fatalnie. Było jej gorąco, brakowało tchu, dotknięcie jego dłoni paliło. Tymczasem on nie spuszczał z niej wzroku.

- Panna do towarzystwa lady Whitmore, o ile się nie mylę?

- Kuzynka. - Wiedział aż tyle? Skąd? Przecież starała się nie rzucać w oczy.

- Czyż ubogie krewne nie służą często jako panny do towarzystwa?

Było to grubiaństwo, jednak jej przekleństwo było jeszcze bardziej nie na miejscu.

- Pan wybaczy - powiedziała stanowczo, wyrwijąc łokieć.

Puścił, ale chwycił jej obciążoną rękawiczką dłoń. Uśmiechnął się nie bez złośliwości.

- Będę nalegał na taniec, panno Spenser, jako zadośćuczynienie za szokująco złe maniery.

Tylko tego brakowało, pomyślała. W marzeniach, na które niebaczenie sobie pozwalała, tańczyła z nim setki razy pod rozgwieżdżonym niebem, w sukni, która przemieniała ją nagle w skończoną piękność. Nieraz obserwowała go w tańcu, wiedziała, że porusza się po parkiecie z niebywałą elegancją. A jednak było w jego ruchach coś, co sprawiało, że niejedna matrona pod byle pretekstem starała się usunąć z jego zasięgu oddaną jej pieczy niewinną dziewczynę. Mimo to młode damy tłoczyły się wokół niego.

Charlotte nie pilnowała żadna matrona. W zaawansowanym wieku lat trzydziestu była za stara, by uważano ją za niewinną dziewczynę potrzebującą przyzwoitki.

- Nie tańczę - powiedziała. - Proszę mnie puścić.

Rohan jej nie posłuchał. Wpatrywał się w nią, jakby chciał przeświecić ją na wylot. Na szczęście Charlotte jakiś czas temu przestała się czerwienić.

- Proszę mi wyjaśnić, dlaczego odnoszę wrażenie, że pani mnie nie lubi, panno Spenser? - zapytał.

Skrzywiła się. Zazwyczaj jej zniechęcające grymasy odstraszały mężczyzn, lord Rohan okazał się na nie odporny.

- Nie znam pana, milordzie. Jakże mogłabym pana nie lubić?

- Widocznie moja reputacja mnie poprzedza. Ma pani minę, jakby połknęła coś wyjątkowo niesmacznego.

Zaczęto się im przyglądać. Charlotte publicznie nie rozmawiała z mężczyznami dłużej niż kilka minut, a tym bardziej z takim lwem salonowym jak Adrian Rohan. Nie chciała się rzucać w oczy. On zaś ignorował wszystkie kobiety poza tymi, z którymi właśnie romansował. Zazwyczaj bywały skończonymi pięknościami. Zwykła stara panna, jak Charlotte Spenser, nie mogłaby wzbudzić zainteresowania kogoś takiego jak Adrian Rohan.

Ciągle przytrzymywał jej dłoń.

- Gdzie pani karnet? - nalegał.

- Powiedziałam, że nie tańczę - odparła zirytowana nie na żarty.

Lina przestała się upierać, by kuzynka nosiła karnecik, wiedząc, że to przegrana sprawa. Oprócz tego, że nikt nie prosił Charlotte do tańca, to ona sama wiedziała, że nie powinna wychodzić na parkiet, bo ma dwie lewe nogi. Znowu spróbowała uwolnić rękę.

- Proszę mnie puścić. Natychmiast.

Zrozumiała, że stanowczy ton to błąd, ponieważ osiągnęła efekt odwrotny od zamierzonego.

- Ani myślę - uciał.

Była w lekkich i miękkich pantofelkach, odpowiednich do tańca, w którym nie zamierzała uczestniczyć. Uśmiechnęła się nieszczerze, przysunęła do Rohana i całym ciężarem nadepnęła mu na nogę. Na pewno nie zabolalo go tak bardzo, jak tego pragnęła, jednak ją puścił. Zawinęła się wokół niego i umknęła. Bała się, że wicehrabia podąży za nią na kuchenne schody, ale przeceniła go. Zaryzykowała spojrzenie poprzez ramię i przekonała się, że zniknął w tłumie.

Rozległy się pierwsze dźwięki muzyki. Na drugim piętrze była galeryjka, z której widać było salę balową. Kiedy obie z Liną były małymi dziewczynkami, przyglądały się zachowaniu swoich rodziców i ich gości z podobnego miejsca w jej domu rodzinnym. W tamtych czasach uważały, że to, co robią starsi, jest okropnie nudne.

Lina zmieniła zdanie, przetańczywszy swój pierwszy oszałamiający sezon, uwieczony dziwacznym ślubem ze starzejącym się, lecz bajecznie bogatym i wciąż przystojnym hrabią Whitmore'em. Sezon Charlotte był kompletnym fiaskiem. Jej pospolity wygląd, brak posagu i niefortunny zwyczaj mówienia, co myśli, uczyniły z niej towar bezwartościowy w oczach socjety, wycofała się więc do podupadłego majątku rodzinnego. Zresztą, ku utrapieniu rodziców.

Pamiętała wicehrabiego Rohana z tamtych czasów. Jakaś życzliwa pani domu przedstawiła ich sobie, a on, śmiertelnie znudzony, dopełnił ciężącego na nim obowiązku towarzyskiego i poprosił ją do tańca, nie całkiem skutecznie maskując cierpiętniczy wyraz twarzy.

Charlotte nie potrafiła dobrze tańczyć. Rodziców nie było stać na lekcje tańca, umiała tyle, ile nauczyła się od Liny. Nerwowość, wywołana bliskością sekretnie podzi-

wianego mężczyzny, niemal ją sparaliżowała. Deptała mu nieustannie po eleganckich butach, gubiła krok, jednym słowem, okazała się niezdarą. Tymczasem Rohan nic nie mówił, tylko się uśmiechał. Tortury dobiegły końca. Charlotte dygnęła, Rohan skłonił się uprzejmie i powiedział:

- Nie miałem pojęcia, że taniec należy do niebezpiecznych sportów, panno Samson. Może rozważyłaby pani możliwość ostrzeżenia przyszłych partnerów, zanim zaproszą panią do tańca.

Fakt, że nie zapamiętał jej nazwiska, był pocieszeniem, nie dodatkową obrazą. Charlotte nigdy więcej nie stanęła publicznie na parkiecie. Okrutna uwaga Rohana nie wyleczyła jej z zauroczenia tym mężczyzną. Przy nieczęstych okazjach, gdy towarzyszyła Linie podczas wieczornych przyjęć, wodziła za nim wyglodniałym wzrokiem, a kiedy się dowiedziała, że wyjechał na kontynent, oprócz ulgi poczuła coś na kształt zawodu.

Po jego powrocie spotkali się dwukrotnie. Patrzył na nią z taką samą obojętnością, z jaką traktował wszystkie kobiety poza wyjątkowo pięknymi. W jego oczach Charlotte Spenser należała do tłumu przeciętnych panien desperacko poszukujących męża. Ona sama się do nich nie zaliczała. Rodzice zmarli, zrujnowany majątek przeszedł na najbliższego męskiego krewnego, dalekiego kuzyna, którego nie poznała. Evangelina owdowiała i błagała ją, aby się do niej przeniósła, co Charlotte skwapliwie uczyniła. Starannie unikała wszelkich towarzyskich okazji, a więc znikła z rynku małżeńskiego i w gruncie rzeczy była szczęśliwsza niż kiedykolwiek wcześniej. Mieszkała ze swoją najlepszą przyjaciółką i kuzynką oraz udzielała się w środowisku emancypantek.

Rohan wrócił, gdy Europa ponownie pogrążyła się w wojnie. Spokój ducha Charlotte prysł. Nie wątpiła, że Lina znów wyjdzie za mąż i chociaż Whitmore'owi nie dała dziedzica, Charlotte była pewna, że w następnym, szczęśliwszym związku zostanie matką. Może jej przypadnie rola pomocnej przyszywanej ciotki-rezydentki, o ile nowy mąż Liny zechce ją tolerować.

Rzuciła ostatnie spojrzenie na salę balową. Adrian Rohan już o niej nie pamiętał, nachylony ku urodziwej młodej kobiecie. Było w tym niejake pocieszenie, bo Charlotte w żadnym wypadku nie chciała narażać się na śmieszność.



Ruszyła powoli na górę, nie zwracając uwagi na zdziwione spojrzenia mijających ją służących. Urządzony z przepychem apartament zajęła na usilne życzenie kuzynki. Meggie gdzieś się zapodziała, ale dla Charlotte było to bez znaczenia. Jej stroje były mało skomplikowane, mogła się sama ubrać i rozebrać. Posiadanie pokojówki do osobistej posługi było luksusem całkiem świeżej daty. O ile posługę dość nieokrzesanej Meggie można było nazwać luksusem.

Rozpuściła długie, gęste włosy, wyszczotkowała je i splotła w warkocz. Woda w umywalce była przyjemnie chłodna. Zwilżenie rozpalonej twarzy sprawiało ulgę. Pościel też była chłodna. W kominku nie rozpalono, chociaż palenisko zostało przygotowane. Charlotte zdmuchnęła świecę i zaciągnęła koce po sam nos.

Ciągle czuła dotyk dłoni Adriana przytrzymującego jej łokieć. Była kobietą nieznoszącą przymusu, niedającą się zastraszyć. Dlaczego gładziła miejsce, którego dotykał? Czyżby kompletnie zgłupiała? Niestety, taka była ponura i trudna do przyjęcia prawda. Zakochała się w Adrianie Rohanie. Nic, ani jego grubiaństwo, ani plotki o jego gorszących ekscesach czy jej krytyczna opinia o nim nie mogły tego zmienić. Wymyślając sobie w duchu od idiotek, zapadła w niespokojny sen.

Panna Leonard była równie piękna jak głupia. Adrian Alistair Rohan nudził się niewymownie. Zazwyczaj niewinny flirt pozwalał mu przetrwać wieczór. Zaciągnął pannę Leonard w ustronne miejsce, gdzie pozwoliła mu się pocałować. Kradzione ukradkiem pocałunki dawno utraciły dla niego urok, lecz o panie Leonard mówiono, że ma wielką praktykę w tej dziedzinie i nawet zasługuje na miano ekspertki w całowaniu. Był zatem ciekaw, czy on mógłby ją nauczyć czegoś nowego.

Doszedł do wniosku, że wolałby uczyć nerwową i pociągającą pannę Spenser, chociaż sam nie wiedział dlaczego. Ubierała się koszmarnie, miała okropne maniery. Ile razy ją spotykał, zachowywała się tak, jakby chciała dać mu do zrozumienia, że popełnił straszliwą zbrodnię. Fakt, miał zszarganą reputację, ale przekonał się, że w oczach większości kobiet czyniło go to bardziej pociągającym. Interesujące było to, że panna Charlotte Spenser wodziła za nim wzrokiem. Uważał, że to zabawne. Wyraźnie go nie lubiła i potępiała jego tryb życia, a jednak, gdy myślała, że nikt tego nie widzi, obserwowowała go.

Będąc ubogą krewną i starą panną nieobdarzoną specjalną urodą, trzymała się na uboczu i myślała, że jej zainteresowanie nim pozostanie niezauważone. Widać było również, że nie obchodził jej nikt inny.

Adrian był przyzwyczajony do tęsknych spojrzeń, jakimi wodziły za nim kobiety. Był bogaty, utytułowany, a po rodzicach odziedziczył ponadprzeciętną urodę. Przystojnej sylwetki, pięknej twarzy, intensywnie niebieskich oczu, tak podobnych do oczu jego ojca, nie zawdzięczał sobie. Akceptował je bez specjalnej próżności jako dar losu. Dar ten pozwalał mu folgować nienasyconemu apetytowi na życie.

Nie należał do najprzystojniejszych młodych mężczyzn w towarzystwie. Palmę pierwszeństwa w tej dziedzinie dzierżył bezapelacyjnie Montague. Do najbogatszych również się nie zaliczał.

Był tylko wicehrabią, nie księciem, nawet nie markizem, chociaż ten tytuł dostanie po śmierci ojca. Miał niewyparzony język i nie tolerował głupoty.

A jednak obserwowała go, gdy tańczył z którąś z piękności sezonu, żartował z przyjaciółmi, przycierał nosa nuworyszom, za dużo pił i od czasu do czasu robił z siebie głupca. Adrian zastanawiał się dlaczego.

Jedno wytłumaczenie, pozostające w świecie fantazji, było takie, że planowała go zabić. Uboga krewna, nader często upokarzana, żyła zemstą. Musi uważać, bo kolejna szklanka grzanego wina może się okazać zatruta. Zapewne zasłużył na to, ale wątpił, by panna Spenser posunęła się do przestępstwa. Prawdopodobnie wodziła za nim wzrokiem z tego samego powodu, co połowa kobiet z towarzystwa: podkochiwała się w nim.

Gdyby kiedykolwiek zdobyła się na rozmowę, chętnie by jej wyjaśnił, że nie istnieje coś takiego jak miłość. W ich świecie panowało przekonanie, że kobiety są czyste i romantyczne, a mężczyźni to brudne i lubieżne bestie. On wiedział, że jest na odwrót.

Panna Spenser pragnęła go. Oczywiście chciała, żeby towarzyszyły temu bukietki kwiatków, pochlebne słówka i małżeńskie obietnice, ale w gruncie rzeczy marzyła, by spoczęły na niej jego dłonie i zerwały z niej te koszmarne stroje, które nosiła.

Adrian z ochotą spełniłby jej oczekiwania, rzecz w tym, że nie sięgał po dziewice z dobrych domów. Sama myśl o tym, że może wylądować przykuły małżeńską przysięgą do jakiejś złorzeczącej, wiecznie niezadowolonej istoty na podobieństwo panny Spenser,

napełniała go zgrozą. Ojciec dopilnowałby, żeby syn zrobił, co do niego należy, niepomny na swoją bujną młodość.

Pannie Spenser nie pozostaje nic innego, jak nadal obserwować go i wzdychać. A on powinien powściągnąć pokusę sprawdzenia, czy te zacięte usta da się zmiękczyć i skłonić, żeby spoczęły tam, gdzie on by sobie życzył. Gotów byłby iść o zakład, że zdołałby tego dokonać, i znał kilku przyjaciół, którzy z radością postawiliby wysokie stawki.

Adrian miał kochankę lub będzie miał, gdy znajdzie następczynię boskiej Marii, która uznała, że czeka ją lepsza przyszłość u boku pewnego starego grubasa z okazałym portfelem. Zbliży się zjazd Niebieskich Zastępów. Adriana cieszyła ta perspektywa. Może zdoła namówić którąś z dam, aby ubrała się równie nietwarzowo, jak to ma w zwyczaju panna Spenser, i zabawiła się prawieniem mu morałów. A wtedy on potraktuje ją tak, jak by chciał, ale nie może, potraktować Charlotte. Odpowiednie imię. Brzmi zasadniczo. Właściwie nie wiedział, dlaczego go zainteresowała, chyba tylko na zasadzie nowości.

Z drugiego końca pokoju dobiegał perlisty śmiech lady Whitmore. Adrian uśmiechnął się do siebie. A może powinien się zająć piękną kuzynką panny Spenser? Szlachetny kompromis z jego strony i jakże łatwy w realizacji. Do czasu powrotu do Londynu prawdopodobnie zapomni o pannie Spenser i jej stęsknionych oczach. Nie wolno mu zabawiać się z pannami, a w każdym razie nie, jeśli ceni sobie wolność. Mógłby jednak mieć młodą wdowę.

- Drogi chłopcze, wszędzie cię szukam. - Kuzyn mówił z silnym francuskim akcentem.

Adrian przekazał pannę Leonard kolejnemu tancerzowi.

Etienne de Giverney był właściwie kuzynem jego ojca, wiekiem bliższy markizowi niż Adrianowi. Jednakże Etienne przyłgnał do młodszego krewniaka, Adrian zaś chętnie przebywał w jego towarzystwie. Po pierwsze, dlatego, że rodzice Adriana nie byli najlepszej opinii o kuzynie, po drugie, z tego powodu, że Etienne lubił balansować na granicy skandalu. Adrian ułatwił Etienne'owi wejście do angielskiej socjety, a ten zrewanżował się wprowadzeniem Adriana w krąg największego wtajemniczenia w Niebieskich Zastępach. Adrian zaakceptował to skwapliwie, bo jego ojciec, który niegdyś sam wiódł

prym w ich hulankach, teraz gardził tym towarzystwem. Taki już był ten jego ojciec. Wyglądało na to, że zapomniał o własnej burzliwej młodości.

Etienne znał najbardziej zdrożne rozrywki, jakim oddawano się w eleganckim świecie. To on ukazał Adrianowi przyjemności palenia opium. To on rozbudził w nim zamiłowanie do wyścigów dwukółek. Stawki, jakie oferował, były wyższe od tych, które ryzykował Adrian, i szczęście na ogół mu dopisywało.

Na Adrianie nie robiły wrażenia ani wygrane, ani przegrane. Jego majątek, nawet teraz, gdy szacowny rodzic nie powierzył jeszcze ducha Bogu, był znaczny, choć może nie tak wielki jak tego tłustego nababa, którego wybrała Maria.

Przed nim trzy dni wyrafinowanych rozrywek, jak również miła perspektywa spotkania najlepszego przyjaciela, Montague'a. Nie starczy czasu na myślenie o panie Spenser, był o tym głęboko przekonany.

- Nudno tu - powiedział Etienne. - Chodźmy zobaczyć, czy znajdzie się lepsza zabawa w Le Rise.

Le Rise było osławionym domem rozpusty. Przy zielonych stolikach obowiązywały wysokie stawki, czasami szokująco wysokie, wina dawały się pić, a innym rozrywkom trudno było się oprzeć. Wstęp do Le Rise był przywilejem wybrańców. Adrian należał do pierwszych członków tego klubu. Etienne'a przyjmowano jako jego gościa.

- Jeśli się nie znajdzie, to znaczy, że jesteśmy zużytymi starymi szkapami - odpowiedział doskonałą francuszczyzną Adrian.

Etienne roześmiał się.

Adrianowi przyszło do głowy, że chyba trafił w samo sedno.

## Rozdział trzeci

W innych okolicznościach wyjazd za miasto cieszyłby Charlotte. Nie zdołała polubić Londynu. Był hałaśliwy, cuchnący i brudny. Choć ceniła londyńskie teatry, biblioteki i możliwość spotykania tak samo myślących jak ona kobiet, wypad na wieś zawsze działał na nią ożywczo.

Charlotte nie miałaby nic przeciwko temu, aby podróż dobrze resorowaną kolaską Liny trwała w nieskończoność. Kuzynka poradziła jej, żeby włożyła kapelusz skrywający niemal całą twarz i trzymała pochyloną głowę. Miała nadzieję, że zostanie wzięta za pokojówkę Liny, ponieważ nawet w takich okolicznościach dama nie mogła się obywać bez osobistej posługi. Zabrały także Meggie i gdyby ktoś się pytał po co, odpowiedź brzmiałaby, że hrabina Whitmore potrzebuje osobistej fryzjerki. Nikt jednak nie pytał. Troska o to, co wypada, a co nie wypada, nie zaprzętała gości Hensley Court.

Rozłokowały się w niepokojąco normalnych pokojach we dworze i jak na razie nie spotkały nikogo, nawet niedomagającego pana domu. Nerwowość Charlotte zaczynała maleć.

- To bardzo proste, kochanie - wyjaśniła beztroskim tonem Lina przy popołudniowej herbacie, którą podała niezawodna służba. - Od stóp do głów będzie cię zakrywał mnisi habit. Jesteś wysoka, wszyscy będą cię brali za mężczyznę. Postaraj się nie garbić. Prostuj plecy, ale pochylaj głowę. Nie musisz nic mówić. Brązowy kolor habitu będzie świadczył o tym, że złożyłaś ślub milczenia, a twój status obserwatora sygnalizowała biała opaska na rękawie. Możesz poruszać się swobodnie po całym terenie, ale pod żadnym pozorem nie zbliżaj się do Portalu Wenus. Tam nie obowiązują żadne reguły. Zwracam ci na to uwagę teraz, zanim będę zajęta. Możesz wchodzić do każdego pomieszczenia, chyba że drzwi będą zamknięte. To zazwyczaj sygnalizuje krawat dżentelmena wiszący na zewnątrz. Oznacza, że znajdujące się w środku osoby nie życzą sobie, aby im przeszkadzano.

- Osoby? - spytała niepewnie Charlotte.

Coś, co miało być zabawą, zaczynało wyglądać zbyt serio, a było za późno, żeby się wycofać.

- Kochanie - tłumaczyła cierpliwie Lina na tym to polega. Przecież jako obserwator nie musisz sama brać w niczym udziału.

- Zdejmujesz mi kamień z serca - odparła ironicznie Charlotte.

Lina spojrzała bacznie na przyjaciółkę. Zdażyła się już przebrać w uszyty na miarę jedwabny zakonny habit. Nie przykryła jeszcze głowy kornetem. Wijące się czarne włosy i błyszczące oczy uczyniły z niej zalotną zakonnicek.

- Jeśli zmieniałś zdanie, a zaczynam myśleć, że powinnaś, nikt ci tego nie weźmie za złe. Stangret odwiezie cię do Londynu albo możesz zostać we dworze i korzystać z gościnności Montague'a. On zatrudnia najlepszych kucharzy na świecie. Jeśli goście mają dość zabawy, udają się do opactwa, które zostało specjalnie urządzone w tym celu, więc mało prawdopodobne, że natkniesz się na kogoś w domu. Wiedz, że do przemieszczania się między dworem a opactwem potrzeba łodzi.

- Idę z tobą - ucięła Charlotte.

- Jak chcesz. Jestem przekonana, że jedyny uszczerbek, jakiego doznasz, będzie dotyczył sfery twojej duchowej niewinności. Nikt cię nie tknie. Jeśli mimo wszystko się to zdarzy, krzycz wniebogłosy.

- Czy nie zwrócę wtedy na siebie uwagi? Przecież mam udawać, że nie jestem kobietą. Będę w męskim habitcie.

- Nie martw się. Wiele kobiet będzie w męskich habitach. Podejrzewam, że i tak niektórzy poznają po sposobie chodzenia, że jesteś kobietą.

- Umiem chodzić jak mężczyzna.

- Niestety, nie. Ślicznie kołyszysz biodrami. Zawsze próbowałam cię naśladować. Tobie wychodzi to naturalnie, zazdroścę ci. Dobrze, że nie tańczysz. Gdyby ludzie zobaczyli, jak się poruszasz, nie mogłabyś dłużej podpierać ścian, nie opędziłabyś się od mężczyzn.

- Nie potrzebuję mężczyzn. Jest mi dobrze z tobą. Jeżeli uważasz moje towarzystwo za męczące, zawsze możesz...

- Teraz jesteś męcząca. Jesteś moją kuzynką, bliską jak siostra, jedyną istotą ludzką, której ufam. Nie osądzasz mnie, choć wiem, że nie pochwalasz mojego swobodnego stylu życia. Chcę, żebyś była przy mnie tak długo, jak wytrzymasz.



- A jeśli ponownie wyjdiesz za mąż? Wątpię, czy twój małżonek zechce mnie tolerować.

- Nie zamierzam ponownie zawierać małżeństwa - oznajmiła zdecydowanie Lina.

Charlotte odniosła wrażenie, że kuzynka cofnęła się myślami w przeszłość i przypomniała sobie coś bardzo przykrego. Podejrzewała, co to mogło być.

Lina jednak szybko otrząsnęła się z przykrych wspomnień.

- A gdybym zgłupiała i zmieniła zdanie, masz mnie porządnie stłuc, żebym wróciła po rozum do głowy. - Sięgnęła po mocno wykrochmalony kornet, włożyła go i odwróciła się do przyjaciółki.

- Nie wiem, czy szminka do ust pasuje do tego przebrania - zauważyła Charlotte.

- Na tym polega przewrotność sytuacji. Zdejmij suknię, będzie wystawała spod habitu. - Lina zbliżyła się do kuzynki, aby jej pomóc się rozebrać. - Większość kobiet nie wkłada niczego pod kostium. Noc zapowiada się gorąca, ugotujesz się w tym ubraniu, zwłaszcza jeśli zaciągniesz kaptur na głowę.

- Rozbieram się tylko do kąpieli, a gdyby to ode mnie zależało, kąpałabym się w ubraniu - zaprotestowała Charlotte.

- Co za męcząca dziewczyna - powiedziała z czułością Lina. - Meggie, podaj czarną koszulę. Nie będziesz naga pod habitem.

- Nie.

- Nie ma rady. Jeśli chcesz uchodzić za mężczyznę, musisz zdjąć gorset. Zaufaj mi. Nie uwierzysz, jak swobodnie poczujesz się w samej koszuli. Nikt ci nie będzie zaglądał pod habit. Jak chcesz, możesz zostać w podwiązkach i pończochach. Wiele kobiet tak robi, nawet jak idą z kochankiem do łóżka.

- Naprawdę?

Meggie z wprawą rozpięła guziki sukni swej pani.

- Owszem. Mężczyźni uważają je za podniecające. Kobiety także, zarówno te, które je używają, jak i te, które... lubią kobiety, które je noszą.

- Ciągle nie pojmuję, jak to możliwe. Nie rozumiem, jak mężczyźni...

Lina krytycznym okiem przyglądała się kuzynce, z której Meggie zdążyła zdjąć gorset.

- Moja droga, masz całkiem kształtne piersi. Dlaczego je krepujesz?

Charlotte szybko zasłoniła się skrzyżowanymi ramionami.

- Przeszkadzają mi.

- Zdejmij też obręcze, najdroższa. Zdradzą cię szybciej niż piersi.

- Czy możemy przestać rozmawiać o moich piersiach? - błagalnym tonem zapytała Charlotte.

- Moja droga, zaczynam mieć wątpliwości, czy to rozsądny pomysł. Jesteś za bardzo niewinna - uznała Lina.

Charlotte nie cierpiała, gdy rozmowa schodziła na temat jej niewinności. Odczuwała silną pokusę, aby się wycofać, ale nienawidziła tchórzostwa prawie tak samo gorąco, jak rozmów o swej niewinności. Była kobietą, ale miała naukowe zainteresowania i uważała, że nic nie powinno ograniczać jej pędu do wiedzy.

Chciała wiedzieć, co dzieje się między mężczyznami a kobietami. Jej zdaniem, była to ciekawość jak najbardziej usprawiedliwiona i Charlotte uważała, że może ją zaspokoić bez szkody dla siebie. Szaleni Mnisi byli pozerami, ich rozpusta była na pokaz. Charlotte uważała, że jedynym zagrożeniem dla niej będzie to, że się zanudzi w ciągu tej długiej nocy.

Zsunęła obręcze, służące do podtrzymywania krynoliny. Została w białej koszuli, majtkach, pończochach i podwiązках.

- Wystarczy - powiedziała.

- Nie, moja droga. - Lina pokręciła głową. - Zdejmij resztę. Ja na twoim miejscu zdjąłabym też pończochy. Mogą ci przeszkadzać, jeśli zechcesz uciekać.

- Dlaczego miałabym uciekać? - zaniepokoiła się Charlotte.

- Różnie bywa. Obiecuję, że będę w pobliżu, w razie gdybyś znalazła się w niewygodnej sytuacji. Zrób, o co proszę. Czarna koszula i nic poza tym. Docenisz swobodę, jaką ci da.

Charlotte bez przekonania ustąpiła kuzynce, pozbywając się ostatniej części garderoby.

- Gdzie habit?

Meggie podała kostium, mamrocząc pod nosem. Od początku nie podobała się jej ta eskapada, ale Charlotte uparła się. Habit był uszyty z ciężkiej brązowej tkaniny, bez wątpienia o wiele lepszego gatunku niż prawdziwe mnisie habity. Kaptur był obszerny, rękawy długie.

Charlotte odetchnęła z ulgą i uznała, że nikt jej nie rozpozna.

Zbliżyła się Lina ze skrawkiem białego materiału, który obwiązała wokół rękawa.

- Nie zapominaj o tym. To twoja przepustka.

- A gdybym ją zgubiła?

Lina zrobiła minę jak matka, która po raz pierwszy wyprawia dziecko do szkoły.

- Nic strasznego się nie stanie. Jeśli zgubisz opaskę i ktoś cię zaczepi, po prostu powiesz „nie”. Oni honorują odmowę.

- A cóż to ma wspólnego z honorem? - wtrąciła zaczepnie Meggie.

- Swoistym - ucięła Lina. - Jesteś gotowa, Charlotte? Jeszcze nie za późno na zmianę zdania. Ściemnia się. O zachodzie słońca musimy znaleźć się w opactwie.

- Nie zmienię zdania, Lino.

- W takim razie spuść głowę i milcz. Jeszcze jedno. Uczestniczę w tym z własnej nieprzymuszonej woli. Gdybym wiedziała, że zaczniesz o mnie źle myśleć, nie przywołabym cię tutaj.

- Nigdy nie pomyślę o tobie źle. Możesz robić wszystko, co ci sprawia przyjemność, na równi z mężczyznami. Obiecuję, że nie będę cię osądzać - przyrzekła Charlotte.

- Nie będziesz, prawda? - upewniła się Lina. - Mimo wszystko zastanawiam się, czy nie powinnam znaleźć kogo innego, kto będzie miał na ciebie oko. Ten rodzaj zajęć, którym zamierzam się oddawać, nie przynosi zaszczytu. Nie jestem pewna, czy chciałabym, żeby taki mój obraz stawał ci przed oczami, ile razy na mnie spojrzysz.

Charlotte poczuła nagle nieprzyjemny skurcz żołądka.

- Jak uważasz. Jeśli nikt nie będzie mnie nagabywał, wszystko będzie w porządku.

- Uwierz mi. Nikt cię nie zaczepi. Uczestników tej niekonwencjonalnej imprezy pod hasłem „Róbcie, co chcecie” obowiązuje zasada, że nikogo nie wolno do niczego zmuszać.

Charlotte spojrzała na białą opaskę na rękawie.

- Wierzę ci, Lino. Nie martw się - powiedziała, choć wcale nie była co do tego przekonana.

Adrian stał z boku, obserwując ceremonię. Nie włożył habitu ani innego przebrania, w jakich gustowali uczestnicy imprezy. Wolał grzeszyć jawnie. Szczycił się tym, że nie ma rzeczy, której nie byłby gotów zrobić. Nie zamierzał ukrywać się przed nikim, włącznie z jego szanowanym, skorym do krytyki ojcem-hipokrytą, który dopuszczał się takich samych ekscesów w jeszcze późniejszym wieku niż Adrian, liczący sobie dwudziesty ósmy rok życia.

Matka to inna sprawa. Za bardzo się o niego martwiła. Adrian mógł polegać na jej dyskrecji, nieraz kryła go przed ojcem. Pragnęła, aby się ożenił, dał jej wnuki, i Adrian zakładał, że w końcu się na to zdobędzie po to tylko, by ją uszczęśliwić. Nie byłaby uradowana, wiedząc, że jej syn bierze udział w wyuzdanych spotkaniach. Ktoś lepszy niż on liczyłby się z jej odczuciami, ale przecież był złym człowiekiem, o czym kuzyn Etienne, hulaka, birbant i rozpustnik najgorszego gatunku, z radością go zapewniał. Pochwały z ust Etienne'a powinien przyjmować jako wyraz najwyższego uznania, nie był jednak z siebie szczególnie dumny. Generalnie, Adrian odczuwał jedynie przyjemności, jakich dostarczają zmysły.

Thomas Montague stał na podium. Z ironicznym uśmiechem na inteligentnej twarzy witał różnobarwny tłum. Był blejszy niż zazwyczaj. Adrian uzmysłowił sobie, że Monty musi być chory. Przyjaciel drżącą dłonią wysoko uniósł puchar, z którego mieli pić wszyscy. Adrian na ogół unikał tej części imprezy - był zbyt wybredny, by umoczyć usta w tym samym kielichu, co inni. Poza tym nie ufał składnikom tworzącym mieszankę wina i wywaru z ziół. Przy jednej z podobnych okazji eliksir ze sporyszu przyprawił całe towarzystwo o halucynacje prowadzące w skrajnych przypadkach do utraty świadomości. Jeden z jego znajomych, niejaki Pawlfrey, nie wrócił do rzeczywistości. Dopełniał teraz żywota zamknięty w rodzinnym majątku na wsi jako kompletny wariat.

Adrian miał więcej wiary w wytrzymałość swojego umysłu, wolał jednak sam decydować o używkach, jakie przyjmuje. Wiedział, że dobrze toleruje absynt czy opium,

ale umiejętnie je dawkował. Nie dopuszczał myśli, że mógłby narażać się na skutki użycia jakiejś nieznanej substancji.

Zauważył lady Whitmore. Bez wątpienia należała do najpiękniejszych kobiet w londyńskim towarzystwie i nie kryła, że chętnie zawarłaby bliższą znajomość z Adrianem. Wystarczyło dać jej znak głową, w którą stronę powinna się udać, a w ciągu niewielu minut już tuliłby ją w ramionach.

Coś go jednak powstrzymało. Przy całej swojej zalotności, rzucaniu omdlewających spojrzeń, sprawiała na nim wrażenie kobiety zimnej. A może namówi do igraszek jej sztywną kuzynkę, pannę Spenser? Przekonałby się, czy jej piersi, brzuch i uda pokrywają takie piegi jak te, które widać na twarzy.

W tym momencie Montague uniósł głos w chwiejnym crescendo i przekazał pułch stojącej najbliżej osobie, po czym wycofał się z pierwszej linii. Lady Whitmore nie mogła się doczekać swojej kolejki. Adrian wiedział, że musi się zdecydować. Evangelina Whitmore była piękna, chętna i nigdy jej nie miał. Tylko głupiec by się zastanawiał.

Kiedy przesunęła się do przodu, zauważył skrytego do tej pory za jej plecami wysokiego mnicha. Zmarszczył brwi. Wybrała już partnera na najbliższą godzinę, a może na całe trzy dni? Dostrzegł białą wstążkę na ramieniu mnicha. Oznaczała, że jest jedynie obserwatorem. Ze zdziwieniem zauważył, że Lina i mnich się rozdzielają. Zastanawiał się, czy się nie pomylił. Był niemal pewny, że tych dwoje jest razem, a jednak Evangelina zniknęła w ciemnościach. Skoro lady Whitmore odeszła, to on musi znaleźć inną kobietę, równie atrakcyjną.

- Wahasz się?

Do Adriana podszedł Etienne.

- Ta, która wpadła mi w oko, zniknęła. Rozejrzę się za kimś innym - rzekł od niechcienia Adrian.

Nie odrywał wzroku od tajemniczego mnicha. Sposób poruszania się sugerował, że musi być dość młody i chyba niepewnie czuje się wśród dekorujących ogród posągów.

- Sądzę, że już znalazłem swoją muzę.

- Zmieniłeś preferencje, *mon cousin*? - Francuz podążył za jego wzrokiem.

- To kobieta - odparł Adrian, śledząc wzrokiem postać oddalającą się w głąb Ogrodu Rozkoszy.

- Skoro tak twierdzisz - mruknął Etienne. - A zatem baw się dobrze.

Adrian ruszył w ślad za przebraną za mnicha panną Spenser. Tak, domyślił się, że to ona. Chował się w cieniu, żeby jej nie spłoszyć.

Zatrzymała się przed rzeźbą „Porwanie Sabinek” i znieruchomiała. Artysta dał się porwać fantazji, chcąc pewnie podkreślić erotyczną wymowę sceny. Adrian domyślił się, że Charlotte się zgorszyła. Zachichotał. Biedna niewinna owieczka.

Ruszyła dalej w głąb oświetlonych pochodniami ogrodów, uciekając przed tłumem. Ktoś od czasu do czasu wołał, by zdjęła białą opaskę i przyłączyła się do nich, ale ona kręciła przecząco zakapturzoną głową i szła przed siebie.

Czy Lina uprzedziła Charlotte, że nie powinna przekraczać Portalu Wenus? Kiedy uczestnik znajdzie się po drugiej stronie tego pięknie zaprojektowanego obiektu, stanie się zwierzyną łowną, chyba że nie jest już sam. Swoją drogą, co ona tu robi? Nie mieściło mu się w głowie, po co niezamężna kobieta z dobrego domu, na domiar wszystkiego stara panna, postanowiła wziąć udział w spotkaniu najbardziej rozwiązłych kręgów londyńskiej socjety.

Szedł za nią, ignorując kierowane pod jego adresem zaproszenia. Tymczasem ona zbliżała się do Portalu Wenus i prawdopodobnie nie miała pojęcia, z czym wiązało się wejście do wewnętrznego ogrodu. Charlotte przystanęła przy innej rzeźbie. Adrian zbliżył się, by nie umknęła mu jej reakcja. Zauważył obrzydzenie malujące się na jej twarzy. Spozregł też, że biała opaska obluzowała się na rękawie.

Na co liczyła Lina, przywożąc Charlotte ze sobą do Hensley Court? Na wyrozumiałość zblazowanych rozpustników? Musiała wiedzieć, że nie znają litości. Dotychczas udawał, że nie rozumie zawołanego zaproszenia w oczach Charlotte. Wysyłała je pod jego adresem, nie będąc tego świadoma. O tym był przekonany. Teraz sama pchała mu się w rękę. Czy mógł się oprzeć? Nawet nie będzie próbował.

- Rohan! - odezwał się w ciszy czyjś głos. - Dołącz do nas!

Adrian dał znak, że nie przyjmie zaproszenia, ale było już za późno. Charlotte usłyszała jego nazwisko. Odwróciła się i zamarła. Czego się spodziewała? - pomyślał z



odrobiną irytacji. Musiała przecież wiedzieć, że on tu będzie. Dzielilo ich jakieś trzydzieści kroków. Nagle, ogarnięta paniką, popełniła fatalny błąd. Pomknęła skrytą w zaroślach ścieżką ku Portalowi Wenus. Droga odwrotu była odcięta. Na gałęziach zarastających przejście krzewów pozostała biała opaska. Zdjął ją z gałęzi i ruszył dalej.

TLR

## Rozdział czwarty

Do cholery! - zaklęła w duchu Charlotte. Kiedy pierwszy raz rozważała ten szalony pomysł, założyła, że na ceremonię przyjedzie tak dużo ludzi, iż prawdopodobieństwo spotkania Adriana Rohana będzie nikłe. Poza tym uznała, że wicehrabia będzie przebrany w mnisi habit i ona go nie rozpozna.

Jednak nie wszyscy goście mieli na sobie habity. Zdążyła zauważyć, że Rohan był w bryczesach, białej koszuli i długiej kamizelce. Nawet zastanowiło ją, dlaczego ubrał się tak zwyczajnie. Rzuciła szybkie spojrzenie za siebie. Był już dość blisko. Patrzył wprost na nią.

Nie mógł wiedzieć, kim ona jest - przebranie naprawdę dobrze maskowało sylwetkę. Niestety, szedł jej śladem. W panice zagalopowała się w ciemną część ogrodu. Pochodnie były tu rozmieszczone znacznie rzadziej, źródłem światła był głównie księżyc w pełni. Przed nią wyłoniła się z mroku półokrągła budowla z białego piaskowca, zza jej kolumn, jak się Charlotte wydawało, pobłyskiwała srebrzyście tafla płytkiej sadzawki.

Odetchnęła z ulgą. Miejsce było spokojne, nawet idylliczne w świetle księżyca, odizolowane od panującego na zewnątrz szaleństwa.

- Do licha, wiedziałem, że jeśli będę cierpliwy, doczekam się nagrody - rozległ się głos tuż obok jej ucha.

Mężczyzna był ubrany w habit, ale kaptur miał spuszczone na plecy. Charlotte rozpoznała sir Reginalda Cowpera, bajecznie bogatego dziadka siedmiorga wnucząt, uchodzącego za człowieka o nieskalanej reputacji i ojcowskim uroku.

Zanim zdążyła uciec, na jej ramię spadła ciężka ręka.

- Jaki nieśmiały - zachichotał. - Lubię skromnych chłopaczków. Jesteś nowy...

Charlotte, zdumiona, że sir Reginald, ojciec rodziny, ma tego rodzaju upodobania, zaczęła się wyrywać, ale bezskutecznie. Jak to jest, pomyślała w panice, przecież Lina zapewniała, że biała opaska gwarantuje bezpieczeństwo. W tym momencie ze zgrozą zorientowała się, że zgubiła opaskę.

- Nie bój się. - Sir Reginaldowi lekko plątał się język.

Najwyraźniej nie szczędził sobie trunków.

- Nie uprawiaj kłusownictwa, Reggie. - Charlotte usłyszała znajomy głos i zamarła.

- Ja pierwszy go zauważyłem, Rohan. Przekroczył Portal Wenus, sam się o to prosił. Zresztą nie jest tajemnicą, że gustujesz tylko w kobietach.

- Może chcę poszerzyć horyzonty - odpowiedział zblazowanym tonem wicehrabia.

- Szukam nowości, a ten młody braciszek bardzo mi odpowiada. Uważam, że powinieneś pogodzić się z odmową z jego strony.

- Nie oddam go.

Rohan uniósł dłoń. Wokół palców miał owiniętą białą wstążkę.

- Niech będzie - poddał się sir Reginald. - Ustępuję ci niechętnie pierwszeństwa i respektuję ten znak. Dżentelmen musi przestrzegać reguł, a ty - chuchnął alkoholowymi oparami prosto w twarz Charlotte - na drugi raz nie przechodź sam przez bramę, bo nie rękę, czy nie złamię zasad.

Charlotte nie wiedziała, jak postąpić, zauważając, że Rohan obserwował ją z rozbawieniem. Ma mu podziękować? Zapragnęła wrócić do Hensley Court, do swojego pokoju, gdzie mogła się czuć bezpiecznie.

Tymczasem sir Reginald oddalił się w kierunku, z którego przyszli ona i Rohan. Teraz Charlotte miała nowy kłopot: musiała uwolnić się od towarzystwa wicehrabiego. Uznała, że skinienie głową zadośćuczyni obowiązkowi podziękowania. W świetle księżycy widziała jego twarz; nie było na niej oznak zmieszania czy wątpliwości. Odwróciła się, by odejść.

- Nie tak szybko, braciszku - powiedział cicho, chwytając jej dłoń. - Lady Whitmore nie ostrzegła cię o Portalu Wenus? Tak, wiem, że z nią byłeś. Domyślam się, jesteś jednym z jej kochanków. Dlaczego zostawiła cię samego?

Charlotte szarpnęła się i usiłowała wyrwać dłoń, ale bezskutecznie.

- Nie odpowiadasz? To i tak bez znaczenia. Jesteśmy tutaj i moja cela jest w pobliżu.

Szarpnęła jeszcze raz. Roześmiał się.

- Ależ nie, braciszku. Nie cela więzienna. Nie zamierzam cię więzić. Mówię o pomieszczeniu, za które nieźle zapłaciłem i odpowiednio wyposażylem, żeby zapewnić sobie odrobinę prywatności w tym cyrku grzeszników. Docenisz to.

Wreszcie Charlotte wyrwała mu się. Nie zatrzymywał jej. Śmiał się, gdy biegła w stronę rzekomej świątyni, potykając się o własne sandały. Zrzuciła jeden w biegu, od drugiego nie udało się uwolnić. Zaplątała się we własne nogi i runęła na twarde gruntu. Wtedy Adrian do niej podszedł. Charlotte czuła, że nad nią stoi, chociaż nic nie widziała, bo kaptur zasłaniał jej oczy. Całe szczęście, bo gdyby zsunął się z głowy, on zobaczyłby, z kim ma do czynienia.

- Pokutujesz? Jeszcze nie zgrzeszyłeś.

Charlotte próbowała się podnieść, ale Adrian pochwycił ją i przyciągnął ramieniem do siebie.

- Nawet podoba mi się ta gra, ale wcześniej czy później wylądujesz w moim łóżku, i dobrze o tym wiesz.

Mogła zrzucić kaptur i ujawnić się. Puściłby ją wtedy, widząc swoją omyłkę. Nie interesowała go niczym niewyróżniająca się, niedoświadczona Charlotte Spenser. Przyjechał tu, by znaleźć godną siebie partnerkę. Jednak wszyscy dowiedzieliby się o jej obecności. Stałaby się pośmiewiskiem całej londyńskiej socjety. Nie mogłaby zostać w mieście.

Właściwie nie miałyby nic przeciwko temu, bo nie lubiła Londynu, lecz nie chciała opuścić Liny. Najlepiej będzie iść z nim, trzymać nisko głowę, nic nie mówić i uciec przy pierwszej nadarzającej się sposobności, zdecydowała. Raz już niemal się udało, gdyby nie ten przeklęty sandał. Postanowiła pozbyć się drugiego. Była przyzwyczajona do biegania boso po łąkach; w domu często to robiła.

Przestała się szamotać. Adrian puścił ją i wtedy niespodzianie dla samej siebie poczuła zawód. Nie da się zaprzeczyć, w ramionach Adriana Rohana było całkiem przyjemnie. Szybko się opamiętała. Przecież nie chodziło mu o nią.

- Postanowiłeś być miłszy? - spytał Rohan. - Dlaczego nie odzywasz się, braciszku? Albo złożyłeś ślub milczenia, albo cię znam. A może boisz się, że głos zdradzi twoje niekoniecznie patrycjuszowskie pochodzenie?

Wyciągnął dłoń, a Charlotte wsparła się na niej, aby zdjąć utrudniający ucieczkę sandał. Adrian odebrał jej sandał, zanim odrzuciła go od siebie.

- Jaki mały. Masz niewielkie stopy i ładne dłonie. Myślę, że będę się dobrze bawił przez najbliższe trzy dni.

Trzy dni? Dobry Boże, a cóż on może mieć ze mną do roboty przez całe trzy dni? - pomyślała Charlotte.

Była głupia, że zdecydowała się na tę eskapadę, szkoda jednak czasu na samokrytykę. Przyjdzie na to odpowiedni moment, gdy wróci bezpiecznie do swojego pokoju. Tymczasem należy się uwolnić od Rohana i nie wpaść w sidła innych degeneratów, przeczesujących park w poszukiwaniu ofiary.

- Jesteś gotowy, niemy braciszku? - zapytał kpiąco Adrian, jakby dobrze wiedział, że ona nie jest tym, za kogo chce uchodzić.

Dlaczego nie domagał się, by odsłoniła twarz? Na szczęście nie próbował strącić jej z głowy kaptura, ale czy to nie dziwne? Nie chciał wiedzieć, jak wygląda osoba, którą zamierzał zaciągnąć do łóżka? Widocznie nie, i tak chyba było lepiej. Zawsze istniała możliwość, że zdoła zbiec, a on nie dowie się, z kim miał do czynienia.

Charlotte pozwoliła się poprowadzić w stronę świątyni.

Evangelina ruszyła za służącym w ciemność rozświetloną tylko pochodnią, którą niósł. Impreza rozkręcała się na dobre, w nocnym powietrzu zewsząd rozlegały się głosy rozbawionych uczestników. Pomyślała o Charlotte. Miała nie spuszczać oka z niewinnej kuzynki, zamierzała nawet poprosić kilku przyjaciół, aby zadbali o jej bezpieczeństwo. Jednym z nich był Montague.

Nawet nie zauważyła, że nagle zniknął, była zbyt zaabsorbowana dwojakim celem, jaki sobie wyznaczyła: zadbać o bezpieczeństwo Charlotte i uwieść Adriana Rohana. Kiedy służący odnalazł Linę i szeptem wyjaśnił, dlaczego ją odszukał, zmieniła plany i podążyła za nim.

Wchodząc do łodzi - jednej z tych, którymi przewożono gości między dworem w Hensley Court a ruinami opactwa - przeżyła chwilę obawy. A może ktoś przebrany w liberię Montague'a chciał zwabić ją w zasadzkę? Chyba jednak niepotrzebnie się martwiła. Sługa, który trzymał pochodnię, zachowywał się jak służący, a nie przebrany arystokrata. Uznała, że powiedział jej prawdę: Montague rzeczywiście musi być chory.

- Pospiesz się - rzuciła.

- Tak, proszę pani. Pan Dodson kazał mi przyprowadzić panią tak szybko, jak się da. Jego lordowska mość nie chce wziąć lekarstwa i upiera się, że wróci na przyjęcie.

- Nie chce wziąć lekarstwa? Już ja się tym zajmę - powiedziała ostrym tonem Lina.

Niecierpliwiła się. Nie czekała, aż lokaj przycumuje do pomostu, wyskoczyła na brzeg i pobiegła przez trawnik. Czekał na nią Dodson, zaufany kamerdyner Thomasa Montague'a.

- Och, jasnie pani, jak to dobrze, że pani przyszła. Jestem u kresu wytrzymałości.

- Jak on się czuje?

- Niedobrze, milady, choć bywało gorzej. Gdybym mógł go przekonać, żeby zrezygnował z przyjęcia, zażył lekarstwo i odpoczął... Niestety, twierdzi, że musi wracać do gości.

Zatrzymali się przed drzwiami salonu.

- Chodzi tylko o tę noc, milady. Jutro powinien przyjechać pan Pagett. Zajmie się jasnie panem.

- Co tam opowiadasz?! - usłyszeli podniesiony głos.

Lina pchnęła drzwi i weszła do środka.

- Zawsze miałeś dobry słuch, Monty - powiedziała z uśmiechem. - Przestań zgrywać primadonnę i pozwól Dodsonowi zająć się sobą.

Montague wyglądał okropnie. Mimo nocnego chłodu poszarzałą twarz pokrywały gęste kropelki potu.

- Co z tym przyjazdem Simona? - Zmierzył kamerdynera groźnym spojrzeniem.

Dodson służył u Montague'a zbyt długo, żeby się przestraszyć.

- Myślałem, że tak będzie najlepiej. Pan jest coraz słabszy, a nie chce słuchać ani doktora, ani mnie. Może pan Pagett zdoła przemówić panu do rozsądku.

- Ten cholerny klecha? - rzucił zduszonym głosem Montague, tłumiąc atak kaszlu.

- Będzie klepał nade mną pacierze i prawił mi morały. Wierz mi, Lina, nie ma nic gorszego niż nawrócony grzesznik. Wydaje mu się, że inni muszą go naśladować.

- Pan wybaczy, milordzie, ale czy sam pan nie sprowadził go do Susseksu? Czy to nie jego rola pomagać ludziom w odnajdywaniu wiary? - zapytał kamerdyner.



- Denerwujesz mnie, Dodson.

- Tak, proszę pana - ze stoickim spokojem rzekł służący.

Lina usiadła na wyściełanym taborecie u wezgłowia leżanki, na której wyciągnął się Montague.

- Dobrze, że on pomyślał o mnie - broniła Dodsona Lina. - Nie chcesz słuchać służących, więc ktoś musi przypominać ci, co powinienesz robić. A ponieważ ja należę do nielicznego grona tych, których słuchasz, rola ta mnie przypadła.

- Kręcisz, moja droga. On ma do ciebie słabość i nie aprobeuje tego, co się tu dzieje. Sądzę, że chciał cię uchronić od upadku.

- Milordzie! - zaprotestował kamerdyner.

- Idź już. Gdy pokaże się pastor, skieruj go prosto na plebanię. Chyba ktoś pomyślał o zatrudnieniu dla niego gospodyni.

- Ktoś już o tym pomyślał - stwierdził z godnością Dodson. Był w jednej osobie kamerdynerem, pokojowcem i sekretarzem Montague'a. - Milady, podać pani herbatę czy kieliszek wina?

- Napiję się herbaty. Może przyniesiesz zimną kolację? Również dla jego lordowskiej mości.

- Nie będę jadł - wtrącił rozdrażniony Montague. - Chyba że dostanę befsztyk i kufel piwa.

- Dobry rosół wołowy - zdecydowała Lina, ignorując kapryśny ton przyjaciela - i napój z rozgotowanego jęczmienia z cytryną.

- Co za świństwo! Traktujecie mnie jak dziecko. Niech Dodson pośle po Rohana, a ty, Lino, możesz wracać do gości. Adrian zrozumie, że nie mogę pić takiej lury.

- Wicehrabia będzie tak samo bezwzględny, milordzie - orzekł kamerdyner - Nikt nie chce, żeby pan umarł.

Atak kaszlu wstrząsnął słabym ciałem Monty'ego. Wyczerpany opadł na poduszki.

- Jestem za słaby, żeby się sprzeciwić - odezwał się płaczkliwie. - Wpędzicie mnie do grobu.

- Mam nadzieję, że nie, sir - rzekł Dodson, zanim wyszedł.

Zapanowało milczenie. Z otwartych na oścież wysokich okien napływało do pokoju chłodne, nocne powietrze. Znad wody dobiegały dźwięki muzyki i śmiechy. Lina westchnęła z ulgą. Przynajmniej dzisiejszej nocy będzie miała spokój.

- Okropnie traktujesz tego biednego Dodsona - odezwała się.

- I co z tego? Jemu to nie przeszkadza. - Długimi, wychudzonymi dłońmi Monty podciągnął wysoko pod brodę pikowaną narzutę. - Zadbasz o niego, Lino, dobrze? Oczywiście wstawiłem odpowiedni kodycył do testamentu.

- Nie bądź śmieszny. On jest dwa razy starszy od ciebie. Przeżyjesz go i będziesz w kłopotcie, bo tylko on jest w stanie z tobą wytrzymać.

Monty uśmiechnął się melancholijnie, lecz nie zamierzał sprzeczać się z Liną. Odwrócił głowę do okna. Księżyc był wysoko, dwie wieże zrujnowanego opactwa wyraźnie odcinały się od ciemnego nieba.

- Piękna noc, prawda, Lino? Muszę ci się przyznać, że wolę spędzać ją z tobą niż z jakimś miłym, młodym stworzeniem. Ty chyba też.

Nie próbowała przeczyć - przyjaciel znał ją zbyt dobrze. Nieraz zastanawiała się, ile osób wie, co kryje się za jej pozorną beztroską. Charlotte na pewno. Może i inni.

- Będzie jeszcze wiele innych szalonych nocy, Monty. - Dotknęła jego dłoni.

Przykrył jej dłoń swoją ręką.

- Obyś miała rację, kochanie - wyszeptał.

## Rozdział piąty

Z oddali dobiegały dźwięki muzyki. To grała niewielka orkiestra usadowiona wokół podium. Melodia sączyła się do uszu, przenikała do podświadomości. Adrian w dalszym ciągu trzymał za rękę Charlotte, a ją to peszyło. Pozbycie się towarzystwa Rohana byłoby w gruncie rzeczy dość proste, pomyślała. Wystarczyłoby zsunąć z głowy kaptur, by zobaczyć, z kim ma do czynienia. Jednak to była ostateczność.

Był bez rękawiczek, ona też. Nie przepadała za rękawiczkami, uważała, że są niezbędne do jazdy konnej i prac w ogrodzie. Wkładała je, wychodząc z domu na spotkania towarzyskie lub zakupy, ponieważ taka zasada obowiązywała w jej środowisku. Zrozumiała dlaczego. W bezpośrednim kontakcie było coś intymnego.

Zdobyła się na ukradkowe spojrzenie na Rohana. Co za pomysł, żeby się go bać? Adrian Rohan to tylko człowiek. Zepsuty, nieznośny, o wiele za przystojny, ale istota ludzka. A ona, przyjeżdżając tutaj, nie zaprzedała duszy diabłu. Odważyć się i przemówić? Czy udałoby się zrobić to tak, by przekonał się, że ona jest mężczyzną? Nie może przecież podejrzewać, z kim ma do czynienia.

Popęlniła błąd, uważając, że gdyby Lina zawarła bliższą znajomość z wicehrabią, byłoby po wszystkim. Kuzynka szybko zainteresowałaby się kolejnym mężczyzną, a Rohan znalazłby sobie inną piękność. Nic by się nie zmieniło. Była bezdennie głupia, że tu przyjechała.

Lekko cofnęła dłoń, żeby sprawdzić, jak bardzo jest czujny. Natychmiast zacisnęła palce. Dobrze, że chociaż nie zorientował się, że ta drobna i delikatna dłoń, którą trzymał w swojej ręce, należy do kobiety.

Znaleźli się w ślepych zaułku. Grunt po obu stronach stawał się coraz wyższy, dno sprawiało wrażenie sztucznie obniżonej niecki. Jedyna droga ucieczki prowadziła w stronę, z której przyszli. Charlotte była pewna, że Rohan musiał wyczuć napięcie, jakie ją ogarnęło. Wiedziała, że nie zdoła go zaskoczyć.

A gdyby go tak kopnąć? Bez sensu, przecież była boso. Może jeszcze użyć łokci, kolan, paznokci i zębów. Nie zamierzała poddawać się bez walki. On nie wie, co robi,

tłumaczyła sobie w duchu. Gdy się dowie, puści ją wolno. Musi się wydostać z tej pułapki bez konieczności ujawniania swojej tożsamości.

Jasne światło księżyca nie było łaskawe - uwydatniało wszelkie zagłębienia i wypukłości na twarzy Rohana, akcentując surowe rysy. Przez chwilę Charlotte wróciła do swojego marzenia, w którym on bierze ją w ramiona, całuje, pieści... Zawstydziała się. Na szczęście to tylko fantazja. Zmobilizowała się do działania.

- Nie jestem tym, za kogo pan mnie bierze - odezwała się niskim, chropawym głosem, próbując go zwieść.

- Mówisz! - zdziwił się. - A skąd wiesz, za kogo cię biorę? Wierz mi, dziecino, nie miałem złudzeń, że naprawdę jesteś mnichem, który złożył ślub milczenia. Cieszy mnie, że postanowiłeś przemówić, inaczej nie moglibyśmy negocjować.

- Negocjować? Co takiego?

- Warunki twojej kapitulacji.

Charlotte przestraszyła się nie na żarty.

- Kapituluję - zapewniła pośpiesznie. - Teraz niech mnie pan puści.

- Obawiam się, że nie rozumiesz, na czym polega kapitulacja.

Spróbowała się wyrwać, lecz trzymał ją mocno.

- Pan nie rozumie. Nie jestem mężczyzną.

- Ty nie rozumiesz. Wiem, że nim nie jesteś. Sypiam tylko z kobietami.

- Nie jestem tego rodzaju kobietą, o jakiej pan myśli. - Przypomniała sobie, co mówiła Lina, że nikt nie będzie jej do niczego przymuszał. - Wracajmy do opactwa, tam znajdzie pan skłoną ulec pana namowom. Moja odpowiedź brzmi „nie”.

- Za późno. Przechodząc przez Portal Wenus, okazałaś gotowość zaakceptowania pierwszego mężczyzny, który cię zapragnie. Bądź mi wdzięczna, że wydarłem cię Reggiemu. Zrobiło mi się żal takiej niewinnej dziewczyny.

- Co pana uprawnia do myślenia, że jestem niewinna? To nie miejsce dla takich panienek.

- Uprawnia mnie do takiego myślenia twoja reakcja na dotyk mojej dłoni i twoje przerażenie. Natomiast nie mam pojęcia, dlaczego tu jesteś. Od początku się nad tym zastanawiam.

- To wynik chwilowego zamroczenia umysłu, z którego się teraz otrząsnęłam. - Spróbowała ponownie uwolnić dłoni, nadaremnie.

- Przykro mi - powiedział bez cienia żalu. - Zaszliśmy za daleko.

Mogła zrzucić kaptur. Wtedy powinien ją uwolnić. Charlotte wstrzymywała się jednak przed tą ostatecznością, mając nadzieję, że umknie z potrzasku bez ujawniania, kim jest. Wolną ręką naciągnęła kaptur na oczy.

- Skoro mowa o Portalu Wenus, o którym pan ciągle wspomina, to przeszłam go przez pomyłkę. Przyjaciółka, która mnie tu przywiozła, miała mnie pilnować, ale się zgubiła. Skąd mogłam wiedzieć, że to był Portal Wenus?

- Szkoda, że lady Whitmore nie miała okazji pokazać ci go.

Wiedział, że przyjechała z Liną! No cóż, stały przecież razem podczas tej dziwacznej ceremonii powitalnej.

- Ale to żadne usprawiedliwienie. Należało się rozglądać. Portal Wenus - tłumaczył cierpliwie - oznacza wejście do pierwszego ogrodu, jest okrągły i otacza go krąg z bukszpanu i paproci. Na marginesie, chyba wspominałem, że ograniczam swoje zainteresowania do kobiet, prawda?

Gdzie, u diabła, jest Lina, gdy jej potrzebuję? - pomyślała zdesperowana Charlotte.

- Tak, wspominał pan - rzekła spokojnie. - Wicehrabia Rohan słynie z wytrawnego gustu. Jego kochanki należą do najpiękniejszych kobiet na świecie.

- Co ty możesz wiedzieć o moich kochankach? - Był rozbawiony.

- Chyba nie obniży pan wymagań i nie pójdzie do łóżka z pospolitą starą panną, na dodatek niezbyt chętną.

- Nie jesteś taka niechętna. - W jego głosie dźwięczała pewność, jakby znał jej sny.

- Poza tym nie doceniasz swojego powabu.

Przyciągnął ją do siebie. Próbowwała się odsunąć, ale Adrian za mocno przycisnął ją do swojego muskularnego ciała. Był tak blisko... Wystarczyło zrzucić kaptur, a wypuściłby ją z odrazą. Nie mogła uwolnić rąk - były uwięzione między ich ciałami. Tymczasem on sięgnął wolną ręką ku jej twarzy.

- Nie robi pan tego.

- Już od pewnego czasu chciałem to zrobić, panno Spenser.

Zsunął kaptur z głowy Charlotte i pocałował ją w usta.

Do świadomości Liny dotarł dźwięk przypominający krakanie ptaka, kawki, a może wrony. Otworzyła oczy i zrozumiała, że zasnęła obok leżanki Monty'ego. Siedziała na podłodze, z głową opartą na ramionach, a Monty spał i nie przeszkadzało mu owo krakanie.

- Uhm. Uhm.

To nie było krakanie. Ktoś chrząknął. To pewnie Dodson, który przyniósł herbatę i grzanki, pomyślała, wciąż rozespana. Gdy po chwili odwróciła głowę, przekonała się, że to nie kamerdyner. Tego mężczyzny w czarnym, niemal żałobnym ubraniu i w zgrzebnej białej lnianej koszuli wcześniej nie widziała. Nie miał żadnych ozdób - koronek czy biżuterii - i patrzył na nią z góry. Na jego twarzy malowało się potępienie. Lina, która obnosiła się ze swoim brakiem wstydu, niespodziewanie się zaczerwieniła.

Kiedy zobaczył, że zaczęła się podnosić, wyciągnął rękę, by jej pomóc wstać. Zamierzała go zignorować, ale zdrętwiałe nogi odmówiły jej posłuszeństwa, więc ujęła jego silną dłoń.

- Czy Montague przeszedł na katolicyzm, nic mi o tym nie mówiąc, czy jest pani uczestniczką jego bluźnierczych praktyk?

Lina wciąż miała na głowie zakonny kornet, w tej chwili przekrzywiony. Zerwała go i długie czarne włosy rozsypały się na ramiona.

- Jestem uczestniczką jego bluźnierczych praktyk - oznajmiła zimnym tonem, sądząc, że spieszy nieznanego.

Kto mu dał prawo osądzania jej? Był tylko zwykłym pastorem.

Jednak jej odpowiedź nie zrobiła na nim wrażenia. Był niemłody - może blisko czterdziestki, sądząc po głębokich bruzdach, którymi poorana była jego twarz. Zresztą dość przystojna, z ciemnymi brązowymi oczami, prostym nosem, wydatnymi kośćmi policzkowymi i wyrazistymi ustami, które u kogoś innego można by określić jako zmysłowe.

U kogoś innego, ale nie u duchownego.

- Pan musi być nowym proboszczem.



- Bardzo pani spostrzegawcza. Jestem wielebny Simon Pagett, przyjechałem, aby objąć tutejszą parafię. - Spojrzał na śpiącego Montague'a. - On nie żyje?

- Co za bzdura! Jak pan może o to pytać?

- Simon nigdy nie owijał w bawełnę, zawsze walił prawdę prosto z mostu - rozległ się głos Montague'a. - Przykro mi, że cię rozczaruję, ale jeszcze nie wyciągnąłem nóg.

- To znaczy, że ciągle jeszcze można uratować twoją duszę. - Pastor spojrzał surowo na Linę. - I duszę tej ladaczniczki również.

Lina oniemiała, natomiast Monty roześmiał się.

- Wiesz równie dobrze jak ja, Simonie, że tak bardzo się nie zmieniłem. Moje ladaczniczki są męskiego rodzaju. Lina jest najlepszą przyjaciółką i będę ci wdzięczny, jeśli przestaniesz ją obrażać.

- Przyjaciółką z sąsiedniego zakonu, bez wątpienia.

- Uważaj, co mówisz, Simonie. To jest lady Whitmore. Wiem, że znajdzie się z pół tuzina jej wielbicieli, którzy chętnie staną w obronie jej honoru przed twoim pruderyjnym osądem.

- A gdzie te pół tuzina obrońców, Monty? - zapytał Simon. - Widziałem przed domem powozy, ale dom wydaje się pusty. Gdzie jest to całe twoje rozwiązłe towarzystwo?

- W ruinach opactwa. Kazałem je odnowić i urządzić ogrody. Wyszło nieźle, choć wątpię, czy byłbyś w stanie docenić czysto ludzki urok tego miejsca. Byłbyś zgorszony.

- Od lat nie masz mnie już czym zgorszyć, mimo to ciągle próbujesz. Od jak dawna chorujesz?

- Trzeba się namęczyć, aby dać się zabić chorobie. Nie wiem, jak długo choruję, nie zwracam na to uwagi.

- I dlatego doprowadziłeś się do takiego stanu. Nie możesz dłużej igrać z własnym zdrowiem.

- Nie potrafię inaczej. Miałeś przyjechać dopiero po wyjeździe moich gości. Niestety, dzięki ingerencji Dodsona, zjawiłeś się w najbardziej niefortunnym momencie.

- Przykro mi - rzekł z przekąsem Simon.

- Przypuśćmy, że to prawda. Nieoceniony Dodson zmusił lady Whitmore, żeby dla mnie zmarnowała pierwszą noc zabawy. Lina, moje dziecko, dołącz do gości. Jeszcze nie

za późno, dopiero minęła północ. Simon się mną zaopiekuje. Robił to już wielokrotnie. Znajdziesz sobie jakieś miłe towarzystwo, nawet o tej nieludzkiej godzinie.

- Na to bym nie liczyła - odparła Lina. - O tej porze wszyscy są upici do nieprzytomności.

Simon Pagett patrzył na nią ukradkiem. Kiedy na niego spojrzała, przeniósł wzrok na Monty'ego, ale mogła przysiąc, że przedtem ją obserwował. Decyzja nie była trudna i Lina nawet się nie zastanawiała, dlaczego ją podjęła.

- Nigdzie nie idę, Monty. - Usadowiła się na tym samym stołku, na którym siedziała początkowo, zanim osunęła się na podłogę. - Będzie jeszcze wiele okazji do grzechu. Teraz nie odstąpię od ciebie. Za to pan Pig-ett\* niech spróbuje tych wszystkich rozkoszy. Być może lepiej zrozumie naturę grzechów, które tak ochoczo potępia.

\* Pig (j. ang.) - świnia. Lina złośliwie przekręca nazwisko pastora (przyp. tłum.).

- Nazywam się Pagett - rzekł ze spokojem pastor. Tym razem patrzył na nią otwarcie. - Zapewniam panią, lady Whitmore, że kiedyś spróbowałem tego, co mają do zaoferowania Niebieskie Zastępy, i nie jestem tym więcej zainteresowany. Rzeczywiście - zwrócił się do Monty'ego - niech twoja przyjaciółka, przejawiająca taki żaloszny gust w dziedzinie doboru strojów i towarzystwa, lepiej z tobą zostanie. Nigdy nie byłeś łatwym pacjentem.

- A ty zawsze zrzędziłeś. Posłuchaj Liny, idź w te ruiny. Może są tam jakieś grzeszne duszyczki, które łakną zbawienia. Wiem na pewno, że potrafiłbyś się przydać.

- Powinieneś być w łóżku - orzekł Pagett, nie reagując na zaczepkę. - Poprosiłem Dodsona, aby wezwał lekarza. Jak przyjedzie, zapewne upuści ci krwi, a ty i tak jesteś dostatecznie słaby. A pani, lady Whitmore, może wracać do przyjaciół. Poproszę, by to pani umożliwiono.

Lina nie była pewna, czego chce. Nie podobało się jej arbitralne zachowanie tego na czarno ubranego mężczyzny, który chciał coś jej „umożliwić”. Właściwie powinna sprawdzić, jak radzi sobie Charlotte. Oczywiście, gdyby coś mogło zagrozić bezpieczeństwu kuzynki, nigdy by jej tu nie przywiozła, ale nie zaszkodziłoby się upewnić.

- Nie zostawiaj mnie na łasce Simona - poprosił Montague. - On jeszcze przed świtem każe mi wdziać włosiennicę. Ocal mnie od tyranii nawróconego łotra.

- Zostaję. - Lina nakryła dłońmi wychudzoną, słabą dłoń przyjaciela.

- Wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć. - Rzucił wymowne spojrzenie pastorowi.

Lina obejrzała się przez ramię. Poorana bruzdami twarz Pagetta była poważna. Lina nie potrafiła wyobrazić sobie, że pastor mógłby się śmiać, płakać, czarować, całować. Miał ładne usta, kiedy nie zaciskał ich, gdy chciał wyrazić dezaprobatę. Szkoda, że nie robił z nich użytku do przyjemniejszych rzeczy niż potępienie grzeszników, pomyślała.

Pojawił się Dodson w towarzystwie dwóch przystojnych lokajów. U Monty'ego lokaje byli przeważnie przystojni.

- Proszę zaprowadzić lorda Montague'a do jego pokojów i ułożyć go do snu - polecił rozkazującym tonem Simon. - Lady Whitmore, czy mógłbym zasugerować, żeby przebrała się pani w coś bardziej stosownego w obecnych okolicznościach?

Pruderyjna mała ropucha, buntowała się w duchu Lina. W rzeczywistości Simon nie był ani mały, ani podobny do ropuchy.

- Sądziłam, że habit jest jak najbardziej stosowny, panie Pagett, zważywszy duchowy aspekt mojej misji i rolę pielęgniarki, jaką odgrywam.

Ktoś inny przyjąłby to z humorem. On jednak najwyraźniej nie miał poczucia humoru, a błysk w jego oczach świadczył o zniecierpliwieniu.

- Nie mam nic przeciwko habitowi, lady Whitmore, pomyślałem tylko, że dekolci jest za głęboki jak na pokój chorego. Założyłem, że pani lepiej się poczuje w modnej sukni. Oczywiście może pani nosić, co chce.

- Dziękuję za pozwolenie - odrzekła z przekąsem Lina.

Prawdę powiedziawszy, zapomniała, że pod okrągłym białym kołnierzem habitu prosta, czarna suknia była wycięta bardzo głęboko, żeby można było podziwiać jej wdzięki, zanim zdejmie ubranie. W pierwszym odruchu chciała podciągnąć wyżej staniczek sukni, ale tego nie zrobiła. Jej piersi były jędrne i kształtne. Niech się ten ponury pastor napatrzy do syta.

- Może ma pan rację, może powinnam się przebrać - dodała pojednawczo. - Choć szkoda, bo pan i ja bardzo do siebie pasujemy. Pod względem stroju, naturalnie.

Wypowiedziane słowa zawisły w powietrzu.

Wydawało się, że nabrały innego znaczenia. Pagett spojrzał gniewnie, ignorując jej dekolt, na co zdobyło się niewielu mężczyzn w ostatnich dziesięciu latach.

- Wątpię, czy znaleźlibyśmy cokolwiek wspólnego ze sobą. Może lepiej niech pani wróci do zdegenerowanych przyjaciół.

- Zostanę. - W rzeczywistości rozważała wymknięcie się do zrujnowanego opactwa, ale uznała, że zapewne Charlotte smacznie śpi w swoim pokoju.

Lokaje wynosili Montague'a z salonu przy akompaniamencie jego cichych przekleństw i słabych protestów.

- On jest przy mnie w dobrych rękach, lady Whitmore. Nie należy zwracać uwagi na to, co mówi. Byłoby chyba dużo prościej, gdyby pani wróciła do gości - ponowił propozycję pastor.

- Byłoby dużo prościej, gdyby pan wrócił tam, skąd przybył, i wstrzymał się z przyjazdem do czasu, kiedy będzie oczekiwany. W przyszłym tygodniu, o ile się nie mylę.

W pierwszej chwili nie odpowiedział. Lina doznała nieprzyjemnego wrażenia, że przejrzał ją na wylot.

- A dlaczego miałbym tak postąpić?

- Ponieważ Montague nie zaprosiłby na przyjęcie z udziałem znanych awanturników takiego nudziarza i malkontenta jak pan.

Tym razem, była tego pewna, poweselał. Weselość kryła się tylko w oczach, usta nadal pozostały surowe.

- Tak pani myśli, lady Whitmore? Proszę przyjąć do wiadomości, że spodziewałem się mnie jutro, ale to wasze spotkanie zazwyczaj trwa ze cztery dni.

- Tylko trzy tym razem.

Usta pastora wykrzywił ironiczny uśmiech.

- Może Montague zaczyna przyjmować do wiadomości fakt, że jest mimo wszystko śmiertelny. Moim zdaniem, liczył na to, że zdrowie pozwoli mu wziąć udział przynajmniej w części imprezy i utrzyć mi nosa.

Patrzył na Linę przez dłuższą chwilę, jakby zapomniał, co chce powiedzieć. Poczula się nieswojo. Jeśli on nie ma nic więcej do dodania, to ona, zamiast stać bez słowa, powinna przerwać milczenie. Ale kto się tłumaczy, ten się usprawiedliwia. A ona nie zamierzała się usprawiedliwiać.

Milczenie przedłużało się nieznośnie. Wreszcie pastor oprzytomniał i roześmiał się.

- Montague będzie odpoczywał przez kilka godzin po wizycie doktora. Pani także powinna odpocząć. Czeka nas trudna batalia, będzie pani potrzebowała sił.

- Batalia? Jaka batalia?

- O nieśmiertelną duszę Montague'a... I pani także.

TLR

## Rozdział szósty

Nieźle jak na pierwszy pocałunek, ocenił Adrian Rohan. Charlotte Spenser stała nieruchomo jak zaczarowana i on wykorzystał to, przyciągając ją i otaczając ciasno ramionami. Zdjął jej z nosa okulary w złoczonej oprawce i rzucił je na ziemię. Postępuj z nią ostrożnie, przestrzegł się w duchu, inaczej ona się zamknie, a on, jeśli ma odrobinę honoru, będzie musiał pozwolić jej odejść.

Oderwał usta od warg Charlotte, aby spojrzeć w oczy nieosłonięte szklami okularów.

- Będzie ci łatwiej, jak zamkniesz oczy - doradził rzeczowo.

Zdziwił się, że posłuchała, więc pocałował ją znowu.

Tym razem nie stawiała oporu. Jej usta, przedtem zaciśnięte, teraz zmiękły, muskał je więc i omal nie zaczął mrużyć z przyjemności, jaką mu to sprawiało. Jeśli Charlotte go pocałuje, będzie ją miał, powiedział sobie. Musi to być prawdziwy pocałunek, nie takie niewinne cmokanie.

- Rozchyl usta - poprosił.

- Po co?

- Chcę cię pocałować w rozchylone usta.

- To bez sensu. Musisz mnie...

Zamknął jej usta pocałunkiem, zanim zdążyła wypowiedzieć fatalne słowa: puścić wolno. Charlotte zeszywniała, ale on wiedział, jak postępować, by dostać odpowiedź, jakiej pragnął. Pogłębił pocałunek i Charlotte nie broniła mu dostępu. Skorzystał z tego, licząc na to, że ona pojmie, jakie możliwości daje pocałunek, ale tak się nie stało. Nie wykazywała żadnej chęci naśladowania go, jedynie biernie poddawała się jego zabiegom.

Tymczasem Adrian zapragnął więcej. Powiedział sobie na początku, że zadowolony się akceptacją. Mylił się. Chciał, by Charlotte wykazała inicjatywę.

- Teraz ty mnie pocałuj - szepnął.

Pokręciła odmownie głową.

- Pocałuj mnie - powtórzył chrapliwie.



W ciemnościach rude włosy sprawiały wrażenie czarnych. Patrzyła na niego prosząco szeroko rozwartymi oczami. Tylko nie prosz, bym pozwolił ci odejść, pomyślał.

- Nie... nie wiem jak.

Odetchnął z ulgą.

- Pokażę ci.

Znowu zawładnął jej ustami, starając się kontrolować gwałtowność swojego pożądania. Całował wolniej, niż tego chciał, ale bardziej zmysłowo. Wyczuwał jej rozluźnienie, bo przywarła do niego całym ciałem. Przemknęła mu przez głowę myśl, żeby wziąć ją tu, na miejscu. Jednak nie mógł tego zrobić. Rzadko miewał skrupuły, ale tym razem był przekonany, że jej pierwszy raz powinien mieć miejsce w łóżku. Do licha, powinno to być łóżko świeżo poślubionego męża, ale tego luksusu nie mógł jej zapewnić. Nie zamierzał obdarzyć jej dzieckiem. Wyjdzie z jego przytulnej kryjówki w stanie nie gorszym niż do niej weszła, jedynie bez cnoty. Będzie wciąż tą samą nudną starą panną i wyprze z pamięci noc miłosnych igraszek.

Jeżeli on wytrzyma z nią całą noc. Dziewice potrafią być męczące. Płaczą, a potem wyznają bezdusznemu uwodzicielowi miłość do grobowej deski, albowiem byłoby grzechem przyznać się do jakichkolwiek przyjemnych przeżyć, które nie idą w parze z dożywotnimi gwarancjami. Charlotte już była w nim zakochana. On to wiedział, i bez znaczenia, czy byłaby gotowa przyznać się do tego, czy nie. A co do sceny płaczu, to był pewny, że jest nieunikniona.

Tak myślał, całując Charlotte, i nie starał się już kontrolować podniecenia. Jej ręce uwięzione pomiędzy ich ciałami z wolna zaczęły wędrować w górę wzdłuż jego piersi i otoczyły szyję. Przesunął ją powoli w stronę drzwi do swojego sekretnego pokoju szadek. Naparł na nie ciałem, by się otworzyły, i wciągnął ją do środka.

Cudowne zmysłowe doznania oszołomiły Charlotte. Wiedziała, że nie powinna dać się wciągnąć do środka, ale w decydującym momencie nie potrafiła się oprzeć mężczyźnie z jej bezwstydnym snów, który prześladował ją także na jawie.

Adrian, wicehrabia Rohan, całował ją, niezdarną Charlotte Spenser. Śledził ją i domyślił się, kto kryje się pod mnisim habitem. Podążał za nią, wiedząc, że jest pospolitą, nie pierwszej młodości panną Charlotte, a teraz całował ją tak namiętnie, że chyba

musiało mu się to podobać. Z tego, co o nim słyszała, wicehrabia Rohan nie robił niczego, co nie sprawiało mu przyjemności.

Otoczył ją ramionami i przytulił do siebie, a pod nią zmiękły kolana. Miała ochotę zawisnąć na nim i pozwolić się unieść, dokąd on zechce. Co by to szkodziło? Odepchnęłyby go, uciekła, odnalazła Linę, gdyby tylko przestał... Wtedy bez wątplenia znalazłaby w sobie dość siły, aby to zrobić. Jednak gdy ją obejmował, nie potrafiła mu się oprzeć. Jej życie było takie ubogie, przyszłość rysowała się nieciekawie. Czy nie mogłaby mieć chociaż tego?

Czuła, że Adrian ją odwrócił, że wchodzi gdzieś, bo znika rozświetlone księżycem niebo i przestaje być odczuwalna chłodna nocna bryza. Kręciło się jej w głowie, wsparła się więc na Adrianie, obawiając się, że upadnie. Słyszała, że w ciemnościach zamykają się ciężkie drzwi. Jak przez mgłę doszło do jej uszu kliknięcie, chyba zamka.

Zaalarmowana, oderwała wargi od ust Adriana. Puścił ją i zniknął w nieprzeniknionej ciemności. Wpadła w panikę. Bała się ciemnych, zamkniętych przestrzeni. Poczuliła się jak w potrzasku. Nagle pojaśniało. Rohan zapalał świece, jedną po drugiej, cały kandelabr. Łagodne, ciepłe światło zalało pomieszczenie i wtedy Adrian zaczął zapalać świece w drugim świeczniku. Charlotte rozejrzała się dookoła i wrócił strach. Tym razem usprawiedliwiony prawdziwym, a nie wyimaginowanym niebezpieczeństwem.

Pomieszczenie było nie za wielkie. Na jednej ścianie znajdował się kominek, a w nim ułożone drewno gotowe do rozpalenia. Z boku kominka leżał zapas drewnianych szczap, wystarczający na co najmniej dwa dni. Na solidnym stole, na którym stały kandelabry ze świecami, czekała butelka wina z dwoma kieliszkami. Podłogę wyścielał gruby dywan, na ścianach wisiały gobeliny. Już z tej odległości mogła stwierdzić, że nie przedstawiają niewinnych scen myśliwskich czy historii podboju normandzkiego. Było też łóżko. Stało pod ścianą, przykryte aksamitną narzutą i puszystym futrem.

Adrian obserwował ją z końca pomieszczenia, bez ruchu i w milczeniu. Charlotte nie mogła się pozbyć wrażenia, że patrzy na nią jak drapieżnik na ofiarę. Obejrzała się w stronę drzwi. Dlaczego nie uciekła, gdy jeszcze mogła to zrobić? Powinna wykorzystać chwilę, w której ją całował, zamiast mdleć z rozkoszy jak pierwsze lepsza zakochana idiotka, którą po prawdzie była. Teraz już za późno.

A może nie? Znajdowała się znacznie bliżej rzeźbionych drzwi niż Adrian, skoczyła więc w tamtą stronę, bojąc się, że on okaże się szybszy i ją uprzedzi. O dziwo, nawet nie drgnął. Z nadzieją sięgnęła klamki. Pozwala jej uciec? Nadzieja prysła, gdy nacisnęła klamkę. Drzwi nie ustąpiły. Szarpała z całej siły, lecz bezskutecznie.

- Cholera - zaklęła pod nosem.

Zsunęła się na podłogę, oparta plecami o drzwi.

Niebo zaczęły rozświeć pierwsze przebłyski wschodzącego słońca. Lina obudziła się i usiadła w pościeli. Przezroczysta jedwabna koszula nocna, pomyślana jako wabik dla kochanka, a nie ubranie do snu, opadła, odsłaniając ramiona. Przez chwilę nie wiedziała, gdzie jest, była jednak przeświadczona, że czeka ją coś miłego. Pamięć wczorajszego wieczoru zaczęła stopniowo wracać. Przerwana zabawa, omdlenie Monty'ego... Ziewnęła i zaklęła pod nosem. Miała odpocząć najwyżej godzinę, dwie, tymczasem przespala całą noc i pozostawiła Monty'ego na łasce jego przyjaciela, tego niesympatycznego duchownego. Ledwie przyjechał, a od razu zaczął zaprowadzać swoje porządki.

Dość skwapliwie podchwyciła wyzwanie. Monty potrzebował troskliwości, a nie besztania. Czułości i oderwania myśli od choroby, a nie nudnych nauk moralnych. Jak to się stało, że Monty w ogóle zaprosił pastora do Hensley Court? Nawet jeśli zaproponował mu utrzymanie, to dlaczego ten nie udał się bezpośrednio na plebanię?

- Obudziła się pani. - Do pokoju weszła pokojówka Charlotte, niosąc tacę z herbatą. - Dlaczego tak wcześnie? Przecież położyła się pani zaledwie o wpół do czwartej. - Najwyraźniej Meggie nie była zadowolona, że musi zaczynać pracę o tej porze.

- Nikt ci nie wspominał, że dobrze ułożona pokojówka nie krytykuje swojej pani? Masz szczęście, że jestem sama. Moje łóżko na Grosvenor Square może być nietykalną świętością, ale do Hensley Court przyjechałam z zamiarem zgrzeszenia. Co by to było, gdyby jakiś dżentelmen usłyszał, że jesteś taka zuchwała?

- Nie wiem, czy zaliczyłabym mężczyzn, którymi się pani otacza, do dżentelmenów - ciągnęła niezrażona Meggie. - Zresztą w całym domu nie ma nikogo, z kim można by poswawolić. Dobrze pani wie, że pod dachem lorda Montague'a jest pani bezpieczna.

Pastor też się do tego nie nadaje. Wspomni pani moje słowo, w ślad za nim przyjedzie żona i siódemka dzieci.

- Nic dziwnego, że wygląda tak ponuro - skomentowała z przekąsem Lina, smarując rogalik grubo masłem.

Była głodna, choć nie robiła niczego, co mogłoby pobudzić apetyt. Trzy ugryzienia, i po rogaliku. Zabrała się do świeżych truskawek. Poradziłyby sobie bez trudu z pełnym śniadaniem z jajkami, tłustymi kielbaskami i grzankami z grzybami, choć zazwyczaj unikała ciężkostrawnych posiłków, bo po nich dokuczała jej zgaga.

- Pani nigdy nie tarzała się w błocie - perorowała Meggie - więc nieprawdopodobne, żeby w pani pościeli znalazł się któryś z tych chwackich lokajów lorda Montague'a. A zwłaszcza jeden! Co za przystojniak! Cała męska służba też nie najgorsza. Od chłopca ogrodnika do samego majordomusa. Widać, że jaśnie pan lubił otaczać się urodziwymi mężczyznami.

- Lubi. Czas terazniejszy - poprawiła pokojówkę Lina. - Zakładam, że on wciąż...

- Nie znam się na gramatyce, milady, ale on jeszcze żyje, jeśli o to pani chodzi. Pan Pagett jest z nim teraz.

- Tylko tego brakowało, gdy on się czuje tak kiepsko! Podaj ubranie. Szybko!

- A jakie ubranie mam podać? Znowu ten habit? A może coś bardziej transparentnego?

- Nie opłaca się edukować niższych klas. Nie powinnaś nawet znać takiego słowa.

Meggie wcale nie czuła się zbesztana, uśmiechała się.

- Tylko słucham, milady. Sama pani kiedyś tak powiedziała. Zapytałam panny Charlotte, co to znaczy, i byłam zawiedziona, że nie znaczy nic nieprzyzwoitego. Transparentne to tyle co przezroczyste.

- Przezroczyste może być całkiem nieprzyzwoite, zależy, co jest pod spodem. - Lina wstała z łóżka, rozlewając przy okazji herbatę. - Podaj zieloną suknię.

Zdziwienie Meggie było przesadzone, nie mniej jednak prawdziwe.

- Zieloną? Tę, którą zamierzała pani oddać panie Charlotte?

- Przecież nie mogę jej oddać teraz. Zresztą, kuzynka jest o głowę ode mnie wyższa. Ta suknia będzie jej sięgała powyżej kostek.

- To nie jest suknia na orgię. Dekolt za mało wycięty, fason niezbyt wyszukany. Co pani powie o czerwonej?

- Widzisz tu jakąś orgię, Meggie? Najbliższe dni, a może nawet dłużej, spędzę, pielęgnując lorda Montague'a. Jak słusznie zauważyłaś, uwodzenie go to strata czasu, tego świętoszkowatego pastora również. W zielonej nawet ja mogę wyglądać skromnie.

- Włożenie zielonej to dowód, że ma pani poczucie humoru.

Lina nie wiedziała, po co kazała uszyć krawcowej tak niewymyślny strój. Suknia była dobrze skrojona, lecz nie przyciągała oka. Takie stroje Lina nosiła, zanim wyszła za mąż, kiedy wierzyła w szczęśliwe zakończenia.

Henry wyleczył ją z optymizmu, był o czterdzieści lat od niej starszy. Miał pięćdziesiąt osiem lat, a ona osiemnaście, lecz był bogaty jak Krezus, więc jej ojciec był w siódmym niebie. Henry zdążył pochować trzy żony i dwóch martwo urodzonych dzieci, lecz nie stracił nadziei. Młoda, piękna żona powinna wykrzesać z niego ogień, jak zwykł był mawiać, kiedy utyskiwał z powodu nieporadności Liny w łóżku.

Sytuacja zmieniła się na gorsze, gdy przez przypadek odkrył remedium na swoje kłopoty. Którejś nocy, sfrustrowany i niezadowolony z młodej żony, uderzył ją i ona upadła na łóżko.

To nagle podnieciło go tak, że rzucił się na nią, sprawiając jej ból, tak że nie mogła powstrzymać płaczu.

Tydzień później znowu ją maltretował. Początkowo unikał pozostawiania śladów uderzeń na jej twarzy, jednak w miarę upływu czasu bicie po twarzy upodobał sobie najbardziej. Im bardziej widoczne były obrażenia spowodowane jego brutalnością, tym bardziej męski musiał się czuć. Aby zapobiec plotkom na temat traktowania żony, wywiózł ją do odległego majątku ziemskiego, by tam znęcać się nad nią bez świadków.

Jedyne, co mogło go powstrzymać, to ciąża Liny. W końcu doszło do dramatycznego przesilenia. Lina starała się unikać koszmaru współżycia, które wymuszała na niej Henry. Znikąd nie mogła spodziewać się pomocy - wszak obowiązkiem żony było poddanie się mężowi. Nie skarżyła się więc nikomu.

Podczas któregoś lata jej okres się spóźniał. Mijały dni i nic, choć jej organizm był do tej pory regularny jak zegarek, bez względu na wszystkie poniżenia i brutalne trakto-

wanie, których nie szczędził jej Henry. Okłamała go jednak, chciała bowiem zyskać dodatkowy dzień czy dwa wytchnienia.

Minął tydzień. Z dnia na dzień Henry stawał się coraz bardziej niecierpliwy. Po dwóch tygodniach jej piersi stały się bardzo wrażliwe, zaczęły ją męczyć mdłości. Lina już wiedziała; wysiłki męża odniosły skutek.

Bała się, że znienawidzi to, co zagnieżdżyło się w jej brzuchu. Myliła się. Myśl o dziecku zmieniała wszystko. Mąż wreszcie zostawi ją w spokoju, a ona będzie pęczniała i odpoczywała. Do czasu, zanim urodzi jego syna, Henry znajdzie sobie inną kobietę, na której będzie się wyżywał. Zostawi w spokoju ją i dziecko.

Przeciągnęła strunę. Chciała swoją tajemnicę zatrzymać przez jakiś czas dla siebie, tymczasem powinna od razu podzielić się nią z mężem.

Zapamiętała ów dzień aż nadto dobrze. Przyszedł do jej gotowalni i odprawił służące.

- Twoja pokojowa twierdzi, że okłamałaś mnie na temat swojego okresu - zaczął podejrzenie cichym głosem. - To prawda?

- Tak - spłoszyła się. - Chciałam... - Nie dokończyła, jego pieść dosięgła jej twarzy, rozcinając wargę. Z krwawiącymi ustami Lina nie mogła już mówić.

Popęłniła błąd, wybuchając płaczem, bo to rozsierdziło go jeszcze bardziej. Bez opamiętania okładał ją pięściami, a gdy upadła na podłogę, kopnął obutymi stopami. Skuliła się, chroniąc przed ciosami, ale nic to nie dało. Brzuch przeszył nagły skurcz i poczuła wilgoć. Okrutnik zniszczył jedyne, czego pragnął najbardziej ze wszystkiego na tym świecie.

Wreszcie przestał. Jęczała, trzymając się za brzuch. Słyszała, jak mąż ciężko odycha. Próbowwała usiąść. Wiedziała, że ryzykuje, bo Henry rzuci się znowu do bicia. Udało się jej po trzech próbach. Ledwo widziała poprzez opuchnięte powieki. Rozdzierający ból brzucha był nie do zniesienia. Mąż leżał na wznak wsparty na łokciu na łóżku, kopał nogami i walczył o oddech, sapiąc i charcząc.

Wstała, podpierając się na krześle. Kręciło się jej w głowie. Będzie potrzebowała lekarza, ale czy ten potwór pozwoli go wezwać? Teraz widziała go wyraźniej. Rzucił się



jak ryba wyjęta z wody. Jego zazwyczaj rumiana twarz była ciemnofioletowa. Zauważyła z niejaką obojętnością, że tym razem posunął się za daleko: dostał ataku apopleksji.

Opierając się na meblach, dowlokła się do łóżka i stanęła obok. Skupił na niej spojrzenie.

- Doktora... - wycharczał.

- Odesłałeś służbę - odezwała się łagodnym głosem. - Nikt nie usłyszy wołania. Umierasz. Nic już ci nie pomoże. Chcę, byś dowiedział się o czymś, zanim pójdziesz do piekła, na które stokrotnie zasłużyłeś. - Przysunęła się bliżej. - Byłam w ciąży, a ty mnie zabiłeś. Zabiłeś swoje nienarodzone dziecko, Henry, swojego przyszłego dziedzica.

Oczy wyszły mu z orbit. Była przekonana, że rozumiał. Nie mogła chodzić, opadła więc na łóżko, wystarczająco szerokie, by mąż nie mógł jej dosięgnąć. Leżała i patrzyła, jak on umiera. Przepelniała ją głęboka satysfakcja. Postanowiła sobie, że nie zemdleje dopóty, dopóki nie będzie po nim.

Obyło się bez skandalu. Nikt nie zwracał uwagi na posiniaczoną twarz i złamaną rękę wdowy. Jej bladość przypisywano smutkowi i gorączce. Kiedy wezwała do siebie Charlotte, przynajmniej jej ciało zdążyło wydobrzeć.

Lina spojrzała za okno pokoju w Hensley Court ku wieżom zrujnowanego opactwa. Zabawa trwała bez niej. Ominęła ją okazja, by po raz któryś utwierdzić się w przekonaniu, że mężczyźni są okrutni i bezwartościowi. A także by się śmiać, kłamać i grać narzuconą sobie rolę.

Nie wiedziała, co nią kieruje, i nie chciała wiedzieć. Podziw ze strony mężczyzn uderzał do głowy. Nie przeżywała takich samych uniesień, jakich oni doznawali, ale była zbyt dobrą aktorką, by dać im to odczuć.

Czasami czuła przyływ pożądania i miała nadzieję, że w końcu doświadczy tej rozkoszy, o której słyszała od wielu kobiet. Nie zdarzyło się to nigdy.

Zielona suknia była właśnie taka, jaka powinna być: skromna. Monty, który znał ją lepiej niż ktokolwiek, nawet Charlotte, będzie ubawiony. W ostatniej chwili Lina sięgnęła po muszkę i przykleiła ją nad kącikiem zmysłowych ust. Ozdoba przyciągnie uwagę pastora i najpewniej zgorszy go. Na pewno myśli, że ona jest dziwką. Choć włożyła najskromniejszą ze swoich sukien, chciała, żeby nadal tak myślał.

Ruszyła pustymi korytarzami Hensley Court do głównego skrzydła. Wczesnym rankiem wszyscy jeszcze spali, spotkała tylko pokojówkę z wiaderkiem węgla. Dom pochodzący z epoki elżbietańskiej zbudowano w kształcie litery E, na cześć królowej. Nie wiele to pomogło właścicielowi. Monty wspominał kiedyś, że jego przodek i tak złożył głowę pod topór, tyle że dwór pozostał przy rodzinie. Nie wiadomo, co się z nim stanie po śmierci bezdzietnego Monty'ego. Niewykluczone, że, podobnie jak tytuł, przejdzie na jakiegoś dalszego krewnego, jeśli takowy się znajdzie.

Ktoś stał pod drzwiami sypialni Montague'a. W mrocznym, nieoświetlonym korytarzu nie było widać kto. Lina sądziła, że może to życzliwie do niej nastawiony i współpracujący z nią Dodson. Jednak kamerdyner był niewysokiego wzrostu i z lekka przygarbiony. Tymczasem osobnik był wysoki i dobrze zbudowany. Lokaj? Monty lubił postawnych służących.

Gdy wyszedł z cienia, Lina rozpoznała pastora.

- Nie zakłócajmy mu snu - powiedział.

- Nie zamierzam go budzić - odparła spokojnie. - Chcę tylko posiedzieć przy nim, gdy śpi.

Zadała sobie w duchu pytanie, po czyjej stronie stanie Dodson i reszta służby, jeśli ona wypowie otwartą wojnę Pagettowi. Dodson ją lubił i miał do niej zaufanie, ale Pagett był mężczyzną i do tego duchownym. To dawało mu nad nią przewagę. Nikomu nie uśmiechało się trafić do piekła.

Słyszając głosy pod drzwiami, zjawił się lokaj ze świecznikiem. Lina wyciągnęła rękę po świecznik. To samo zrobił Pagett i on odebrał świecznik od sługi.

- Lady Whitmore, nie powinniśmy się sprzeczać pod drzwiami - stwierdził Pagett, obrzucając szybkim spojrzeniem jej suknię, po czym zerknął na prowokacyjną muszkę na policzku.

Lina nie była całkiem pewna, co wyrażał jego wzrok, najpewniej odrazę.

- Nie chcę się z panem sprzeczać.

Nie zdążyła dodać nic więcej. Poczuła, jak pastor chwycił ją za ramię, stanowczym ruchem odsuwa od drzwi i prowadzi w dół korytarza. Nie stawiała oporu, byłoby to poniżej jej godności. Ponadto z pewnością nie zamierzał jej zrobić nic złego.

Wprowadził ją do niewielkiego salonu na końcu korytarza. Były tam sięgające podłogi oszklone drzwi, którymi wychodziło się na ciągnący się wzdłuż domu taras. Nie pytając Liny o zgodę, otworzył jedno skrzydło i wyprowadził ją na zewnątrz, po czym zamknął je za sobą.

- Tu nikt nas nie podsłucha - rzekł pojednawczym głosem.

- Nie przypuszczałam, że mamy sobie do powiedzenia coś, co mogłoby zaciekawić służbę - odparła.

- Otóż... - Urwał i zatrzymał wzrok na jej ustach, czyli zrobił dokładnie to, czego życzyła sobie Lina. - Dlaczego paskudzi pani twarz tymi malunkami?

- Następnie powie pan, że jestem zbyt ładną dziewczyną, by się sztucznie upiększać - odrzekła ze śmiechem.

- Nie, nie powiem, że jest pani ładna. Nie potrzebuje pani pustych komplementów.

- Pustych? - zapytała drwiąco.

- I nie jest pani dziewczyną.

- Jeden zero dla pana - przyznała, lecz to nie było po chrześcijańsku.

- Mówienie prawdy jest nie po chrześcijańsku? Pani chyba zbliża się do trzydziestki.

- Mam dwadzieścia osiem lat.

Linie nie podobał się błysk w oczach pastora. Udało mu się urazić jej próżność.

- Przepraszam. Mimo wszystko dwadzieścia osiem to nie dziewczyna.

- To już ustaliliśmy - odezwała się zirytowana. - Zgoda, nie jestem dziewczyną, więc o co się posprzeczamy?

- Poza pani wiekiem? Chyba o wszystko.

Myślę, że jesteśmy zgodni tylko co do jednego: mianowicie co do naszej troski o Montague'a.

- Zgadza się. - Lina starała się opanować irytację.

- Chcę jak najlepiej dla niego.

- Będąc jego najbliższą przyjaciółką, chcę tego samego. Dlaczego duchowni tak owijają w bawełnę? Niech pan wreszcie powie, co zaplanował, żebym mogła pójść posiedzieć przy Montym.

- O to właśnie chodzi. Nie sądzę, żeby wskazane było, by pani czuwała przy jego łóżku, a nawet w ogóle przebywała w pobliżu. W moim przekonaniu, najlepsze, co mogłaby pani zrobić dla Thomasa, to udać się do rozpustników zabawiających się w ruinach opactwa, które dla nich przebudował, i namówić ich do rychłego wyjazdu. Zostawić go, żeby umarł w spokoju.

- Uważa pan, że on tego chce? To on wpadł na pomysł tej imprezy. Monty jest dumny ze swojej gościnności, nawet jeśli sam nie może uczestniczyć w zabawie. Wynajął dodatkowych kucharzy i służących, poza tym przyjęcie odbywa się poza domem. Wyobraźmy sobie, że je skracamy. Do Hensley Court zwała się nagle tłum gości, żeby się przebrać i wsiąść do powozów. Powstaje tumult, który dopiero zdenerwowałby Monty'ego, jeśli nie będę interweniować, za dwa dni goście sami zaczną się stopniowo rozjeżdżać. Wyjadą zadowoleni i ostatnia impreza Monty'ego będzie okrzyknięta jako triumf towarzyski.

- Trzy dni rozpusty i zgorszenia triumfem towarzyskim?

- Już za późno, by go zmieniać, panie Pagett. Nie ocali pan jego duszy, nie sprawi pan, że wyrzeknie się swoich preferencji. Zresztą, po co? Na skutek choroby i tak jest skazany na wstrzemięźliwość.

- Nie docenia pani jego chęci życia. Znam go od dawna. Nawet na łożu śmierci będzie podszczypywał lokaja. Co do chęci odmienienia go, to nie obchodzi mnie, z kim jest blisko. Natomiast martwi mnie jego dusza. Jeśli chodzi o zbawienie duszy, nigdy nie jest za późno.

Lina spojrzała na duchownego z nagłym zainteresowaniem.

- Pan nie twierdzi, że namiętność do innych mężczyzn stoi na przeszkodzie zbawieniu?

- To sprawa między Thomasem a Bogiem.

- A zbawienie duszy nie jest również sprawą między Montym a Bogiem?

- Rozmowa z panią jest niczym dyskusja z diabłem - orzekł pastor.

- Nie sądzę. Czyż rozmowa z szatanem nie sprowadza się do wodzenia na pokuszenie?

Przysunęła się do niego i uniosła w górę wzrok. Odkryła, że mężczyznom podobało się, gdy wznosiła ku nim pytające spojrzenie spod długich rzęs. Czuli się wtedy ważni. Budził się w nich instynkt opiekuńczy. Manipulowanie nimi dawało jej poczucie siły.

Powiał lekki wiatr i owinał jej spódnice wokół jego nóg. Odsunęła się.

- A pani myśli, że mnie nie kusi, lady Whitmore? - odezwał się pastor. - Mało pani wie o duchownych; przecież jesteśmy mężczyznami.

Lina milczała. Na myśl przychodziło jej wiele prowokujących odpowiedzi, ale moment, w którym jej spódnica owijała się wokół jego nóg, wytrącił ją z równowagi. Wydał się jej bardziej intymny niż moment położenia się obok nagiego mężczyzny.

- Czego pan ode mnie oczekuje, drogi panie Pagett? - spytała z udawanym spokojem. - Oprócz tego, żebym wyprosiła gości Monty'ego? Chce pan, bym do nich dołączyła i tym samym usunęła się panu z drogi?

- Nie! - przerwał jej gwałtownie. - Byłoby dla pani najlepiej, gdyby wróciła pani do Londynu, jeśli nie chce pani odwoływać tego groteskowego, obscenicznego zgromadzenia. Reszta pani przyjaciół pójdzie pani śladem.

- Nawet gdybym chciała pana posłuchać, nie mogę. W opactwie jest moja kuzynka. Niewinna dziewczyna, która przyjechała, by sobie popatrzeć...

- Niewinna?! - przerwał jej oburzony. - Przywiozła pani niewinną dziewczynę, żeby była świadkiem tych bezceństw? Co za potwór z pani!

- Nic jej nie będzie. Nikt jej nie tknie. Nie ośmielą się.

- Pani mówi poważnie? Znając obyczaje tych ludzi?

Po raz pierwszy ożyły wątpliwości, których Lina wolała nie rozpatrywać. Wiedziała, że tam był Rohan, i była świadoma, że Charlotte potajemnie się w nim podkochała.

Dlatego, między innymi, postanowiła zostać kochanką Rohana. Zamierzała wbić klin między niego a Charlotte. Miłość do uwodziciela mogła złamać serce kuzynce. Lina chciała ją od tego uchronić.

Tymczasem Charlotte i Rohan byli w opactwie, a ona spuściła ich z oczu.

- Nic jej nie będzie - powtórzyła Lina, wbrew obawom, które ją nagle opadły. - Jest bezpieczna, zapewniam.

Sama w to nie wierzyła.

## Rozdział siódmy

- Nic nie mogę poradzić - odezwał się Adrian Rohan. - Te drzwi można otworzyć tylko od zewnątrz. Niestety, do jutra rana, do czasu przyjscia służącego ze śniadaniem, jesteś w pułapce.

Bał się, że Charlotte rozplynie się we łzach, a to zawsze go nudziło. Tymczasem naburmuszona wyglądała uroczo, lecz się nie rozplakała.

- Ma pan moje okulary? - zapytała. - Nie widzę wyraźnie.

- Okulary? Skądże! - wyparł się bez żenady. Dobrze pamiętał, co z nimi zrobił. Rzucił na ziemię i rozdeptał. Sądził zresztą, że tak naprawdę ona ich nie potrzebuje. Domyślił się, że chowa się za nimi. - Tu nie ma nic do oglądania. Oczywiście poza mną.

Zignorowała żart.

- Nie może mnie pan tu przetrzymywać - powiedziała lodowatym tonem, który chyba miała zarezerwowany wyłącznie dla niego.

- Niech pani nie nudzi. Oczywiście, że mogę. Wyjaśniam tylko: drzwi pozostaną zamknięte do jutra rana.

- I nie ma pan zapasowego klucza? Wielki wicehrabia Rohan poddaje się przymusowi, godzi się na to, że nie jest panem sytuacji? Trudno w to uwierzyć.

- Drogie dziecko, nie ma pani pojęcia, jakie przyjemności dają niektóre przymusowe sytuacje. Z chęcią bym to zademonstrował. Myślę jednak, że jest pani za mało doświadczona na tego rodzaju eksperymenty i nie doszuka się w nich przyjemności. Po drugie, drzę z obawy, że gdybym pozwolił się związać, mogłaby pani odczuć pokusę potraktowania mojej przymusowej sytuacji zbyt serio.

Charlotte przyjęła odpowiedź w milczeniu. Postanowiła przenieść się spod drzwi. Miała do wyboru niewyściełane krzesło i łóżko. Wybrała oczywiście krzesło. Niech on nie myśli, że pójdzie mu z nią łatwo.

- Porozmawiajmy jak cywilizowani, dorośli ludzie - zaczęła tonem, kojarzącym się Adrianowi ze sposobem wyrażania się jego starej guwernantki. Oczywiście z wyglądu



niczym nie przypominała panny Trilby, która nie miała ani zmysłowych ust, ani jedwabistej skóry czy zgrabnej figury i która nigdy nie nosiła zakonnego habitu. - Proszę nie nazywać mnie dzieckiem, bo jestem o dwa lata od pana starsza.

Rohan powolnym krokiem podszedł do łóżka i rozciągnął na nim, podkładając ramiona pod głowę. Dobrze się bawił. Nie musiał się spieszyć. To, co miała na zbyciu, mógł dostać od każdej innej. Ją jednak różniło coś od innych - osobowość. Była intrygująca.

- Jakim sposobem odkryła pani mój wiek? I po co było to dochodzenie?

Oczywiście znał odpowiedź. Była na tyle nierozsądna, że zakochała się w nim. Mógł jej od razu wyjaśnić, że nie jest wart zachodu, lecz ona i tak trzymała się od niego na dystans, tylko nie odrywała od niego oczu. Mógł powiedzieć jej to teraz, ale przypuszczał, że sama doszła do takiego wniosku. Był bezużytecznym, próżnym, żądnym użycia sybarytą, który nie miał nic wartościowego do zaoferowania światu.

Na jej policzki zaczął wypływać rumieniec, ale momentalnie się opanowała. Patrzył zafascynowany. Był przekonany, że kobiety nie są zdolne do kontrolowania tego rodzaju odruchów. Był niezmiernie ciekaw, jak powstrzymałaby spontaniczne reakcje, które miał nadzieję u niej sprowokować.

- Ktoś musiał o tym przypadku wspomnieć w mojej obecności - odpowiedziała Charlotte.

Ślicznie kłamie na poczekaniu, uznał Rohan.

- A pani przypadkiem zapamiętała?

- Byłam zdumiona, że ktoś w zaawansowanym wieku lat dwudziestu ośmiu wciąż zachowuje się jak nieopierzony młodzik, kontestujący reguły poprawności, i jest niewolnikiem dekadentkich i poniżających zachcianek.

Poniżających zachcianek? To określenie spodobało się Adrianowi.

- Kuzyn Etienne, starszy ode mnie o trzydzieści lat, wciąż jest tak samo rozwiązły, jak za młodu - zauważył. - Może nawet z upływem wieku coraz bardziej. Mam nadzieję, że dorosnę kiedyś do jego poziomu.

Nie kontynuowała tematu jego rozwiązłości.

- Tak czy owak, jestem dwa lata starsza od pana, więc zwracanie się do mnie per dziecko jest absurdem.

- Słodka Charlotte - powiedział miękko, zauważając, jak się skrzywiła, gdy wymówił jej imię. - Pani jest jak dziecko, nie zna pani ciemnych stron życia.

- I jest mi z tym dobrze.

- Jak pani sobie życzy. Proszę jednak pamiętać, że znalazła się tu pani z własnej woli. Nikt pani nie zmuszał do przyjazdu i przebrania się w mnisi habit. Zaryzykowała pani i teraz za to zapłaci. Niech pani nie patrzy z takim zdziwieniem. Nie wątpię, że wyłoni się pani z tej celi smutniejsza, ale również mądrzejsza. Wyzbyta wszelkich niepotrzebnych złudzeń.

- Nie mam złudzeń co do pana.

- Doprawdy? Cieszę się, że to słyszę. Czy ma pani jeszcze coś do powiedzenia jako cywilizowana i dorosła osoba, zanim przyjdzie pani do łóżka?

Wyglądała bardziej na urażoną niż przestraszoną. Dobra nasza, pomyślał.

- Niech pan będzie rozsądny. Nie mam pojęcia, dlaczego uznał pan nagle, że jestem godna pańskiego zainteresowania. Oboje dobrze wiemy, że nie należę do kobiet, w których pan gustuje. Jestem za wysoka, mam rude włosy, piegi i... i... - zaczęła się jąkać.

- I co jeszcze? - podchwycił zachęcająco.

- Nie jestem ładna - dokończyła z lekkim ociąganiem. - Przyjechało tu mnóstwo pięknych kobiet. Czekają na pana. Ja jestem dość pospolita. Nie chce pan chyba tracić czasu dla starej panny.

Musiało ją sporo kosztować, żeby to powiedzieć. Adrian zapragnął wstać i wziąć ją w ramiona. Dotknąć tej aksamitnej skóry, pięknych ust i oświadczyć, jak bardzo jest pociągająca. I tak by nie uwierzyła. Został więc na łóżku.

- Może szukałem odmiany.

- Nie warto, zapewniam pana.

Był przekonany, że aby ją zdobyć, będzie musiał zadać sobie sporo trudu. Za to nagrody spodziewał się tym słodszej. Jedno było zastanawiające. Cały czas dowodziła, że w gruncie rzeczy on jej nie chce. Nie wspomniała ani razu, że ona nie jest nim zainteresowana. Nie był szczególnie próżny, ale znał się na kobietach.

- Chcę zaryzykować - oznajmił.
- Jak mogłabym pana przekonać, żeby mnie wypuścił?
- Wypuszczę panią, kotku, kiedy już będzie pani moja.

Ile kobiet sprowadził przed nią do tej celi? - zastanawiała się Charlotte. Wszystkie zapewne szły chętnie. Czy można się oprzeć urokowi wysmukłej, eleganckiej sylwetki, pięknych dłoni, hipnotycznego spojrzenia i namiętych ust? Trzeba być szaloną, żeby stawić opór.

Co się stanie, gdy ona powie „tak”? On zdejmie z niej ubranie i położą się obok siebie nadzy. Czy pocałuje ją jeszcze raz? Jej wargi ciągle jeszcze były obrzmiałe po pierwszym pocałunku. Jeśli ona położy się obok niego w łóżku naga, czy on będzie ją całował tylko w usta? Będzie jej dotykał? Obejmował? Czy warto do tego dopuścić?

Nie będę nawet próbować, postanowiła. Nie ma dwóch zdań, że po wszystkim Rohan przestanie się nią interesować, i to dopiero będzie bolesne. Nie wierzyła w to, co mówił na temat drzwi. Mogłaby sprawdzić, czy nie da się tego zamka otworzyć. Matka miała zwyczaj zamykać ją w pokoju za złe zachowanie, ale Charlotte nie godziła się na uwięzienie i potrafiła się wydostać. Umiejętnie użytą spinką do włosów można otworzyć większość zamków. Ten zamek chyba nie jest skomplikowany.

W pierwszej kolejności przydałoby się pozbawić wicehrabiego świadomości. A może on po prostu zaśnie? Chyba sporo wypił, chociaż nie było tego po nim widać. Jeśli ona posiedzi cicho, to może on się znudzi i zapomni o jej obecności.

Na wszelki wypadek rozejrzała się za jakąś bronią. Na stole stała butelka wina. Można by nią nabić niezłego guza na pięknej głowie jego lordowskiej mości. Można by go nawet skaleczyć; ciosu nie osłabiłyby chyba bujne włosy. Pomysł ten byłby nawet niezły, gdyby Charlotte znalazła w sobie dość siły, by czegoś takiego dokonać. Poza tym mimo całej złości, jaką do niego czuła, nie zależało jej na uszkodzeniu Adriana Rohana. Niech sobie żyje, jak chce, byle gdzieś bardzo daleko. Najlepiej na innym kontynencie, żeby ona mogła się wyleczyć z zadurzenia.

To śmieszne. Właściwie już powinna być wyleczona. Przecież on ją porwał i pozbawił wolności. Z drugiej strony, to takie romantyczne. Uprowadził ją najprzystojniej-

szy mężczyzna w Anglii, bo jej zapragnął. On przecież mógł mieć każdą, wystarczyło, by wyciągnął rękę. Gdybym była niemądra, czułabym się wyróżniona, uznała Charlotte.

Tyle że nie była ani głupia, ani tchórzliwa.

Na stole stał świecznik. Gdyby zdzieliła Rohana w głowę świecznikiem, chyba by go nie zraniła. Srebro jest metalem dość miękkim. Świecznik mógłby się tylko wygiąć. I co wtedy? A gdyby posłużyć się drewnianym krzesłem, na którym siedziała? Krzesło było chyba jednak za mało poręczne. Najlepiej spróbować upić wicehrabiego, zdecydowała. Jak wypije całą butelkę wina, zmorzy go sen.

- Patrzy pani z takim zainteresowaniem na butelkę, bo ma pani ochotę na kieliszek wina, czy dlatego, że ocenia pani jej skuteczność jako narzędzia obrony?

Charlotte zaczerwieniła się. Rozumiał więcej, niż przypuszczała.

- Doszłam do wniosku, że nie warto ryzykować - odezwała się zadziwiająco spokojnym głosem. - Nie znaczy to, że nie chciałabym pana unieszkodliwić. Uznałam jednak, że praktyczne konsekwencje mogłyby okazać się bardzo niewygodne. Nawet gdyby sąd uznał, że słusznie się to panu należało, nie przeszedłby do porządku dziennego nad samowolną egzekucją arystokraty. Poza tym mdleję na widok krwi.

- Pani? Mdleje? Trudno w to uwierzyć. Zresztą, zdziwiłaby się pani, ale mnie w ten sposób nie da się zabić. Mam wyjątkowo twardą głowę.

Charlotte chwyciła butelkę.

- Mogę spróbować?

- Proszę to odłożyć - polecił zdecydowanie.

Charlotte odwróciła butelkę i zaczęła czytać etykietkę po to, by nie posłuchać rozkazu. Dopiero po przeczytaniu odstawiła butelkę na miejsce. Odwróciła się w stronę Rohana. Jego oczy lśniły w półmroku.

- Jest pani zdecydowana walczyć ze mną, prawda?

- Tak.

- Słusznie. Będziemy zatem musieli wypracować kompromis. Nie zamierzam pani wziąć siłą, chyba pani to wie.

- Nie wiem.

- Mam wiele na sumieniu, ale nie jestem gwałcicielem. Nie używam przemocy wobec kobiet i nie jestem zainteresowany odstępstwem od tej zasady.

- Nie musiał pan, bo żadna panu nie odmówiła.

- Myśli pani, że mój urok jest aż tak zniewalający? Pochlebia mi pani. Zdarzało się, że kobiety mi odmawiały, choć niezmiernie rzadko, to fakt. Pani do nich nie należy.

- Owszem, należę. Może mnie pan zdobyć tylko siłą.

- Nie, kotku - odparł ze śmiechem. - To nieprawda. Będę znosił cierpliwie pani grymasy jeszcze przez jakiś czas. Jeśli pani położy się obok mnie, obiecuję nie dotknąć pani poniżej szyi.

- Wolałabym, żeby mnie pan w ogóle nie dotykał.

- Wierzę. Dopóki mnie pani sama nie poprosi, dopóty nie będę czynił żadnych zakusów na pani cnotę. Proszę, już zbliżamy się do kompromisu.

Charlotte zrobiło się gorąco i zimno na przemian.

- Musiał się pan upić, skoro spodziewa się, że to kiedykolwiek nastąpi.

- Nie tak łatwo mnie upić, kochanie. - Przestał zwracać się do niej „dziecko”, ale owo prześmiewcze „kochanie” jeszcze mniej podobało się Charlotte. - Proszę się położyć. Nic pani nie grozi. Na razie.

- A jeśli się nie położę?

- To zostanie tu pani tak długo, aż postanowię panią uwolnić.

- Dlaczego nie poprosi pan służby, żeby sprowadziła panu inną chętną kobietę?

- Inną chętną? Nie zauważyłem, żeby pani była chętna.

- Chciałam powiedzieć, inną kobietę, która, w odróżnieniu ode mnie, byłaby chętna.

Rozmowa schodziła na niebezpieczne tory. Uwodzicielski głos Rohana sprawiał, że groźby brzmiały jak obietnice.

- Myślę, że pomysł sprowadzenia innej kobiety jest niegłupi. Miałaby pani na co popatrzeć pod warunkiem, że nie narobiłaby pani zbyt wielkiego hałasu.

- Jest pan odrażający.

- Nie zapytała pani, co dostanie, gdy zaakceptuje moją szatańską ofertę. Położy się pani obok mnie, pozwoli się dotykać, a rano opuści celę z honorem i dziewictwem w stanie nienaruszonym - oznajmił.

- Dlaczego miałabym panu zaufać?

- Daję słowo dżentelmena.

Reakcja Charlotte świadczyła o tym, jak małą wiarę pokłada w jego honor.

- A jaka gwarancja zadowolilaby panią?

- Proszę otworzyć drzwi. Będę wtedy wiedziała, że mogę wyjść w każdej chwili.

- Niestety, nie może pani. Ja także nie mogę. Pod tym względem znaleźliśmy się w jednakowej sytuacji. Nie proszę o tak wiele, kochanie. Nie będzie żadnych zakusów na pani panięńskie ciało. Nawiasem mówiąc, nie potrafię sobie wyobrazić, skąd się bierze w pani ten upór. Przybyła tu pani z własnej nieprzymuszonej woli. Stojąc obok lady Whitmore, rozglądała się pani za kimś. Proszę mi powiedzieć, dlaczego pani przyjechała? Czy to mnie pani szukała?

Prawdę mówiąc, w tej chwili Charlotte nie wiedziała, dlaczego postanowiła towarzyszyć kuzynce. Niewątpliwie był to duży błąd. Wykazałam się wręcz głupotą, stwierdziła samokrytycznie.

- Śmieszny pan jest. Powodowała mną czysta ciekawość. Przekroczyłam Portal Wenus przez pomyłkę. Lina miała dopilnować, żeby do tego nie doszło, ale się zgubiłyśmy.

Nie śmiał się, ale Charlotte wiedziała, że Rohan coraz lepiej bawi się jej kosztem.

- Proszę pozwolić mi zaspokoić pani ciekawość. Będę uszczęśliwiony, mogąc pomóc pani doświadczyć tego, o czym do tej pory tylko śniła.

Z tej odległości cios mógłby go jedynie ogłuszyć, a to dałoby dość czasu na ucieczkę, doszła do wniosku Charlotte. Pod warunkiem, że zamek u drzwi nie jest zaryglowany. Jeśli mu wierzyć, to jednak będzie zaryglowany do rana.

- Źle mnie pan zrozumiał - powiedziała naburmuszona. - Jestem starą panną i dobrze mi z tym. Ponieważ nie ma we mnie żadnej skłonności do... folgowania namiętności, jak się wydaje odgrywającej tak wielkie znaczenie w życiu większości ludzi. W



związku z tym uznałam, że mogę przyjechać i dokonać obserwacji. Mam naukowe inklinacje. Uważam, że nie ma nic złego w podsycaniu intelektualnej ciekawości.

Rohan roześmiał się w głos. Powinna się zezłościć, ale nic takiego nie nastąpiło. Zamiast tego zrobiło się jej gorąco.

- Prawdziwy naukowiec nie ogranicza się do obserwacji; eksperymentuje.
- Nie jestem prawdziwym naukowcem. Wystarczą mi obserwacje.
- Posiedzi pani i popatrzy, jak będę zabawiał się z inną, bardziej chętną kobietą?
- Nie - zaprzeczyła pospiesznie i natychmiast tego pożałowała.
- A to dlaczego?

Nie odpowiedziała.

- Mniejsza z tym, kochanie. Pani sekrety są u mnie bezpieczne.

- Nie mam sekretów.

- Czyżby? Jest pani wyjątkowa. - Przeciągnął się leniwie niczym kot. Piękny, elegancki w ruchach kot. - Nie ma pani pojęcia, z czego rezygnuje. W towarzystwie uchodzę za wyrafinowanego kochanka. Żadna kobieta nie opuściła mojego łóżka nieusatisfakcjonowana ani nie odmówiła powrotu.

- To dlaczego żadnej z nich nie ma teraz przy panu?
- Bo chcę ciebie.

Zaniemówiła. Te trzy krótkie słowa wywarły piorunujący efekt. Zabrakło jej powietrza, serce zaczęło bić jak oszalałe. Machinalnie ścisnęła kolana. Cichy śmiech Rohana uzmysłowił Charlotte, że to zauważył.

- Proszę, połóż się obok mnie. Nie zrobię nic wbrew twojej woli. Tylko w ten sposób wyjdiesz stąd w miarę szybko.

Charlotte poczuła się zmęczona zarówno słownym pojedynkiem z Rohanem, jak i siedzeniem na twardym i niewygodnym krześle. Naprzeciwko na z lekka pomiętej narzucie zarzuconej na łóżko wyciągnął się kuszący Adrian Rohan, który przed chwilą wypowiedział słowa, które od lat słyszała w snach: chcę ciebie.

Co złego może się stać? Obiecał, że jej nie dotknie, jeśli ona o to nie poprosi. Przyśiągł, że jej nie zgwałci. Poleży przy nim dostatecznie blisko, aby wsłuchać się w bicie jego serca i poczuć ciepło jego ciała. Być może on jeszcze raz ją pocałuje. Może ona

zgodzi się na niewinne przytulenie. To jedyna szansa, by spędzić noc w ramionach mężczyzny, którego kocha.

Kocha? Nie, to nieprawda. Nie zna go. Ludzie źle o nim mówią. Nie wiadomo z jakiego powodu zdrowa na umyśle, rozsądna i praktyczna Charlotte Spenser marzyła o zagubionym i pięknym wicehrabim, o jego arystokratycznych dłoniach i zmysłowych ustach. A on oferował jej całe to piękno i zagubioną duszę, która się pod nim kryła.

W półmroku widziała, jak jego uśmiech poszerza się, a w oczach pojawia się błysk zadowolenia.

- Chodź do łóżka, Charlotte - powiedział cicho miękkim, proszącym głosem.

Wstała z krzesła.

TLR

## Rozdział ósmy

Adrian zauważył zdenerwowanie Charlotte, chociaż jej się wydawało, że skutecznie je ukrywa. Biedny aniołek. Gdyby miał dobre serce, dałby znać służącemu, by otworzył drzwi, choć wcześniej zarzekał się, że nie ma z nim kontaktu. Pozwoliłby jej odejść.

Tyle że Adrian Rohan nie był dobry.

Nie chciał jednak, by Charlotte zanadto odczuwała jego przewagę nad sobą. Mogłaby się cofnąć i musiałby od nowa zacząć ją przekonywać, a jemu spieszyło się, aby się koło niej położyć, głaskać ją po twarzy, całować w usta.

Łóżko stało przysunięte jednym bokiem do kamiennej ściany.

- Połóż się od ściany - powiedział.

- Dlaczego ja?

- Nie bój się, usunę się, jak będziesz chciała wstać - zapewnił celowo obojętnym tonem. - Wystarczy, że powiesz: chcę wyjść.

Przez chwilę wydawało się, że Charlotte się cofnie. Wdrapała się jednak na łóżko, podciągając w górę habit. Położyła się pod samą ścianą. Adrian udawał, że tego nie dostrzega, i ułożył się swobodnie na swojej połowie łóżka.

- Ty i ja jesteśmy jedynymi osobami, które spędzą tu noc, kochanie. Nie musisz się odsuwać tak daleko.

- Potrzebuję względnie dużo miejsca - odparła chłodno.

Przekręcił się na bok, żeby popatrzeć na Charlotte. Świece oświetlały jej twarz, lecz nie mógł dostrzec złotawych piegów. Co za absurdalna sytuacja! - pomyślał. Jeszcze nigdy nie zadawał sobie tyle trudu, żeby zwabić do łóżka kobietę.

- Przysuń się bliżej, Charlotte - poprosił.

Posłuchała, a on poczuł zapach gorącej kobiecej skóry. Niesforne rude kosmyki okalały pobladłą twarz.

Wyciągnął rękę, żeby odsunąć niektóre sprzed jej oczu. Wzdrygnęła się.

- Nie skrzywdzę cię - powiedział urażony. - Chyba wiesz?

Gdyby zaprzeczyła, prawdopodobnie by ją wypuścił. Jeśli do tej pory nie zrozumiała, że nie będzie jej przymuszał, to sprawa była stracona. Na szczęście nie zorientowała się, jak była blisko uwolnienia.

- Tak - przyznała cicho.

- Co tak?

Ich spojrzenia się spotkały. Orzechowe oczy Charlotte w półmroku wyglądały prawie jak czarne.

- Tak, lordzie Rohan?

- Nie. „Tak, wierzę, że mnie nie skrzywdzisz, Adrianie”. Jesteśmy w łóżku. Mów mi po imieniu.

Spłoszyła się, jakby dopiero teraz zrozumiała, że leżą obok siebie.

- Myślę, że nie wypada - stwierdziła bezsensownie.

- Nie traćmy czasu na zbędne dyskusje. To, co wypada, jest nudne, wolę to, co nie wypada. Lubieżne ekscesy. Tak to nazwałaś czy jakoś inaczej?

- Nie miałam na myśli tej sytuacji - wyjaśniła. - To jest wymuszona bliskość, nic poza tym.

Wyciągnął rękę, dotknął zabłąkanego loczka, przy okazji musnął jej policzek. Tym razem się nie odsunęła. Przypominało mu to osvajanie dzikiego konia. Trzeba działać cierpliwie, przyzwyczajając go do dotyku i ciężaru jeźdźca. Z jedną przerażoną starą panną powinno pójść całkiem gładko. Przynajmniej nie kopie i nie może zabić. Nawet gdyby chciała. Uśmiechnął się do siebie.

- Co pana śmieszy?

- Ty, droga Charlotte.

Zaczął wodzić palcem po jej policzku, po kremowej, aksamitnej skórze. Zamknął oczy, by lepiej odczuwać dotyk i zapach. Nigdy nie wkładał tyle wysiłku w ujarzmienie żadnej żywej istoty, oprócz koni. Sam się dziwił, że to takie przyjemne. Otworzył oczy. Znowu zwały się ich spojrzenia. Delikatnie ujął dłonią brodę Charlotte i przysunął się bliżej.

- Obiecał pan, że mnie nie dotknie - wyszeptała zaniepokojona.

- Nie dotknę, tylko pocałuję. Przetrwałaś pierwszy pocałunek, przetrwasz i ten.

Tamten pocałunek nie dał mu wielkiej satysfakcji. Ona była zupełnie nieporadna, a on nie mógł się skupić, bo musiał manewrować nią, by wciągnąć ją do wykutej w skale celi. Teraz to co innego. Przekona się, że jak pojętą uczennicą ma do czynienia. Nie żywił wątpliwości, że Charlotte łąknie nauki. To będzie pierwszy krok w pożądanym kierunku. Musi jednak postępować ostrożnie, by jej nie zrazić, ostrzegł się w duchu.

Przybliżył usta do jej warg. Widział jej czujne spojrzenie.

- Czego się boisz? - szepnął, niemal dotykając wargami jej ust. - To tylko pocałunek.

Popełniła błąd. Zwilżyła językiem usta. Nie potrafił dłużej opierać się pokusie.

- Rozchyl wargi - poprosił.

Charlotte tego się nie spodziewała, dała się zaskoczyć. Zamarła z wrażenia, spanikowana. Adrian złagodził napór. Stał się delikatny, uwodzicielski, kuszący. Wciąż była spięta, tyle że pozwalała mu robić to, czego chciał. Wreszcie oderwał się od niej, bo czuł, że była bliska omdlenia.

- Oddychaj podczas pocałunku, Charlotte.

- Ale jak?

- Są różne sposoby. Łapiesz powietrze, gdy usta zmieniają kąt, pod którym się dotykają. Cały czas możesz oddychać przez nos. Możesz też wziąć głęboki oddech tuż przed pocałunkiem. Na przykład teraz.

Nabrała powietrza, a on znowu przykrył jej usta swoimi. Pocałunek był długi i głęboki.

- Oddychaj.

Zmienił kąt. Rozkoszował się jej nieporadnością. Ugryzł ją leciutko.

- Oddychaj.

Tym razem Charlotte była gotowa odwzajemnić pocałunek i zrobiła to z gotowością, która podziałała na niego tym bardziej podniecająco, że nie miała najmniejszego pojęcia, co czyni. Było jasne, że nikt przed tym jej nie całował, i ta kapitulacja sprawiła Adrianowi wyjątkową przyjemność.

Czuł, że i w niej narasta podniecenie. Całował kąciki jej ust, potem powieki, okolice oczu, konchę ucha.

- Obiecał pan nie dotykać mnie poniżej szyi - przypomniała.

- I nie dotykam. To ty, skarbie, mnie obejmujesz.

Oderwała dłonie od jego ramion jak oparzona. Roześmiał się, chwycił je i położył tam, gdzie były przed chwilą.

- Nie zrobię niczego bez twojej zgody - obiecał i uciszył pocałunkiem jej protest.

Uznał, że nadszedł czas wydobyć Charlotte z habitu. Wiedział, że najpierw trzeba rozwiązać węzeł sznura, którym strój był przepasany. Wsunął dłoń pod talię Charlotte i przyciągnął ją do siebie. Drugą wolną dłonią mógł zająć się węzłem. Oczywiście splątała go podwójnie, żeby nie rozwiązał się przypadkiem. Rozpraszał uwagę Charlotte pocałunkami, podczas gdy jego palce mozolnie rozplątywały supeł. Robił to bez pośpiechu. Cierpliwość popłacała. Węzeł ustąpił.

Nie zdołał oprzeć się pokusie. Wsunął dłoń w rozcięcie habitu, odnalazł piersi Charlotte i objął jedną z nich.

Szarpnęła się gwałtownie, ale nie przestała go całować. Pieścił brodawkę, która stwardniała mu pod palcami i Adrian myślał już tylko o tym, żeby zedrzeć z Charlotte habit i przywrzeć ustami do jej piersi.

Nie tak szybko, ostudził swój zapal. Jednak ciało buntowało się przeciwko narzuconej dyscyplinie. Może powinien zostawić Charlotte w spokoju i poszukać innej partnerki? Nie, nie zostawi jej. Nie pójdzie na skróty. Da jej tyle czasu, ile potrzebuje, żeby zyskać współpracę z jej strony. Nie zaryzykuje, nie wystraszy jej. Alternatywą jest odmowa. Zaśmiał się do siebie.

- Co tym razem pana śmieszy?

- Z siebie się śmieję. Napytałem sobie kłopotu - wyznał.

Niepotrzebnie to powiedział, bo Charlotte wycofała się pod ścianę. Gdy to robiła, poły habitu rozchyliły się, ukazała się cienka czarna jedwabna koszula, którą miała pod spodem. Charlotte próbowała osłonić się na powrót habitem, ale Adrian uniemożliwił jej to, unieruchamiając ręce. Jednocześnie okrywał uwodzicielskimi pocałunkami jej twarz.

Osiągnął zamierzony efekt, bowiem jej ręce znowu spoczywały na jego ramionach i przywierała do niego ze wszystkich sił, zamiast go odpychać. Nie było to jeszcze kompletne poddanie się, ale zmierzała w pożądanym kierunku. Sam był u szczytu podniece-



nia i wiedział, że potrzebuje chwili wytchnienia, żeby nie wprawić się w zakłopotanie, jakiego nie przeżywał od czasu, gdy był nastoletnim chłopcem.

Co go tak w niej podniecało? Czyżby przeżywał nawrót młodzieńczych fantazji o spełnieniu w ramionach guwernantki? Jego własna nie działała na wyobraźnię, ale guwernantka jednego z kuzynów, niejaka panna Finster, była całkiem niczego sobie.

Oderwał się od ust Charlotte. W ciepłym świetle świec widział jej obrzmiałe od pocałunków wargi i zamglone oczy. Karcący wyraz twarzy zniknął. Kto by pomyślał, że zasadnicza panna Charlotte Spenser może wyglądać tak rozkosznie?

Nie trwało to długo. Skoncentrowała na nim wzrok.

- Co ja robię? - wyszeptała z przerażeniem.

Odepchnęła go. Nie stawiał oporu, przesunął się na swoją stronę. Potrzebował chwili, by zejść z obłoków. Wykorzystała to, próbując wygramolić się z łóżka. Nie dopuścił do tego, oczywiście. Nie chciał usłyszeć „wypuść mnie”, toteż zamknął jej usta pocałunkiem.

Nie zamierzał jej wypuścić, nawet gdyby zdołała wyartykułować żądanie. Stawiała opór, ale on przecież wiedział, że w gruncie rzeczy ona pragnie tego samego, co on. Tylko to się liczyło.

Nie odrywał warg od ust Charlotte dopóty, dopóki nie poczuł, że jej opór słabnie, że jej ciało wiotczeje. Jeszcze raz zadał sobie w duchu pytanie, czy nie opuścić Charlotte, aby z inną kobietą dać upust nagromadzonemu pożądaniu. Wiedział, że nie ma tyle czasu, ile by chciał, ale zabrnął już do punktu, w którym przestało mu na tym zależeć.

- Co robisz? - odpowiedział pytaniem na pytanie. - Leżysz ze znanym, mającym fatalną opinię uwodzicielu.

Adrian jedną ręką z łatwością zsunął habit z ramion Charlotte. Miała piękne ramiona. Teraz, gdy była bliżej światła, widział złociste piegi. Polizał skórę jej ramienia, chciał sprawdzić, jak smakuje.

Zareagowała urwanym okrzykiem, który stłumił pocałunkiem. Była w czarnej, bardzo cienkiej jedwabnej koszuli, bez gorsetu i halek. Opływała miękko ciało Charlotte. Uchwycił dolny obręb koszuli i zaczął powoli podciągać ją w górę. Protest Charlotte nie zrobił na nim wrażenia.

- To nieuniknione - powiedział cicho. - Zarówno ty, jak i ja dobrze o tym wiemy. Nieważne, jak długo to jeszcze potrwa, ale doprowadzę do końca.

- Nie - zaprotestowała bez przekonania.

Powiedziała „nie”. Powinien to uwzględnić.

Podczas imprez organizowanych przez Monty'ego obowiązywała zasada obopólnej zgody i była przestrzegana. Mężczyzna musiał podporządkować się odmowie. Przed chwilą padło słowo „nie”.

- Tak - powiedział stanowczo Adrian i pocałował Charlotte.

Leżała na łóżku w objęciach Adriana Rohana, który całował ją do utraty tchu, i czuła się wspaniale. Ta sytuacja stanowiła ucieleśnienie jej najgłębiej skrywanych fantazji, ale Charlotte miała świadomość, że jeśli jej nie przerwie, będzie skompromitowana. Lina mogła sobie pozwolić na swobodę. Była wdową, kontrakt małżeński gwarantował jej niezależność materialną, nie należała do najwyższych sfer socjety i nie planowała ponownie wyjść za mąż. Nikt nie zwracał uwagi na to, co robiła, jakie zasady łamała, wystarczy, że w terminie spłacała długi karciane.

Dlaczego tej wolności odmówiono jej, Charlotte? Przecież i tak nie miała szansy na zamążpójście. A nawet gdyby doszło do zawarcia ślubu, brak niewinności w jej wieku byłby czymś dopuszczalnym.

Nie zamierzała rywalizować z Liną w podbojach miłosnych. Spodziewała się, że obecna sytuacja więcej się nie powtórzy. Dlatego się nie wycofa. Zrobi to tylko teraz. Chciała leżeć w ramionach ukochanego mężczyzny, pragnęła, żeby ją całował i rozebrał. Pozwoli mu robić te wszystkie nieprzyzwoite rzeczy, o których nawet nie powinna wiedzieć. Tylko dlatego, że to urodziwy, elegancki, nieosiągalny Adrian Rohan.

Jakiś czas temu doszła do wniosku, że nie do przyjęcia byłoby do końca życia nie dowiedzieć się, jaka to magiczna tajemnica sprawia, że mężczyzna i kobieta chcą robić te nieprzyzwoite rzeczy. Dziwnym zbiegiem okoliczności znalazła się w ramionach upragnionego bohatera swych snów, Adriana Rohana. Miałaby powiedzieć mu „nie”? Przecież nie krył, że i tak jej nie posłucha. Tak czy owak ją zdobędzie, choć obiecał, że nie siłą.

Uniósł się teraz nad nią, patrzył na nią spod na wpół przymkniętych powiek.

- Żebyś mogła wiedzieć, jak rozkosznie wyglądasz - powiedział. - Myślę, że wcale nie masz ochoty... Na pewno nie masz ochoty ruszyć się stąd.

- Byłabym ci wdzięczna, gdybyś mnie uwolnił - powiedziała wbrew wcześniejszym myślom o tym, żeby mu się poddać.

Roześmiał się i zniżył głowę, aby musnąć wargami jej powiekę, zmuszając Charlotte do zamknięcia oczu. Przytrzymał ją, kępując jej swobodę ruchów, właściwie więził ją. Zachowanie to wywierało na nią dziwny wpływ. Chciała, by ją kępował.

- Mówię poważnie - ciągnęła. - Jestem pewna, że dobrze się bawisz, ale czas przestać. Kuzynka na pewno mnie szuka. Wystarczy mi tych wrażeń na resztę życia... - Urwała i krzyknęła.

Rohan jednym szarpnięciem rozerwał czarną jedwabną koszulę od szyi po dolny obręb. Nigdy wcześniej Charlotte nie była naga w niczyjej obecności i teraz czuła się jak dziewczyna na ołtarzu ofiarnym. Adrian Rohan patrzył i oceniał.

- Nie wiedziałaś, że masz zachwycającą skórę? Twoje piegi wyglądają jak maleńkie wiórki złota na mlecznobiałej powierzchni.

Przyłożył usta do nasady jej szyi. Czuła, jak muska ją koniuszkiem języka.

- To była koszula Liny. - Charlotte chciała nadać rzeczowy ton swojemu głosowi, ale jej się to nie udało. - Nie będzie zadowolona, że ją zniszczyłeś.

- Twoja kuzynka wysłała cię między wilki bez żadnego zabezpieczenia. Niech będzie szczęśliwa, że wpadłaś w moje ręce, a nie kogoś innego.

- Leżę naga w obcym łóżku. Nie wiem, czy to można nazwać szczęściem. - Teraz jej się udało. Zabrzmiało to chłodno i rzeczowo.

Zareagował śmiechem. W migotliwym świetle świec błyszcząły mu oczy.

- Myślę, że czas już udowodnić ci, jak bardzo dopisało ci szczęście, mój skarbie.

Zanim Charlotte zorientowała się, co on robi, Adrian zsunął się niżej.

## Rozdział dziewiąty

Dotknięcie zelektryzowało Charlotte, szarpnęła się, by się uwolnić, ale nic nie mogła poradzić. Ręce miała unieruchomione zsuniętym do połowy ramion habitem. Okryła się gęsią skórką, ale początkowe zawstydzenie znikło.

- Nie powinieneś - zaprotestowała słabo.

Uniósł głowę, jego oczy błyszczały.

- Nie podoba ci się?

Chciała, żeby kontynuował, lecz to nie było w porządku. To było nieprzyzwoite.

- Nie - powiedziała słabym głosem.

- Kłamczucha.

Znowu poczuła jego dotknięcie. Nie potrafiła powstrzymać cichutkiego jęku. To było coś, o czym nie mogła marzyć w najśmielszych snach. Coś nowego i tajemniczego, i niebezpiecznie potężnego. Oblała ją fala gorąca. Krzyknęła. Zaraz potem zagarnęła ją druga fala i Charlotte zapomniała o wstydzie, poddając się pieszczotom Adriana.

- Dobrze - pochwalił ją. - Jeszcze raz, słodka Charlotte. Jeszcze raz.

Dawała już z siebie wszystko. Czego jeszcze oczekiwał? Był bezlitosny. Gdy opuszczała ją jedna fala, po niej następowała kolejna, potężniejsza od poprzedniej i nie mogła już tego znieść. Zaczęła go błagać.

- Dosyć. Wystarczy.

Potrzebowała chwili, by zauważyć, że Adrian uniósł głowę. Potężne fale gorąca zaczynały powoli wygasać. Miał zamglone, na wpół przymknięte oczy.

- Zadziwiasz mnie. Kto by pomyślał, że taka świętoszka mogła się okazać tak rozkosznie namiętna? W związku z czym pojawia się pytanie, mój skarbie. Co dalej? Zakończymy to jak należy?

Nie zrozumiała.

- Wciąż jestem dziewicą? - zapytała.

Roześmiał się.

- Zadziwia mnie ignorancja Angielek. Tak, nadal jesteś dziewicą, przynajmniej w sensie technicznym. Możemy zostawić cię w takim stanie, jeśli wolisz.

Rozum Charlotte zaczął wreszcie znowu pracować.

- Ale przecież... to znaczy... dlaczego...

- Jeśli usiłujesz zapytać, jak ja osiągnę błogi stan, który pomogłem osiągnąć przed chwilą tobie, to wierz mi, mogę dostąpić zaspokojenia na kilka sposobów. Powiedz, kochanie, czego chcesz. A może ja mam podjąć decyzję za ciebie? Byłoby honorowo pozostawić twoje dziewictwo nienaruszone. Ale ty i ja wiemy, że tak się nie stanie. Zamierzam cię posiąść, panno Charlotte Spenser, a kiedy będzie po wszystkim, możesz żyć po staremu i udawać, że nic się nie stało. Albo próbować tak żyć. Zgódź się, Charlotte.

- A jeśli powiem „nie”?

- Najprawdopodobniej zignoruję to.

- A więc tak - szepnęła. Zdobędzie go, swojego kochanka z marzeń sennych, i nikt nie odbierze jej wspomnienia. - Tak - powtórzyła głośniej. - Chcę ciebie.

Wyglądał na uradowanego.

- A zatem pozbadźmy się tego osławionego dziewictwa.

Adrian położył się między jej nogami. Zdążył rozpiąć spodnie, nawet nie zauważyła kiedy i była z tego zadowolona. Zanim się zastanowiła, poczuła ból i wydała stłumiony okrzyk. Oczy wypełniły się jej łzami, mrugała powiekami, żeby łzy nie spłynęły na policzki. Chciała, żeby ją pokochał. Chciała poczuć coś innego niż ten piekący ból.

Adrian nie ruszał się. Patrzył na nią z góry, z jego twarzy znikła wszelka wesołość. Blond włosy opadły na czoło, oczy patrzyły poważnie.

- Na co czekasz? - zapytała niespokojnie.

- Mam nadzieję, że resztki rozsądku powstrzymają mnie.

Wstrzymała oddech. Przemknęła jej przez głowę myśl o ucieczce. Gdyby ją teraz wypuścił, czmychnęłyby w mgnieniu oka. Załamana, z płaczem, ale by uciekła. Instykt samozachowawczy był w niej silnie zaszczepiony, wiedziała, że znajduje się na krawędzi upadku.

Przez twarz Adriana przemknął słaby uśmiech.

- Kuzyn Etienne twierdzi, że rozsądek jest mocno przeszacowany. Jeszcze raz powiesz „nie”, a może posłucham.

Nadarza się okazja, pomyślała Charlotte. On pozwoli jej odejść i, chociaż już nie jest dziewicą, zachowa niewinność. Zresztą, to bez znaczenia, nigdy więcej nie znajdzie się w podobnej sytuacji.

Ramiona miała wciąż unieruchomione połamami habitu.

- Oswobodź moje ramiona - poprosiła zdeterminowana.

W pierwszej chwili nie zareagował. Potem usiadł i uniósł ją, uwalniając od krępującego ubrania. Usunął też rozdartą jedwabną koszulę Liny.

Sam wciąż był na wpół ubrany. Charlotte zastanawiała się, czy nie stracił nią zainteresowania. Opadła plecami na łóżko.

- Pozwolisz mi odejść? - zapytała.

Wyciągnął rękę, odgarnął włosy znad jej oczu.

Gest był delikatny, niemal pieszczotliwy.

- Nie - odparł krótko i wypełnił ją jednym pchnięciem.

Wygięła się w łuk, chcąc się przystosować do tej gwałtownej inwazji. Nie ma odwrotu. Spełnił to, co obiecywał. Adrian nie ruszał się, czuła skumulowane w nim napięcie. Nie chciała otworzyć oczu, aby chłonąć tę chwilę, w której się zespolili. Zdrowy rozsądek był przeschacowany, tak twierdził jego kuzyn. Musiała się z tym zgodzić, ponieważ to, co się z nią działo, było szaleństwem, a ona dała na to przyzwolenie.

- Otwórz oczy, Charlotte - odezwał się drżącym głosem Adrian.

Zrobiła, o co prosił, spodziewając się ujrzeć twarz człowieka, którego próżność została zaspokojona. Tymczasem zobaczyła twarz pociemniałą, jakby udręczoną, zazwyczaj niebieskie, niemal czarne oczy w półmroku.

- Sprawiam ci ból? - zapytał.

Zdziwiła się. Dlaczego obchodzi go, jak ona się czuje? Chciała odpowiedzieć tonem możliwie jak najbardziej praktycznym, ale głos ją zawiódł.

- W porządku - odparła prawie bez tchu. - Możesz się wycofać.

Parsknął śmiechem.

- Mogę? A niby dlaczego miałbym to zrobić?



- Przecież osiągnąłeś, co chciałeś. Posiadłeś mnie. To nie był gwałt, nie sprzeciwiałam ci się, nie musisz się martwić, że będę miała do ciebie pretensje. To moja wina, że tutaj przyszedłam. Jeśli nie zamierzasz mnie wypuścić do rana, to pozwól mi spać.

Była dumna ze swojej beznamietnej reakcji. Później będzie płakać, kiedy nikt nie usłyszy. Jest już po wszystkim. Była pozornie spokojna. Życie toczy się dalej.

- O, mój słodki aniele - odezwał się łagodnym tonem. - Dziecinko, jesteś naprawdę nieświadoma w sprawach cielesności. Myślałem, że masz lepsze pojęcie o tym, do czego dochodzi między mężczyzną a kobietą. Nie byłaś na wsi?

- Co też ci przychodzi do głowy? Miałabym stać i patrzeć, jak parzą się zwierzęta?  
- Charlotte udało się uderzyć w urażoną tonację. - Rodzice dobrze nas pilnowali, a Lina nigdy o niczym nie mówiła. Więc nie skończyłeś?

- Moja droga panno Spenser, dopiero zaczynamy.

Zaczął się wycofywać, ale tylko po to, by wtargnąć do jej wnętrza znowu, jeszcze głębiej. Krzyknęła, zaskoczona. Nie zważał na jej krzyk. Wycofywał się częściowo i wracał.

- Co robisz? - zapytała, gdy udało się jej nabrać odpowiednio dużo powietrza w płuca.

Zaciskała kurczowo palce na rękawach jego koszuli.

- Mam nazwać rzecz po imieniu? - szepnął, muskając ustami jej wargi i przyspieszając rytm.

Poczuła, jak twardnieją jej sutki, a w dole brzucha zaczyna narastać nieopisane ciepło. Chciała, by ta inwazja trwała, by ten palący jej wnętrzości ogień strawił ją do reszty.

- Nie mogę czekać... - usłyszała jego zdyszany głos.

Wiedziała, że zaraz nastąpi jakiś wspaniały moment. Adrian znowu wzmógł rytm, po czym wycofał się i osunął obok niej na pościel.

- Przepraszam - odezwał się po chwili, gdy przestał łowić otwartymi ustami powietrze, ale nie wydawał się zbyt skruszony. - Wywarłaś na mnie niespodziewanie silny wpływ. Ledwo zdążyłem. Nie chciałbym narazić cię na niechcianą ciążę.

Domyśliła się, o co mu chodziło. Pozostawił ją pustą, spragnioną, niezaspokojoną. I co kobiety w tym widzą? To obrzydliwe i poniżające. Poprzednie pieszczoty były przyjemne, ale to... Niestety, w zamian za kilka minut niewyobrażalnej przyjemności zniszczyła swoją przyszłość.

Chciała usiąść, ale Adrian jej nie pozwolił.

- Uwierz mi, zazwyczaj lepiej się spisuję. Nie mam pojęcia, dlaczego tak bardzo mnie podniecasz. - Przyciągnął ją do siebie.

Nie miała siły, żeby mu się opierać. Objął ją ramionami, otoczył całym sobą.

Napięcie Charlotte powoli ustępowało. Tego pragnęła, o takiej chwili marzyła. Leżała odwrócona do niego plecami, a on przytulał ją do swojego gorącego ciała. Nagle, zanim się zorientowała, do czego on zmierza, zsunął w dół jedną dłoń.

- Nie - zaprotestowała ostro, próbując zatrzymać jego dłoń.

Przyciągnął ją do siebie jedną ręką, drugą wsunął jej między uda.

- Nie skończyliśmy - szepnął jej wprost do ucha. - Ty nie skończyłaś.

Odszukał miejsce, którego dotykał wcześniej. W jednej chwili walczyła z nim, w następnej zamarła w bezruchu w jego objęciach, każdym nerwem chłonąc wstydlivą przyjemność, jaką jej sprawiał. Chciała zwrócić się przodem do niego, ale nie pozwolił.

- Proszę, wystarczy. Nie zniosę więcej - zaczęła błagać.

- Zniesiesz wszystko, co ci dam.

Tym razem pograżyła się w ciemności, z której nie było ucieczki. Nie panowała już nad emocjami, nie mogła powstrzymać krzyku wrywającego się z jej piersi. Odwrócił ją ku sobie, głaskał po włosach, zalanej łzami twarzy. Kiedy łkanie ucichło, pocałował tak czule, że miała chęć rozpłakać się na nowo. Szepnął jej do ucha czule i bezsensowne słowa uznania, miłości, życzliwości.

- Teraz zaśnij, mój aniele. Potrzebujesz snu.

Przytulona do niego, czuła, że Adrian znowu jej pożąda, ale jemu chyba nie spieszyło się, by coś z tym zrobić.

- Śpij. - Muskał wargami jej brwi.

Ułożyła się do snu.

Adrian przyglądał się kobiecie śpiącej w jego ramionach. Przeżywał moment obniżonej samooceny, co mu się czasem przytrafiało po stosunku. Powinien był zostawić Charlotte w spokoju.

Zdażył się już przekonać, jak niebezpieczna była dla jego ego. Pochlebiali mu ukradkowe spojrzenia, którymi go śledziła, i doskonale skrywane zainteresowanie jego osobą. Teraz zrozumiał, że już dawno temu wpadła mu w oko. Pragnął jej, ale był zbyt dumny i próżny, żeby się do tego przyznać. Wicehrabia Rohan mógł mieć każdą piękną kobietę w Londynie czy Paryżu. Dlaczego tracił czas na niedoświadczoną starą pannę, której nikt nie chciał? Starszą od niego, chociaż niewiele, z pokrytą piegami skórą koloru kości słoniowej, zgrabnymi długimi nogami? Musiał chyba stracić rozum.

Powinien od razu odprowadzić ją do domu i zwymyślać za lekkomyślność. A jeszcze lepiej, kazać jakiemuś służącemu, aby ją odprowadził. Co za idiotka z niej, że dała się tu zwabić. Gdyby był przyzwoitym człowiekiem, wyprowadziłby ją z pułapki, w którą sama się wpakowała.

No cóż, przecież nie był szlachetnym rycerzem z bajki, a pod ręką nie było służącego, któremu mógłby powierzyć Charlotte. W gruncie rzeczy z nim była bezpieczniejsza niż z większością jego współtowarzyszy w grzechu. Wzdrygnął się na myśl, jak potraktowałby ją Etienne.

Westchnęła ciężko przez sen. Pomyślał, że zachował się jak łajdak. Dobrze, że przynajmniej zadbał o to, aby nie zaszła w ciążę. Miał nadzieję, że skutecznie. Dla pewności poprosi Linę, żeby zaparzyła jej ziółek, które londyńskie damy piją w celu uniknięcia niechcianej ciąży. Adrian potrafił wyobrazić sobie, co uczyniłby jego ojciec, gdyby te środki ostrożności okazały się nieskuteczne. Ten hipokryta obdarłby go ze skóry.

Za to matka byłaby uszczęśliwiona.

Wstał z łóżka, podszedł do stojaka, na którym stał dzban z wodą i miska. Nalał wody do miski i namoczył w niej ręcznik. Spojrzał na Charlotte. Spała smacznie, nie powinien jej budzić, ale na pewno czułaby się lepiej po umyciu. Prawdę powiedziawszy, po raz pierwszy kochał się z dziewczicą. Wyobrażał sobie, że mogła się poczuć wykorzystana.

Wślizgnął się z powrotem do łóżka i zaczął ją powoli i delikatnie obmywać wilgotnym ręcznikiem.

Otworzyła rozespiane oczy.

- Śpij, śpij, kochanie. - Wsunął jej między nogi wilgotny ręcznik. - Wiem, że wołałabyś wymoczyć się w wannie. Jak tylko pokaże się służący, każę mu przygotować kąpiel, a tymczasem to przyniesie ci ulgę.

- Jak przyjdzie twój służący, to uwolnisz mnie? - wyszeptała.

- Sama nie zechcesz.

- Chcę teraz.

Pochylił się i musnął ustami jej wargi. Wydała stłumiony pomruk, chyba było jej przyjemnie.

- Boli cię? - zapytał.

Znowu jej zapragnął. Mimo to zamierzał dać jej trochę wytchnienia. Może nie jest takim strasznym łajdakiem...

Niby dlaczego powinien ją oszczędzać? Nie było powodu, żeby jej nie wziął, skoro miał na to ochotę. Usunął ręcznik i sięgnął po Charlotte. Na wpół senna, przytuliła się do niego chętnie, z ufnością. To go otrzeźwiło. Szyderczy uśmiech wykrzywił mu twarz. Powinna się bronić, a ona spała w jego ramionach ufna jak małe dziecko.

A co ona z nim zrobiła? Nękają go skrupuły, że chce spełnić swoją zachciankę. No cóż, to poczeka.

Otoczył Charlotte ramieniem i postanowił się zdrzemnąć.

## Rozdział dziesiąty

Etienne de Giverney, niegdyś hrabia de Giverney, wstał z łóżka. Niegdyś, bo stara francuska arystokracja w ogarniętym rewolucyjną pożogą Paryżu nie używała tytułów. Obecnie wszyscy stali się zwykłymi obywatelami.

Hrabiowski tytuł, należący mu się od urodzenia, przejął dopiero wtedy, gdy jego kuzyn, Francis Rohan, zrzekł się go bez żalu, opuszczając Francję. Prawnicy załatwili wszystko, co trzeba, na dworze królewskim i sprawiedliwości stało się zadość. Etienne z radością opuścił gabinet lekarski, w którym z taką niechęcią pracował, i przynajmniej przez kilka krótkich lat cieszył się życiem, na jakie zasługiwał w wielkim starym domu w Paryżu i zamku na wsi.

Zamek stoi teraz w ruinie, spalony i splądrowany. W czasie napaści zginęło kilku jego służących, ale większość przyłączyła się do napastników. Służba zawsze go nienawidziła. Paryski dom mieścił teraz podobno jakąś agendę rządową. To nie rząd, a pośmiewisko! Te kanalie i prostytutki nie mają pojęcia o rządzeniu. Krwawy reżim upadnie, to tylko kwestia czasu, uważał Etienne. Stara arystokracja wróci i odzyska dawną pozycję.

Tymczasem hrabia de Giverney musiał się pogodzić z życiem wygnańca, na dodatek bez grosza przy duszy. Dobrze chociaż, że Anglicy respektowali jego francuski tytuł. Kuzyn Francis okazał się szczodry, niewykluczone, że powodowały nim wyrzuty sumienia. Tyle że ktoś taki jak Francis Rohan nie miał sumienia.

Było bardziej prawdopodobne, że za szczodrością Francisza kryła się jego żona z jej idiotycznym angielskim poczuciem honoru. Za jej sprawą Rohan senior porzucił rozwiązy tryb życia i zanosilo się na to, że będzie żył wiecznie. Etienne gardził żoną Francisza. Żadna Francuzka nie poniżyłaby się do tego stopnia, by brać męża pod pantofel. No i był jeszcze ten synalek Francisza, Adrian, wicehrabia Rohan. Dostał tytuł po ojcu, którego angielski król wyniósł do godności markiza. Przynajmniej on hulaszczym trybem życia wpędzi się przedwcześnie do grobu, który to los, zdaniem Etienne'a, należał się jego ojcu.

Wziął Adriana pod swoje skrzydła, mimo że markizowi to się nie spodobało, ale dezaprobata rodziciela umocniła tylko Adriana w chęci pozostania na złej drodze. Etienne wprowadził go we wszystkie rozkosze wielkiego świata, z których korzystanie powinno skrócić mu życie. Anglicy są tak śmiesznie konwencjonalni. Adrian lubił myśleć o sobie, że jest prawdziwym libertynem, człowiekiem bez sumienia, podczas gdy w rzeczywistości wciąż trzymał się wielu bezsensownych zasad. Moralność jest dla słabeuszy. Im prędzej Adrian w to uwierzy, tym pewniejsza jego zguba, ku satysfakcji Etienne'a.

Zastanawiał się, z kim Adrian zniknął w tej swojej celi. Starał się trzymać blisko niego. Kiedy widział go po raz ostatni, Adrian śledził jakiegoś młodego mnicha. Ciekawe, czy pod habitem kryła się dziewczyna, czy chłopak. Właściwie to bez znaczenia. Jeśli Adrian nabierze upodobania, którego do tej pory nie objawiał, Etienne poradzi sobie z tym z zimną krwią i bardzo skutecznie.

Nie ma pośpiechu. Jeśli tylko Adrian będzie podążał drogą, na której jest obecnie, Francis Rohan, markiz Haverstoke, straci kolejnego dziedzica. Jego pierwszy syn zmarł przed dziesięciu laty, Adrian nie pożyje długo, jeśli Etienne będzie sprawował nad nim opiekę. Po śmierci Adriana cały imponujący majątek, pieniądze i ziemia przejdą na Etienne'a wraz z nowymi i starymi tytułami. Adrian dość chętnie sam przykłada rękę do swojej zguby, a tymczasem Etienne korzysta z uroków życia w Anglii i nie narzeka.

Zanurzył dłonie w misce z wodą. Dobrze, że wziął ze sobą własnego służącego. Gaston pozbędzie się tej dobrze opłaconej kurtyzany, z którą Etienne spędził noc. Nie ruchoma, śledziła każde jego poruszenie się. Dawno przestała chlipać, w tępych spojrzeniu była tylko nienawiść. Zapłaci jej dobrze, wystarczająco dobrze, by ukrywała ślady pobicia.

Wciąż nie dawało mu spokoju, z kim jest Adrian. Nie z hrabiną Whitmore - Etienne widział ją podążającą w przeciwnym kierunku w towarzystwie przystojnego lokaja. Adrian nigdy nie zatrzymywał jednej kobiety na dłużej niż na jedną noc. Przy śniadaniu okaże się, kim jest jego wybranka. Wtedy Etienne podejmie decyzję, czy jest się czym martwić.



Do tej pory, w ciągu trzech lat pobytu Etienne'a na wygnaniu w Anglii, Adrian nie nawiązał trwałych relacji z żadną kobietą. Adrian, tak jak jego ojciec kiedyś, grzeszył otwarcie. Tym lepiej.

Etienne rzucił ostatnie spojrzenie milczącej kobiecie i, pogwizdując wesoło, wyszedł do skapanego w porannym słońcu ogrodu.

*Raz pewien jurny ositek w Bath*

*Wziął, co podsunął mu ślepy traf...*

- Zamierza pani raczyć Monty'ego tymi sprośnymi rymowankami? Nie stać pani na nic lepszego? - Simon Pagett był wyraźnie zde gustowany.

- A co pan proponuje? Umoralniające kazanie? Zdążył pan wygłosić niejedno - odparowała Lina.

- Dzieci, dzieci - upomniał ich słabym głosem Montague. - Nie kłóćcie się. Simonie, co takiego się stanie, że posłucham kilku frywolnych limeryków? Wierz mi, lady Whitmore ma niezwykły talent do ich układania. A ty, Lino, mój skarbie, musisz wiedzieć, że kazania Simona są naprawdę interesujące. W przeciwnym razie nie ściągnąłbym go do naszej parafii, wierz mi.

- Nie próbuj mi wmawiać, Monty, że zamierzałeś zacząć chodzić do kościoła po przejęciu parafii przez wielebnego Pagetta. Nie urodziłam się wczoraj.

- Gdzież bym śmiał. Tylko męczą mnie te wasze utarczki. Idźcie gdzieś na bok, pobijcie się i przyjdźcie pogodzeni.

Linę ogarnęło poczucie winy. Ujęła wychudłą rękę przyjaciela.

- Przepraszam, mój drogi. Naturalnie, te spory są zbyt ciężkie.

- Moja droga, zmiażdżysz mi palce - zauważył Monty. - Jego twarz była szara, wargi bez krwi, ale oczy wciąż patrzyły bystro.

Lina rzuciła zmartwione spojrzenie pastorowi. Nie ścisnęła dłoni przyjaciela, a on i tak odczuł ból.

- Czasami nie zdaję sobie sprawy, jaka jestem silna - tłumaczyła się z fałszywą wesołością.

- Właśnie - powiedział Monty.

Lina odsunęła się od łóżka, ustępując miejsca pastrowi. Dlaczego przed chwilą popatrzyła na niego tak, jakby spodziewała się z jego strony pomocy? Ktoś taki jak Simon Pagett nie był zdolny do udzielenia pomocy. Nie cierpiał jej, a dla niej był tylko męczącym nudziarzem. Monty nie potrzebował nauk moralnych w ostatnich dniach, może tygodniach, życia. Dla Liny byłoby upokarzające widzieć go zredukowanego do roli pokutującego grzesznika.

- A ty, drogi Simonie - ciągnął Montague - powinieneś traktować moją ukochaną Linę z większym szacunkiem. Zajęła miejsce przy mnie, podczas gdy pozostali się bawią. Zresztą, nie wiem, co robią.

- Nie?! - Simon był wzburzony. - Przyjmujesz ich u siebie i nie wiesz, co robią?

- Och, wyobrażam sobie, że niektórzy przywołują diabła, ale ponieważ ja nie wierzę w jego istnienie, trudno, żebym się tym martwił. Bawią się jak dzieci przynajmniej ci, którzy nie oddają się rozpuście. - Popatrzył na Linę. - Trudno uwierzyć, że ten purytanin mógłby coś wiedzieć o rozpuście, prawda? Wyobraż sobie, że ma pojęcie, kiedyś jej skosztował.

Lina wolałaby nie wdawać się w rozważania na ten temat, lecz nie chciała robić przykrości Monty'emu.

- Rzeczywiście, trudno uwierzyć - potwierdziła. - Z czego wnoszę, że wszyscy możemy być zbawieni - dodała lekkim tonem. - Nawet takie kobiety jak ja.

- Myślę, że on wywiera na ciebie zły wpływ, moja droga. Zazwyczaj nie jesteś taka samokrytyczna. W porównaniu z niektórymi znanymi mi paniami jesteś wzorem cnót. - Monty popatrzył na Pagetta. - Jeśli zamierzasz sprawić, żeby Lina zaczęła źle o sobie myśleć, to będziesz musiał wyjechać. Nie mogę pozwolić, by moja najlepsza przyjaciółka czuła się poniżona.

- Lady Whitmore nie potrzebuje mojej aprobaty w kwestii swojego stylu życia. Sama musi dokonać wyboru.

- Dostyc już tych filozoficznych rozważań. - Monty był wyraźnie rozdrażniony. - Oboje musicie nauczyć się ustępować sobie nawzajem. Nie możecie walczyć ze sobą nad moim łóżem śmierci. To ja wolałbym cały czas być w centrum uwagi. Albo się pogodzi-

cie, albo ustalicie między sobą godziny odwiedzin w mojej sypialni, żebyście nie musieli się w niej spotykać. Teraz chcę odpocząć. Idźcie sobie, oboje.

Po raz drugi Monty kazał Linie wyjść razem z tym wiecznie niezadowolonym pastorem. Zaczynała nabierać podejrzeń. Może jest przewrażliwiona, może to nic poza przejawem złego humoru chorego i nie kryje się za tym żadna intencja, ale z Montym nigdy nic nie wiadomo.

Przyjrzała mu się uważnie. Sprawiał wrażenie rozdrażnionego i wyczerpanego, trudno powiedzieć, czy kierowały nim jakieś ukryte motywy. Być może wymyśliła to sobie.

Simon chwycił ją za łokieć, chcąc poprowadzić do drzwi.

- Monty, zawsze byłeś draniem - powiedział do chorego. - Postaram się przekonać lady Whitmore, żeby wyjechała i zostawiła cię pod moją opieką. Zaslługujesz na to.

- Nie uda się panu - odparła Lina.

Popatrzyli sobie w oczy. Pagetta były brązowe.

Dziwne, Lina zawsze sądziła, że brązowe oczy powinny być ciepłe, sympatyczne. Te były ciemne i posepne.

- Nie docenia mnie pani.

Lina spodziewała się, że Monty ponagli ich do opuszczenia sypialni, ale on zdążył zapaść w niespokojną drzemkę. Chciała uwolnić ramię od uścisku pastora, ale on trzymał ją mocno, prawie boleśnie i wyprowadził z pokoju chorego, zanim zdążyła głośno zaprotestować.

- Nie trzeba go budzić - rzekł, puszcżając łokieć Liny po zamknięciu drzwi sypialni. - Potrzebuje dużo snu. Porozmawiajmy. Sądzę, że mamy sobie coś do powiedzenia. W końcu przyświeca nam ten sam cel: chcemy towarzyszyć w ostatnich dniach życia komuś, kogo oboje kochamy.

Choć dla Liny brzmiało to zanadto intymnie, postanowiła nie oponować.

- Rzeczywiście - potwierdziła z całym spokojem, na jaki było ją stać, aby ukryć ból, który sprawiły jej te słowa.

- Kazałem służbie podać lunch na tarasie. Możemy tam rozmawiać, nikt nas nie podsłucha, a będziemy dostatecznie blisko na wypadek, gdyby Montague nas chciał widzieć.

Simon Pagett działał jej na nerwy. Po pierwsze, jakim prawem szarogęsił się w tym domu i wydawał polecenia służbie w sprawie lunchu, a na dodatek zakładał, że ona chce jeść razem z nim? Po drugie, skąd przyszło mu do głowy, że ona wysłucha tego, co on ma do powiedzenia? Jest pastorem i starym przyjacielem Monty'ego, ale to nie upoważniało go do podejmowania decyzji i rozkazywania służącym.

I co ten Monty robił najlepszego? Gdyby go dobrze nie znała, podejrzewałaby, że próbuje wyswatać ją i tego ponurego pastora. Taki pomysł mieściłby się w konwencji absurdu, tak często stosowanej przez Monty'ego. Jedną z najbardziej zbrukanych gołębic londyńskiej socjety i duchowny. Wyobrażał sobie najprawdopodobniej, że zetknięcie tych dwojga wywoła istny gejzer uczuć.

Simon Pagett patrzył na nią z góry. Pogardzał nią, tak to odczytywała, chociaż starał się zachowywać uprzejmie, przynajmniej do pewnego stopnia. Lina wiedziała jednak, co kryje się za jego posepną maską. Zresztą, co z tego? W jej oczach również był odpychający. On i ona byliby ostatnimi ludźmi na świecie, którzy mogliby zapalać do siebie sympatią.

W czasie trwania koszmarnego małżeństwa tylko raz próbowała poszukać pomocy. Pobita, zrozpaczona, udała się do miejscowego proboszcza, prosiła go o radę i ratunek. Duchowny odpowiedział jej, że szczęściem kobiety i jej obowiązkiem powinno być bezwarunkowe poddanie się woli męża.

Po powrocie do domu stwierdziła, że proboszcz zdążył wysłać do jej męża list, w którym ujawniał treść ich rozmowy. Wtedy Henry po raz pierwszy pobił ją do utraty przytomności. Lina od tamtej pory nie postawiła nogi w kościele.

A teraz ten!

- Zjem u siebie w pokoju - powiedziała.

- Nie chce pani chyba, aby służba myślała, że jesteśmy skonfliktowani.

- Mam w nosie to, co myśli służba.

Wydawało się, że na dnie jego ciemnych oczu dojrzała iskierkę wesołości.

- W gruncie rzeczy, ja także, ale wolałbym, żeby Montague miał spokój. Niech się ludzi, że to niedorzeczne swatanie przynosi jakieś wyniki. Lepiej udawajmy, że wszystko toczy się po jego myśli.

Lina poczuła, że się czerwieni.

- Nie miałam pojęcia, że pan też to podejrzewa.

- Znam Montague'a od dawna. To byłoby w jego stylu.

Lina była takiego samego zdania, ale z jakiegoś powodu drażniło ją, że Pagett to powiedział.

- Jestem bardzo zamożną wdową - oznajmiła lodowatym tonem - i nie taką znowu nieatrakcyjną. Większość mężczyzn uznałaby mnie za dobrą partię.

- Chyba nie poczuła się pani dotknięta?

- Pan nie może mnie urazić, panie Pagett.

- Proszę mówić mi po imieniu, Simon. Ile razy zwraca się pani do mnie „pastorze” albo „panie Pagett”, nie mogę się oprzeć wrażeniu, że robi to pani z przekąsem.

Wyszli na taras, gdzie zastali stół nakryty dla dwóch osób. Pastor przytrzymał krzesło Linie. Nie chciała robić sceny, więc usiadła.

- Tak panu mówi pańska chora imaginacja, pastorze - położyła nacisk na ostatnim słowie.

- A ja podejrzewam, że o wiele łatwiej panią obrazić, niż pani przypuszcza - odrzekł, sadowiąc się naprzeciwko.

Na stole nie było kieliszków do wina. Lina potrzebowała się napić czegoś mocniejszego od źródlanej wody.

- Nie będziemy pili wina? - zapytała.

- Nie używam alkoholu.

Oczywiście, jakże inaczej. Ona miała wielką ochotę na wino, na pewno jednak nie przyzna się do tego. Po raz pierwszy nadarzyła się okazja, by w świetle dziennym przyrzec się twarzy Pagetta. Nie był taki stary, jak myślała - bruzdy na twarzy powstały pod wpływem życiowych doświadczeń, nie starszego wieku. Od ciemnych włosów odcinało się jedno pasmo siwizny. Wyglądało zaskakująco. Lina odniosła wrażenie, że wcześniej gdzieś spotkała pastora.

- Czy my się kiedyś poznaliśmy? - zapytała nagle.

- A bywała pani ostatnio w kościele, lady Whitmore?

- Skądże. Uzmysłowałam sobie tylko, że być może już pana widziałam.

- Możliwe. Mieszkałem jakiś czas w Londynie, zanim zostałem duchownym. Kiedy odbył się pani debiut w towarzystwie?

Pamiętała aż nadto dobrze. Miała siedemnaście lat, była niewinna i stała się gwiazdą sezonu.

- Ponad dziesięć lat temu - odparła. - Zapamiętałby mnie pan. Zwracałam uwagę.

- Przykro mi panią rozczarować, ale nic nie pamiętam z tamtego okresu, nawet takiej piękności jak pani. Najczęściej byłem pijany.

- Myślałam, że pan nie pije.

- Teraz już nie. Stwierdziłem, że alkohol źle na mnie działa. Naprawdę wątpię, byśmy mieli okazję spotkać się wówczas. Spędzałem czas w domach publicznych i jaskiniach hazardu. Żadna przyzwoita pani domu nie wpuściłaby mnie za próg, a już na pewno nie przedstawiłaby mnie młodej i niewinnej panience, jaką pani wtedy była.

- Sprawia pan, że czuję się jak starowinka. Tymczasem mam dwadzieścia osiem lat. Jestem sporo od pana młodsza.

- Ja mam trzydzieści pięć - poinformował sucho. - Proszę zamknąć usta, lady Whitmore. Jeśli pragnie pani wyrazić zdziwienie, wystarczy unieść brwi.

Lina patrzyła zdumiona. Dostrzegała oznaki hulaszczego trybu życia na jego twarzy. Ten jej samozwańczy sędzia wcale nie był święty.

- Widzi pani, że wiem, o czym mówię. Thomas wkrótce spotka się ze Stwórcą. Wierzę, że Bóg powita go z rozwartymi ramionami i przebaczy mu. Sądzę jednak, że będzie mu łatwiej odejść, jeśli pogodzi się z nim wcześniej. Właśnie dlatego wołałbym, żeby nie siedziała pani przy nim i nie recytowała nieprzyzwoitych wierszyków ani nie opowiadała plotek o znajomych.

- Czyżby pańska awanturnicza przeszłość uprawniała pana do mówienia innym, jak mają żyć, pastorze?

- Mam na imię Simon - poprawił ją chłodnym tonem.



- Pańska historia jest wzruszająca. Gdybym była sentymentalna, zalałabym się łzami. Spójrzmy jednak prawdzie w oczy. Dopiero co przyznał się pan, że był pijakiem, rozpustnikiem i...

- Kłamcą i złodziejem - odpowiedział. - Te rzeczy zazwyczaj idą w parze.

- Kłamcą i złodziejem - podchwyciła skwapliwie Lina. - Był pan tak samo nikczemny jak wszyscy mężczyźni, których znam, z zaszczytnym wyjątkiem pańskiego starego przyjaciela, Monty'ego. Myśli pan, że wystarczy przestać się łądaczyć i pić, by od razu stać się człowiekiem, który ma prawo osądzać innych. Obawiam się, że z tym nie mogę się zgodzić. Nie. powinien pan osądzać ani Monty'ego, ani mnie. Będę żyła tak, jak mi się podoba, i nic mnie nie obchodzi, co pan albo ktoś inny ma na ten temat do powiedzenia.

Patrzył na nią, ale Lina odniosła wrażenie, że jej nie słucha, jakby coś go zaabsorbowało w samym środku jej tyrady.

- Wszyscy mężczyźni, których pani zna, są łądakami, lady Whitmore? - zapytał miękkiem głosem. - W takim razie dlaczego pani ich wszystkich do siebie dopuszcza niczym dziwka?

Lina nie wytrzymała i spoliczkowała pastora. Nigdy do tej pory nikogo nie uderzyła. Teraz jednak wyciągnęła dłoń ponad stołem i wymierzyła cios najsilniej, jak zdołała. Odgłos uderzenia przypominał wystrzał. Na twarzy pastora ukazały się ślady po jej palcach.

Wtedy on jeszcze bardziej pogorszył sytuację.

- Przepraszam - powiedział cicho. - Zasłużyłem na to.

To była kropla, która przepełniła kielich goryczy. Monty umierał, nie wiadomo, co działo się z Charlotte. Wstała tak gwałtownie, że potrąciła stół, z którego pospadały filiżanki.

- To tyle, jeśli chodzi o próbę wyswatania nas przez Monty'ego - oświadczyła roztrzęsiona.

Ruszyła pędem do swojego pokoju, żeby zdążyć, zanim z oczu spłyną łzy i pastor będzie mógł stwierdzić, że beztroska pięknej lady Whitmore to maska, za którą kryje się zraniona dusza.

# Rozdział jedenasty

Charlotte budziła się powoli w kokonie ciemności i ciepła. Była sama w łóżku. Szparą między ciężkimi kotarami odgradzającymi sypialną alkowę od reszty pomieszczenia sączyło się światło.

Przeciągnęła się ostrożnie. Czy to szczególne odczucie będzie trwało długo? Gdy przestawała się poruszać, niemal czuła go ciągle w sobie. Mimo wszystko nie była pewna, czy zechce zrobić to jeszcze raz.

Zamknęła ponownie oczy, wtulając się w pościel. Była naga. Nigdy w życiu nie spała nago - to tylko potęgowało poczucie wyjątkowości sytuacji. Miękkie przykrycie pieściło skórę, materac dopasowywał się do kształtu ciała. Wszystko było dziwne i inne.

Usłyszała szmer głosów. To Adrian rozmawiał ze służącym. Światło docierające do alkowy było światłem dziennym. Zatem przygoda dobiegła końca. Rozejrzała się wokół. Podarta jedwabna koszula leżała w kącie, jednak nie zauważyła mnisiego habitu, w którym kładła się do łóżka. Może owinać się prześcieradłem, jak rzymską togą, rozsunąć kotary i zażądać wypuszczenia na wolność?

Nie ruszyła się.

Co się stało z Charlotte Spenser, emancypantką, starą panną, praktyczną, rozważną i prostolinijną, za jaką się miała? Wpadła do łóżka mężczyzny, którego potajemnie i bezwstydnie podziwiała od jakichś trzech lat, i nagle wszystko się zmieniło? Już nie czuła się wyrosnięta ponad miarę i niezgrabna, lecz wiotka i zmysłowa, jej skóra była gładka i spragniona pieścizot.

Wyczuła zapach kawy, grzanek i bekonu. Była głodna i spragniona bliskości Adriana, dotyku jego dłoni i ust, ciężaru ciała wciskającego ją w miękki materac.

Chyba oszalała. Okryła się wstydem, skompromitowała na dodatek. Aby uratować resztki godności, powinna zerwać się na nogi, owinać, w co się da, i zażądać uwolnienia. Tymczasem wcale nie pragnęła uciekać. Chciała zostać w łóżku, aby zapamiętać wszystko, co tu przeżywała - strach, bezsilną złość, ale także porażającą rozkosz. Drugi raz tego nie doświadczy. Adrian chciał od niej tylko jednej nocy. Wystarczy na resztę

życia. Nawet gdyby chciała więcej, musi wystarczyć. Powinna tylko uporządkować sobie wszystko w pamięci, żeby móc w przyszłości wracać do tej chwili wspomnieniami.

Nie będzie nikogo więcej. To, czego doświadczyła w półmroku z Adrianem Rohanem, to, co on jej dał, było intymne i cudowne. Wszelka myśl o tym, że mógłby to samo robić z nią jakiś podstarzały przyszły oblubieniec, była przerażająca.

Po powrocie do domu zapisze wszystko ze szczegółami, żeby o niczym nie zapomnieć. Uśmiechnęła się do siebie. Czy kobiety kiedyś opisywały równie intymne przeżycia? Uznała, że grzebanie w czyichś wspomnieniach byłoby jak oddawanie się obcemu. Będzie wciąż na nowo rozpamiętywać tylko własne.

Usłyszała odgłos kroków zbliżających się do alkowy. Zamknęła oczy, udając, że wciąż śpi. Czuła, że Adrian stanął nad nią, i dałaby wiele, żeby ujrzeć jego twarz. Co wyrażała: znudzenie, niesmak czy zniecierpliwienie?

Jest żałosna. Postanowiła otworzyć oczy, ale nim to zrobiła, usłyszała, że zasunął kotarę i odszedł.

- Jaśnie pan wybiera się na piknik dziś z rana? Pański kuzyn prosi, aby dołączył pan do jego towarzystwa.

Charlotte zaczęła nasłuchiwać.

- Prosi, powiadasz? Zgaduję, że wypytywał, z kim spędziłem noc?

- Tak, proszę pana.

- A ty mu powiedziałaś?

- Nie, jaśnie panie. Dobry sługa ma oczy otwarte i zamknięte usta.

- Jesteś bardzo dobrym sługą, Dormin. Możesz przekazać kuzynowi, że nie będę dostępny do końca spotkania. Aha, nie potrzebuję innej partnerki.

- A gdyby pytała lady Whitmore? - zawahał się służący. - Już dwukrotnie wysyłała pokojówkę na poszukiwanie przyjaciółki.

- Ustaliliśmy, że umiesz trzymać język za zębami, prawda? Z bólem musiałbym cię zwolnić po tych wszystkich latach.

- Służyłem panu wiernie i dyskretnie, milordzie. Byłbym niepokieszony, gdybym się dowiedział, że pana zawiodłem. Nikt niczego ode mnie nie usłyszy. Czy jeszcze czegoś pan sobie życzy?

Głos służącego był teraz cichszy. Dormin musiał kierować się ku wyjściu, uznała Charlotte.

Ostatnia szansa, by się stąd wydostać, a ona leży w łóżku jak wschodnia hurysa oczekująca na powrót swojego paszy. Wstawaj, nakazała sobie w duchu Charlotte. Na litość boską, rusz się!

Usłyszała, że ciężkie drzwi wyjściowe zamykają się. Światło dzienne zgasło. Znowu zapanował mrok rozpraszany jedynie płomieniem świecy.

Złowieszczo szczęknął zamek, a Charlotte, o zgrozo, poczuła ulgę.

Adrian powiedział, że nie potrzebuje innej partnerki. Wynikałoby z tego, że nie zamierzał jej odprawić. Może nie chce nikogo. Może tak bardzo się znudził, że zrezygnuje z dalszej zabawy, zaniepokoiła się.

Nim rozsunął kotary, zdążyła zamknąć oczy. Oddychała równomiernie, udawała, że śpi. Zapach kawy, najrozkoszniejszy ze wszystkich zapachów świata, czuła niemal pod samym nosem.

- Otwórz oczy, skarbie, wiem, że nie śpisz - powiedział Adrian.

- Oczywiście, że nie śpię. Jak ktoś mógłby spać, gdy pachnie gorąca kawa?

- Usiądź, jeśli chcesz się napić.

Wręczył jej porcelanową filiżankę. Był w spodniach i luźnej białej koszuli, jasne włosy związał na karku. Nie był ogolony, widocznie służący wróci jeszcze, by mu pomóc w toalecie. Dzięki Bogu, pomyślała Charlotte. Wtedy opuści to pomieszczenie.

Osloniła piersi prześcieradłem i usiadła, nie rozlewając kawy. Już po pierwszym łyku w żyłach zaczęło krążyć przyjemne ciepło. Rohan usadowił się daleko, pod ścianą. Na szczęście. O czym mieliby rozmawiać w tej sytuacji? O literaturze?

- Był twój służący? - Ziewnęła demonstracyjnie. - Jest już rano?

- Chcesz się dowiedzieć, czy pozwolę ci odejść? - spytał, odwracając się w jej stronę.

- Naturalnie - odparła.

Nie zamierzała się tego wypierać.

- Zaraz wróci. Tymczasem prosiłem go, aby przygotował dla ciebie kąpiel. Myślałem, że kąpiel dobrze ci zrobi przed wyjściem.

Powiedział „przed wyjściem”, skostatowała Charlotte. Wszystko zgodnie z pierwotnym planem: tylko jedna noc. Właściwie to dobrze. Im szybciej wróci do normalności, tym łatwiej będzie jej dojść do siebie.

Kawa nagle wydała się gorzka. Charlotte zsunęła nogi na podłogę i odstawiła niedopitą filiżankę na stolik.

- Rzeczywiście, chętnie się wykąpię - powiedziała obojętnym głosem.

Chciała wstać.

Przeceniła swoje siły. Przed oczami zamigotały jej czarne plamy. Mało brakowało, a uczyniłaby najbardziej ambarasującą rzecz, jaką można sobie wyobrazić, a mianowicie padłaby zemdlona u bosych stóp Adriana Rohana.

Podbiegł do niej, podtrzymał za ramię i jednocześnie szczelnie owinął wokół niej opadające prześcieradło. Nie chce nawet na mnie spojrzeć, pomyślała ponuro Charlotte. Potrafiła to zrozumieć. Przecież nie mogła się równać z kobietami, z którymi do tej pory sypiał. Uderzyła ją ta myśl. Teraz ona jest jedną z kobiet, z którymi spał Adrian Rohan. Jedną z wielu, bez wątpienia, i łatwo zapomnianą. Następnym razem, gdy go spotka, on będzie już z inną, a jej może nawet nie pozna. Czy on w ogóle jest w stanie zapamiętać wszystkie swoje kochanki?

- Zamierzasz stać czy się wykąpiesz?

Adrian zachowywał zadziwiająco dużo cierpliwości, chyba nawet bawił się sytuacją. Dopiero teraz Charlotte zauważyła wannę. Była wielka, unosiła się nad nią para, brzegi obłożone były ręcznikami.

- Czekam, aż wyjdiesz - odpowiedziała.

- Jesteśmy zamknięci - stwierdził. - Nigdzie się nie wybieram.

- Jakoś trudno mi uwierzyć w to zamknięcie.

- Sprawdź.

- Nie będę się kąpać w twojej obecności.

- Chwalebna skromność. A gdybym obiecał, że się odwrócę?

- Dlaczego mam ci wierzyć?

- A czemu nie masz mi wierzyć?

Zamilkli. Właśnie, dlaczego ma mu nie wierzyć? Nie uwodził jej, nie całował jak wczoraj wieczorem. Ale, na zdrowy rozsądek, czy w sytuacji, gdy już z nią spał, wchodzi w grę uwodzenie?

- Odwróć się - rzekła rozkazującym tonem.

- A nie upadniesz?

Nie zrozumiała w pierwszej chwili. Już upadła, już mu się oddała... Nie, on myślał o upadku w sensie dosłownym.

- Nie - rzuciła.

Popatrzył na nią leniwie, po twarzy przemknął mu przelotny uśmiech. Odwrócił się tyłem i usiadł przy stoliku, na którym stała taca ze śniadaniem, i zabrał się do jedzenia.

Charlotte szybko podeszła do wanny, zrzuciła na podłogę prześcieradło i zanurzyła się w wodzie. Była gorąca, aromatyzowana olejkiem różanym. Charlotte aż jęknęła z rozkoszy. W tym momencie Adrian odwrócił głowę w jej stronę.

- Obiecałeś nie patrzeć - powiedziała, zanurzając się głębiej.

- Nie obiecałem. Moje słowa brzmiały „a gdybym obiecał, że się odwrócę”. Odparłaś, że mi nie uwierzysz, więc nie obiecałem. - Przesunął krzesło, żeby móc na nią patrzeć. - Szkoda, że mi nie zaufałaś.

- Niech tak będzie. A teraz, skoro nie możesz wyjść, połóż się w alkowie, zaciągnij kotary i pozwól mi spokojnie się wykapać.

- Możesz odwrócić się do mnie plecami.

Zrobiła to, oparła głowę w zaokrągleniu wanny i zamknęła oczy. Zdołała na tyle zapomnieć o otoczeniu, że mogła się cieszyć fizyczną rozkoszą, jaką dawała kąpiel. Słyszała, że Adrian poruszał się po pomieszczeniu, lecz nie zwracała na to uwagi. Nigdy jeszcze nie widziała takiej dużej wanny i była zdziwiona, że nie słyszała odgłosu jej napełniania. Była jednak zmęczona i spała tak mocno jak nigdy wcześniej. Zawsze miała głowę nabitą myślami o czekających rzeczach do zrobienia, co nie sprzyjało wypoczynkowi.

Nie zamierzała się zastanawiać nad tym, dlaczego teraz tak spała. Jeśli dobry sen miał związek z tym, co robiła w nocy, to będzie skazana przez resztę życia na bezsenność. Położyła się na plecach i rozwarła nogi. Wydawało się jej, że Adrian obmywał ją w



nocy mokrym ręcznikiem, ale może to był sen? Pewnie brzydził się jej po pierwszym zbliżeniu i dlatego nie było następnego. I do tego zapewne ograniczą się jej wspaniałe doświadczenia w tej dziedzinie.

Woda sięgała jej twarzy, wilgotne włosy skręca się jeszcze bardziej - zawsze walczyła z loczkami, prostując je. W tej chwili nie zamierzała tym się przejmować. Wyciągnęła z wody ramię, było zaróżowione od gorąca, ale piegi były doskonale widoczne. Czy naprawdę porównywał je do złotego pyłu? Czy to też jej się przyśniło?

Adrian wciąż poruszał się za jej plecami, coś robił, ale nie zainteresowała się tym. Gorąca kąpiel była odprężająca, cudowna.

- Mówisz do siebie - usłyszała jego głos dobiegający z tyłu i jakby przytłumiony.

- Niestety, mam taki zwyczaj. Mówię do siebie wtedy, gdy jest mi przyjemnie. Podczas jedzenia, kąpieli, spaceru na wsi.

- Będę o tym pamiętał. - Jego głos nie był tym razem przytłumiony. - Mówisz do siebie, kiedy ci jest wyjątkowo dobrze.

- Nie - zaprzeczyła. - Mówię do siebie, gdy doświadczam szczególnie przyjemnych doznań fizycznych. Nie ma to nic wspólnego z zadowoleniem z życia.

- Dlaczego się nie przyznasz? Nie jesteś do końca szczerą.

- Jeśli sądzisz, że uprowadzenie i zrujnowana reputacja to powód do radości, to przeceniasz swój urok - powiedziała z przekąsem.

- Nikt cię nie uprowadzał, przyszłaś tu z własnej woli, nie opierałaś się. Twój udział w doprowadzeniu ciebie do ruiny jest równy mojemu.

- Nie wiedziałam, co robię.

- Mam tego świadomość. Przecież nawet nie umiesz całować.

- Przykro mi, że cię rozczarowałam - oświadczyła z urazą w głosie. - Następnym razem dokonaj rozsądniejszego wyboru, poszukaj kogoś bardziej biegłego w tej dziedzinie. Kto będzie przejawiał więcej ochoty, by doświadczyć tej poniżającej sytuacji.

- Zaiste, bardzo poniżającej - przytaknął, ale słyszała wyraźnie, że śmiał się z niej. Czowała, że Adrian jest bardzo blisko, i to ją denerwowało, ale nie zamierzała się odwracać.

- Wydawało mi się jednak, że nabrałaś ochoty po maleńkiej perswazji z mojej strony. A bywa tak, że brak doświadczenia może się okazać szczególnie podniecający.

Charlotte zaczynała się martwić. Ten jego głos, ciepła i aromatyczna woda, wspomnienia, które przywoływał...

- Kiedy wraca twój służący?

- Dlaczego pytasz? - Znajdował się bezpośrednio nad nią. Głaskał ją po włosach.

- Potrzebuję trochę czasu, żeby się ubrać. Wychodzę.

- Nie wychodzisz. W każdym razie nie teraz.

- Obiecałeś...

- Niczego nie obiecywałem. Nie spałaś, gdy był tu Dormin. Sprawdziłem. Udawałaś, że śpisz. Gdybyś naprawdę chciała wyjść, mogłaś to zrobić. Wystarczyło powiedzieć.

- Mówię teraz. Chcę wyjść.

- Za późno.

Zanim Charlotte się zorientowała, Adrian wszedł do wanny. Krzyknęła i zanurzyła głowę pod wodę. Wyciągnął ją i objął ramionami. Śmiał się głośno.

- Możesz mnie okłamywać, Charlotte, ale nie okłamuj siebie - przestrzegł, po czym przywarł ustami do jej warg.

## Rozdział dwunasty

Charlotte straciła poczucie czasu. Wrażenie nierzeczywistości potęgowało sztuczne światło. Adrian leżał na łóżku i karmił ją kandyzowanymi owocami, kawałkami sera i szynki, które popijała musującym winem.

Nie rozmawiali. Nie czuli potrzeby. Charlotte przekroczyła próg, za którym nie musiała więcej udawać, że nie chce kochać się z Adrianem, a on zrezygnował z ironii. Upajał się roznamiętnioną Charlotte, wtuloną w niego, śpiącą w jego ramionach, drżącą w ekstazie. Ona chłonęła go wszystkimi zmysłami. Obejmowała, głaskała gładką skórę, mierzwiła mu gęste włosy, całowała do utraty tchu. Nie odczuwała zmęczenia i nie liczyła upływających godzin. Kiedy ocknęła się z tego stanu, okazało się, że jest sama, a przez otwarte drzwi wejściowe wpada do celi jasne światło słoneczne.

Leżała dłuższą chwilę bez ruchu, nie była gotowa na powitanie nowego dnia. Nie chciała, żeby to niezwykle sam na sam się skończyło. Nie mogła uwierzyć, że już po wszystkim.

Mnisi habit znalazła w nogach łóżka. Owinęła się nim i rozejrzała za sznurem. Dawno już zgubiła sandały, będzie musiała iść bosą.

- Adrian? - zawołała cicho.

Odpowiedziała jej cisza. Na stole zauważyła kartkę, ale nie zadała sobie trudu, by po nią sięgnąć. Najchętniej wróciłaby do łóżka, zaciągnęła kotarę i zamknęła oczy. Czekala na Adriana.

On nie wróci, zrozumiała to bardzo szybko. Nie należała do tych, co płaczą. Wreszcie podniosła kartkę leżącą na stole.

*Każda nowość traci w końcu powab. Żegnaj.*

Zwinęła opadające na ramiona włosy w węzeł i naciągnęła kaptur na głowę. Drżące dłonie skryła w szerokich rękawach. Na tym koniec, pomyślała. Czas wrócić do normalnego życia i nie oglądać się za siebie.

W świetle dziennym otoczenie wyglądało zupełnie inaczej niż w nocy. Nikogo nie było w zasięgu wzroku, nawet służący Adriana zniknął. Nie mogła pozbyć się wrażenia,

że ktoś ją obserwuje. Szła w kierunku Portalu Wenus. Trawa była zimna i wilgotna od rosy. Słońce stało nisko, musiało być bardzo wcześnie.

Idąc dalej, Charlotte nikogo nie spotkała, oprócz przemykających tu i tam służących, dyskretnie spuszcających głowy na jej widok. Zabawa musiała trwać w najlepsze. Całe szczęście, pomyślała. Nie miała przecież białej opaski na rękawie chroniącej przed natarczywością uczestników. Byłaby w trudnej sytuacji, gdyby spotkała kogoś, kto uznałby ją za swoją zdobycz.

Właśnie minęła cichą obecnie świątynię z całym jej obscenicznym wystrojem. Zmierzała ku wąskiemu strumieniowi, oddzielającemu wyspę od ogrodów Hensley Court. Do przeprawy na drugi brzeg służyły płaskodenne łódki. Charlotte liczyła na to, że znajdzie którąś po tej stronie strumienia. Wiedziała, że jeżeli nie zastanie nikogo ze służby, to sobie poradzi. Do poruszania łódkami służyły długie drągi, którymi należało odbijać się od dna. Jeśli zabraknie jej siły, to przejdzie strumień wplaw lub przepłytnie. Zrobi wszystko, by wydostać się z tego miejsca.

Wyłożona kamieniami ścieżka schodziła w dół stromym zboczem. Kiedy Charlotte przeprowiała się po ciemku na wyspę, nie zdawała sobie sprawy z tego, jak zdradliwa była ta droga. W sandałach byłoby prawdopodobnie jeszcze bardziej ślisko.

Nad głową szeleściły drzewa okryte nie w pełni jeszcze rozwiniętymi liśćmi. Charlotte naciągnęła głębiej kaptur na głowę, żeby nie zdmuchnęły go powiewy wiatru, i przygarbiła się. Nie widziała nic po bokach, nic też nie słyszała. Nagle dotknęły ją czyjeś ręce.

Straciła równowagę i stoczyła się z wysokiego brzegu. Ostre kamienie raniły jej dłonie i nogi. Kaptur spadł z głowy. Spojrzała w górę. Stał tam ktoś i to właśnie on zepchnął ją z pochyłości.

Wylądowała na otoczkach zaścielających brzeg strumienia. Leżała bez ruchu, nie mogąc złapać tchu. Nie mogła oderwać wzroku od postaci na szczycie pochyłości. W pewnej chwili postać ta zaczęła schodzić na dół. Charlotte zrozumiała, że nie po to, aby jej pomóc, lecz by dokończyć zbrodniczego dzieła.

Próbowała krzyczeć, ale nie mogła wydobyć głosu. Po twarzy spływało jej coś ciepłego i lepkiego. Krew. Za chwilę umrę, pomyślała. Ktoś, kto ją zepchnął z brzegu, zamierza ją zabić.

- Jest pani ranna? - usłyszała za plecami silny akcent z Yorkshire.

Człowiek schodzący po ścieżce w dół zawrócił i zniknął.

- Ja... ja... - Charlotte ciągle nie była w stanie przemówić.

Zbliżał się ku niej wysoki mężczyzna. Miał słońce za plecami, nie mogła więc dostrzec jego twarzy. W pierwszej chwili pomyślała, że to Adrian. Kiedy podszedł bliżej, okazało się, że to jeden ze służących. Ukląkł obok niej.

- Proszę się nie ruszać. Pomoc już nadchodzi.

Bogu dzięki. Spojrzała na wysoki brzeg, ale nikogo nie było.

- Musiała się pani poślizgnąć. Ta ścieżka jest bardzo niebezpieczna. Mogła się pani zabić. Czy może pani mówić?

Charlotte poruszyła wargami. Chciała, żeby służący wdrapał się na górę i poszedł śladem tego kogoś, kto ją zepchnął z brzegu. Kogoś, kto chciał ją zabić. Zaskakujące i dziwne. Dlaczego komuś zależało na pozbawieniu jej życia?

- Ten człowiek... - zdołała wyszeptać.

- Jaki człowiek, proszę pani?

Nie miała siły tłumaczyć. Pociemniało jej w oczach i straciła przytomność.

Adrian rozparł się wygodnie na poduszkach w powozie mknącym do Londynu i zamknął oczy. Zaciągnięte firanki skutecznie ocieniały wnętrze. Kuzyn Etienne mocował się z butelką wina, nie mogąc jej otworzyć.

- O mały włos, a odjechałbyś beze mnie, drogi chłopcze - powiedział z lekkim wyrzutem. Francuski akcent był prawie niesłyszalny, co nadawało jego wymowie swoisty wdzięk. - Nieładnie. Musiałbym błagać o podwiezienie któregoś z tych okropnych pętaków, których zaprasza Montague.

- Uprzedzałem, że zamierzam wyjechać o świcie - przypomniał Adrian.

- Nie rozumiem, skąd ten pośpiech. Ta nieznośna baba, z którą się zamknąłeś, chyba nie planowała cię ścigać?

- Wolałbym o niej nie mówić.

- Rozumiem cię w zupełności. Uważam jednak, że nie zaszkodzi, jak usłyszysz, co o niej myślę. Może i warto było pobawić się nią kilka godzin, ale ty spędziłeś z nią dwie noce. Co cię napadło, żeby się tak umartwiać? Winien mi jesteś wdzięczność, że zmusiłem Dormina, by otworzył. To nie powinno trwać w nieskończoność. - Teraz Etienne grasejował zupełnie wyraźnie.

- Nie powinno - powtórzył jak echo Adrian.

- Chyba dobrze zrobiłem, prawda? - zaniepokoił się nagle Etienne. - Drogi chłopcze, byłem pewny, że wybawiam cię z kłopotu. Przypuszczałem, że miałaś jej już dość. Gdybym wiedział, że chciałaś pobyć z nią dłużej, zostawiłbym cię w spokoju.

- Nie chciałem - bąknął Adrian.

Mało brakowało, a zacząłby bronić Charlotte i najchętniej zdzieliłby kuzyna w tę jego rumianą gębę. Był wściekły na Dormina, że uległ naciskowi. Już on dopilnuje, żeby służący zapłacił za niesubordynację! Gdy nad ranem w otwartych drzwiach groty stanął Etienne, Charlotte smacznie spała. Adrian nie mógł odprawić kuzyna, nie udzielając mu odpowiedzi na wiele kłopotliwych pytań.

- Przyznaję, że sam byłem zainteresowany tym rudzielcem - ciągnął Etienne. - Warta była grzechu? Poproszę lady Whitmore, żeby przywiozła ją następnym razem...

- Nie zrobisz tego! - wybuchnął Adrian, natychmiast jednak się opanował. - Wierz mi, kuzynie, zanudziłbyś się na śmierć. Sentymentalna gęś, cała we łzach, a na koniec buzia jej się nie zamykała od deklaracji dozgonnej miłości. Musiałem ją związać, by się do niej dostać.

- Zapewne wiesz, że jestem miłośnikiem takiego sposobu.

Adrian zachował kamienną twarz. We francuskim kuzynie ojca podobał mu się głównie brak wszelkich skrupułów. Etienne robił, co chciał. Adrian zaczął jednak dostrzegać pewną osobliwość w zachowaniu kuzyna. Wystarczyło, żeby on czegoś zapragnął, a Etienne natychmiast pragnął tego samego. Tymczasem Adrian nie chciał, by Etienne interesował się Charlotte Spenser. Sam nie wiedział dlaczego.

- Chyba nie ciekawia cię deklaracje miłości?



- To oczywiste. Zwłaszcza w ustach osoby tak pozbawionej wdzięku jak przyjaciółka lady Whitmore. Co ci przyszło do głowy, że postanowiłeś ją zdobyć? Ach, tak, pamiętam. Podkochiwała się w tobie potajemnie. Nie spuszczała z ciebie wzroku na balach, sądząc, że nikt tego nie dostrzega. Akt humanitaryzmu z twojej strony.

Adrian nie mógł sobie przypomnieć, by kiedykolwiek wspominał kuzynowi o panie Spenser. Etienne nikomu nie szczędził złośliwości. Im szybciej przestaną rozmawiać o Charlotte, tym lepiej.

- Podejrzewam, że miłość wyparowała jej z głowy. Zmieńmy temat albo zostaw mnie w spokoju. Dwa dni z Charlotte Spenser wystarczą w zupełności. Nie zamierzam ich rozpamiętywać przez całą drogę do Londynu.

- A może wolisz posłuchać o lady Alpen i panie Barrymore? - zapytał z obleśnym uśmiechem Etienne. - Wyszędłbyś na tym lepiej, gdybyś przyłączył się do nas. Tyle że wtedy nie miałbym ich obu wyłącznie dla siebie.

- Myślałem, że wylądowałeś z jedną z dziewcząt madame Kate.

- Och, tę załatwiłem bardzo szybko. - Etienne machnął ręką. - Była mi potrzebna, żeby mnie wprowadzić w nastrój. Poza tym, jeśli płacisz, możesz sobie na więcej pozwolić. Maria i Helena nie zniosłyby tyle, ile płatna dziwka.

- A skąd, u diabła, wziął się u ciebie ten habit, który masz na sobie? Myślałem, że gardzisz przebierankami?

- Jestem zawsze otwarty na nowe doświadczenia, chłopcze. Skoro młody kuzyn zamierzał spróbować czegoś nowego, ja również postanowiłem poeksperymentować. Ustalmy jednak, że na przyszłość będziemy unikali tarzania się w błocie. Te dwa dni były interesujące, ale wątpię, aby któryś z nas zechciał je powtórzyć. Mam rację?

- Masz - zgodził się Adrian. - Dwa dni z Charlotte Spenser wystarczą.

Powinny wystarczyć. Wziął ją tyle razy i z taką pasją, że chyba będzie miała przez kilka najbliższych dni trudności z chodzeniem. Ta myśl powinna go rozweselić. Powinien podzielić się nią z Etienne, aby go przekonać, jak mało mu zależy na Charlotte. W rzeczywistości w dalszym ciągu jej pragnął.

Zawsze taki niefrasobliwy, przy niej był wzorem przezorności. Uważał, aby nie zaszała w ciążę. Lina niechybnie zachowa się zdroworozsądkowo i zaaplikuje jej napar.

Adrian nie palił się do rozmowy na ten temat z hrabiną Whitmore, ale to nieuniknione. Zapewne nie spodoba się jej fakt, że zdeprawował jej niewinną kuzynkę.

Gdy kilka godzin temu otwarły się drzwi wejściowe celi, Adrian spodziewał się, że ujrzy lady Whitmore, która przyszła po Charlotte. Tymczasem był to Etienne. Kpił sobie z niego i namawiał do ucieczki. Adrian nie potrafił odmówić.

Rodzice byli niechętni jego przyjaźni z francuskim kuzynem, ale im goręcej ojciec sprzeciwiał się tej dziwacznej znajomości, tym skwapliwiej Adrian zbliżał się do Etienne'a. Francis Rohan, markiz Haverstoke, był silną osobowością, jedynym człowiekiem mogącym onieśmielić Adriana. Tym usilniej Adrian robił ojcu na złość.

Ostatnio jednak Etienne de Giverney stawał się męczący. Narkotyki, grzyby halucynogenne, seks - wszystko to zaczynało Adriana nudzić. Dwa dni ze świeżą i daleką od sentymentalizmu Charlotte były najbardziej ekscytującym doświadczeniem, jakie mu się przytrafiło, odkąd pamiętał.

Opuszczał ją wszak bez żalu. Co za dużo, to niezdrowo. Jeszcze by się do niego przywiązała. A to byłoby nieszczęściem dla obojga. Im bardziej zdecydowane cięcie, tym lepiej goi się rana. Nie można się cackać. Oczywiście on jest całkowicie na nią uodporniony. Było miło, ale czas zapomnieć.

Potrafi?

## Rozdział trzynasty

Unikanie Simona Pagetta okazało się łatwe. Jeśli zjawiał się w sypialni Monty'ego, gdzie Lina czytała choremu frywolną opowiadkę, wstawiała i wychodziła. Pastor nic nie mógł na to poradzić, chyba że wywołałby scenę. Na to nie pozwalała mu duma ani troska o ciężko chorego przyjaciela.

Lina nie była szczególnie drażliwa na swój temat. Nie to było powodem jej zachowania. Nie przejmowała się tym, co o niej myślą inni. Liczyła się tylko z opinią tych, którzy ją kochali - Monty'ego i Charlotte.

Na szczęście Pagett postanowił obejrzeć plebanię, w której wkrótce zamieszka i prawdopodobnie zostanie po śmierci Monty'ego. Lina nie miała pojęcia, kto jest spadkobiercą przyjaciela. Ktokolwiek odziedziczy tytuł i majątek, będzie miał więcej zmartwień niż zastanawianie się nad obsadą parafii. Lina korzystała z nieobecności Pagetta i nie odstępowała Monty'ego.

- Co sądzisz o pastorze?

Monty siedział oparty o poduszki, aby mógł zjeść kolację. Wyglądał nieco lepiej, choć nie czuł się silniejszy.

Lina nalała sobie kolejny kieliszek czerwonego wina, aby zyskać na czasie. Chciała dobrać w miarę uprzejme słowa. Właściwie niepotrzebnie, zreflektowała się, Monty nie zwykł przesadzać z dobrymi manierami.

- To wściekły pies.

- Ależ kochanie, powiedz serio, co o nim sądzisz - powtórzył ze śmiechem Monty.

- Chyba nie myślałeś o wyswataniu nas? Jeśli tak, byłby to najlepszy dowód, że choroba padła ci na mózg i nie ma dla ciebie nadziei.

- Uwielbiam cię, Lino, ale nawet ja wiem, że trudno byłoby uznać cię za odpowiednią kandydatkę na żonę pastora. Poza tym bardzo lubię Simona i nie chciałbym oddawać go na pastwę takiej sekutnicy jak ty. Czemu pytasz?

- Pagettowi przyszło to do głowy.

- Naprawdę? To chyba myślenie życzeniowe. - Montague pociągnął łyk rozcieńzonego wodą wina. - Faj, paskudne. Daj mi kieliszek normalnego wina.

- Buntujesz się, wiesz?

- Owszem. Jestem pewny, że jeśli Simon postanowi się ożenić, znajdzie przyzwoitą i cnotliwą kobietę. O ile wiem, żyje od niepamiętnych lat w celibacie i jeśli się ożeni, to tylko pod moim naciskiem, bo jako proboszcz powinien mieć żonę. Jeśli go do ożenku nie zmuszę, będzie nadal umartwiał ciało i pokutował za dawne grzechy.

- Umartwiał ciało? - zainteresowała się żywo Lina. - Myślisz, że on się biczuje?

- W twoich ustach brzmi to zachwycająco grzesznie, kochanie. - Monty opróżnił do dna kieliszek, chyba pogodzony z faktem, że Lina nie zamierza dać mu nierozwodnionego wina. - Nie chodzi o samobiczowanie i włosiennicę, lecz o abstynencję seksualną. Traktuje poważnie pokutę. Grzechy i poczucie winy kocha bardziej, niż kiedykolwiek kochał jakąś kobietę.

- I niech tak żyje długo i szczęśliwie - postawiła kropkę nad i Lina.

- O co wy ze sobą wojujecie?

- O sposób, w jaki ciebie traktuje, o moją moralność, o kolor nieba... o co tylko chcesz. Jak długo on trwa w celibacie? - wymknęło się Linie.

Sama nie wiedziała, dlaczego ją to interesuje.

- Dlaczego pytasz?

- Powiedziałeś, że żyje w celibacie od niepamiętnych lat. Trudno w to uwierzyć.

- Chyba przesadziłem. Jestem jednak przekonany, że biedny Simon, kiedyś bywa-  
lec domów schadzek i jaskiń hazardu, zatwardziały rozpustnik i wielki hulaka, od do-  
brych kilkunastu lat nie miał randki z kobietą. Takie marnotrawstwo! Uważam za szkodę, że nikt nie korzysta z jego bogatego doświadczenia. Nawiasem mówiąc, to całkiem przystojny mężczyzna, choć może trochę zniszczony.

- Miejmy więc nadzieję, że jego przyzwoita i cnotliwa żona zdoła pokonać jego skrupuły.

- Jakie skrupuły?

Lina nie zauważyła, że jej prześladowca wrócił i właśnie stał przy łóżku Monty'ego. Zerwała się na równe nogi, strącając na posadzkę pikantną francuską powieść.

- Jest już pan - bąknęła. - Zostawię was samych, żebyście sobie porozmawiali...

- Nie wychodź - poprosił błagalnym tonem Monty, ale w jego oczach tańczyły iskierki wesołości. - Chciałbym, aby dwie najdroższe mi na całym świecie istoty były przy mnie, gdy będę opuszczał ten padół.

- Co ty opowiadasz, widzę, że wyglądasz dużo lepiej - powiedział Pagett.

- Dzięki opiece Liny. To najmilsza pielęgniarka, jaką kiedykolwiek miałem. Zgodzisz się, Simonie?

Lina zamierzała wyjść, ale Monty trzymał ją za spódnicę. Poza tym obawiała się o to, co Pagett mógłby powiedzieć na jej temat, gdyby nie miała go na oku. Usiadła zatem na swoim miejscu z groźną miną. Pagett zajął pozycję w nogach łóżka. Zadała sobie w duchu pytanie, dlaczego bierze sobie do serca afronty pastora. Była niejednokrotnie obrażana przez wielkie damy z towarzystwa, w najlepszych domach uważano ją za persona non grata, a matki panien na wydaniu usuwały córki z jej pobliża. Zapraszając Charlotte do wspólnego zamieszkania, skazała kuzynkę na życie w cieniu swojej złej sławy. Cemu więc pogarda ze strony tego człowieka tak bardzo ją dotknęła?

- Mam ci dalej czytać? - zwróciła się z uśmiechem do Monty'ego.

- Muszę porozmawiać z lady Whitmore - odezwał się pastor.

- Wielkie nieba, a o czym? - spytała Lina. - Nie mamy sobie nic do powiedzenia, panie Pagett.

- Jeśli ci to nie przeszkadza, to mów przy mnie, Simonie - poradził Monty. - Lina i ja nie mamy przed sobą sekretów.

Pastor westchnął ciężko. Lina nie mogła się oprzeć pokusie, by nie spojrzeć w jego stronę.

- Muszę przeprosić lady Whitmore - zaczął.

Tak chyba przemawia podczas kazania, pomyślała Lina. Głos był głęboki, ciepły i przekonujący.

- Za co? - spytał niewinnie Monty.

- Za to, że nazwał mnie dziwką - wtrąciła Lina, korzystając z chwilowego milczenia Pagetta. Teraz patrzyła na niego otwarcie, uśmiechając się drwiąco. - Można założyć, że wiedział, iż dużo lepsi od niego obrzucali mnie bardziej dosadnymi epitetami, ale pastora najwyraźniej gnębi poczucie winy.

- Nie mów „dużo lepsi od niego”, najmilsza, bo jestem pewny, że nasz pastor jest najlepszy ze wszystkich. Przynajmniej tak o sobie myśli, prawda, Simonie?

Lina poczuła wdzięczność do Monty'ego. Nikt nie potrafił bronić jej tak jak on, poza Charlotte.

- Za każdym razem, gdy myślę, że osiągnąłem niewielki postęp duchowy, jakiś idiotyczny uczynek dowodzi, że jestem w błędzie - wyznał Pagett. - Nie mam prawa nikogo osądzać i przepraszam panią, lady Whitmore, a także ciebie, Thomasie, za to, że obraziłem twojego gościa.

- Przyjmujesz przeprosiny, Lino? - Widać było, że Monty jest zadowolony.

Lina najchętniej powiedziała by pastorowi, żeby się wypchał, ale nie miała wyjścia. Nie chciała sprawiać przykrości przyjacielowi.

- Oczywiście - rzekła łagodnym głosem. - Nie musiał jednak robić tyle hałasu o nic. Jestem przyzwyczajona do obelg.

- Nie mów tak. - Monty by usatysfakcjonowany. - Teraz, kiedy znowu wszyscy jesteśmy przyjaciółmi, weźmy się do planowania mojego pogrzebu.

To był długi i zadziwiająco przyjemny wieczór. Monty, czując się lepiej, nie chciał spać, a Lina starała się być miła dla pastora.

Grali w pikietę - dwoje przeciwko jednemu. Monty i Lina, wśród szeptów i chichotów, wygrali siedemnaście tysięcy funtów, które pastor miał im zapłacić z nieistniejącego majątku. Ograł ich za to z kretesem w inną karcianą grę, objawiając przy tym wcale niechrześcijańską chęć odwetu.

Nad ranem Lina siedziała ze skrzyżowanymi nogami na olbrzymim łożu Monty'ego - z rozpuszczonymi włosami i bez muszki na policzku, która gdzieś się zapodziała - i rozdawała karty z wprawą zawodowego krupiera. Simon rzucił w kąt żakiet i fular i z podejrzliwą miną patrzył na przeciwników.

- Nie oszukujecie przypadkiem? - Wyciągnięty w nogach łożka, odprężony, wyglądał niemal ludzko, pomyślała Lina.

- Gdybym była mężczyzną, wyzwalałbym pana na pojedynek za takie podejrzenie - oznajmiła, chociaż wcale się nie obraziła. Oszukiwała, ile się dało.

- Ja też - poparł ją Monty.



- Może powinienem rzucić karty, tak jak rzuciłem łądacznie się i picie - stwierdził Simon. - Nic mi nie wychodzi.

- Prawdę powiedziawszy, myślałem, że już to zrobiłeś - odezwał się niewinnie Monty.

- Przestałem grać na pieniądze. My dzisiaj nie graliśmy o prawdziwe stawki...

- Bardzo przepraszam - zaprotestowała Lina. - Czy to ma znaczyć, że pan nie zamierza zapłacić owych dwóch tysięcy i siedmiuset funtów, które od pana wygrałam?

- Myślę, że końcowy bilans jest korzystny dla mnie, lady Whitmore. To pani jest mi winna trzysta czterdzieści funtów.

- Obawiam się, że Simon ma rację, moja droga. - Monty wypadł z gry godzinę wcześniej i tylko śledził ich zmagania. Teraz na jego twarzy gościł przekorny uśmiech. - Płać, nie ma rady.

Lina czuła, że ryzykuje i przesadza, ale było jej z tym dobrze. Siedziała obok Monty'ego, wsparta o jego poduszki, naprzeciwko Pagetta. Wcale nie wyglądał ponuro. Miał całkiem przystojną twarz, a przedwczesne zmarszczki dodawały mu nawet uroku. Będzie kiedyś dobrym mężem dla jakiejś szarej myszki, uznała. Chyba że zamierza spędzić resztę życia w celibacie.

- Niech będzie, zapłacę, ale nie wzięłam portmonetki. Przyjmie pan mój weksel?

- Nie ufaj jej, Simonie. Ona wystrychnie cię na dudka, ucieknie i nie zapłaci.

- Mogę zapłacić w naturze.

Jej słowa zawisły w powietrzu.

Pastor się zachmurzył. Co on odczuwa? - zastanawiała się Lina. Pogardę i dezaprobatę, bez wątpienia, odpowiedziała sobie. A może z domieszką poczucia winy?

- Proszę tak na mnie nie patrzeć - powiedziała pogodnie. - Słyszałam kiedyś w kościele, że prawda nas wyzwoli. Pan uważa, że jestem dziwką, a ja się nie wypieram. Proponuję spłatę długu karcianego.

- Niech pani przestanie!

Udało się go sprowokować. Co prawda, nie na taki efekt liczyła.

- Już przestaję. Zapomniałam, że pan wyrzekł się przyjemności ciała. W takim razie pozostanę pana dłużniczką.

Pastor zszedł z łóżka i rozejrzał się za czarnym surdudem. Lina również wygramoliła się na podłogę, szeleszcząc spódnicami. Położyła mu dłoń na ramieniu.

- Niech się pan nie boczy. Proszę przyznać, ta noc upłynęła nam bardzo miło. Dla mnie była to najprzyjemniejsza noc od wielu lat - rzekła, ziewnąwszy niechęcący. - Nie klóciliśmy się. Przebaczyłam panu wcześniejszy nietakt.

- Cieszę się - odrzekł z ponurą miną. - Późno już. Czas się położyć.

- Wcześnie, nie późno - poprawiła go. - Przecież to poranek.

Zdała sobie nagle sprawę z tego, że stoi zbyt blisko Pagetta. Normalnie nie stanowiłoby to problemu, ale z jakiegoś powodu ta przypadkowa bliskość zrobiła na niej dziwne wrażenie. Przewyższał ją o głowę, ale nie czuła się przy nim słaba, co zawsze źle rzutowało na jej samopoczucie. Emanowała z niego spokojna pewność siebie, podczas gdy ją zawsze wabił hałas i jaskrawe barwy. Walczył o duszę Monty'ego, ona też miała swoje porachunki z diabłem. A mimo to... Zdusiła w sobie to wrażenie.

- Zawsze może pan przyjść do mojego pokoju po weksel. Spłacę dług - dodała z uwodzicielskim uśmiechem.

- Niech pani przestanie.

- Znowu to samo. Czy pan nie zna innych słów? Ciągłe zakazy, polecenia.

Monty spał, co oboje widzieli.

- Przecież pani doskonale wie, że stawki, o które graliśmy, były umowne.

Przez chwilę zapragnęła przytulić się do pastora, poczuć wokół siebie jego ramiona. Był silnym i to ją pociągało. Wykonała w jego stronę chwiejny krok, ciągle się uśmiechając. Pomadka na ustach wytarła się wiele godzin wcześniej, ale Lina wiedziała, że usta są chyba najmocniejszą stroną jej urody - pełne, ślicznie wykrojone, zapraszające. Mężczyźni przepadali za jej ustami, a Simon Pagett, poza wszystkim, był tylko mężczyzną.

- Stawki może i były umowne, ale moja propozycja jest prawdziwa. - Wyciągnęła rękę, leciutko musnęła jego pierś, opuszkami palców przesuwając po grubej wełnie surduta. Pochwycił jej rękę.

- Lady Whitmore, nie jest pani ladacznicą, na jaką pani pozuje. W gruncie rzeczy jest pani uczuciową kobietą, która kocha Monty'ego, i za to jestem pani wdzięczny.

- Nie ma powodu, żeby pan okazywał mi wdzięczność. - Nastrój rozmarzenia prysł.  
- Moje uczucie do Monty'ego nie ma nic wspólnego z panem. - Próbowała uwolnić dłoń, ale przytrzymał ją. Miała rację, był bardzo silny.

- To prawda, ale to wyłącznie moja sprawa, co czuję. Wdzięczność, potępienie, pożądanie.

Chciała, żeby jej śmiech zabrzmiał lekko i beztrzesko. Niestety, sama słyszała, że brzmiał gorzko.

- Przecież pożądanie jest panu obce, zapomniał pan, pastorze?

- Nie ulegam pożądaniu. Nie znaczy to, że go nie odczuwam. W odróżnieniu od pani.

- Niech pan nie będzie śmieszny. Lubię się kochać z mężczyznami. Tak trudno w to uwierzyć? Sądzi pan, że tylko mężczyźni doświadczają pożądania?

- Myślę, że także kobiety dość silnie odczuwają namiętność. Nie sądzę tylko, by pani ją odczuwała. Pani udaje, pozuje, lady Whitmore. Otwiera pani drzwi sypialni, widocznie mając ku temu jakiś powód, ale nigdy nie otwiera pani serca.

Ponieważ ciągle trzymał ją za rękę, Lina przysunęła się bliżej, niemal do niego przywarła. Przestała nad sobą panować.

- Proszę mi oszczędzić kazań, drogi pastorze robi mi się bowiem od nich niedobrze.

Otarła się o niego jak kotka. Puścił jej rękę i z całej siły od siebie odepchnął. Zanim to się stało, Lina zdążyła jednak poczynić pewną obserwację.

- No, no... Święty mąż, który składał ślub czystości, nie jest taki święty, za jakiego pragnie uchodzić. Coś mi się wydaje, że chciałby pan, żebym zaprosiła go do sypialni - zauważyła drwiąco.

Wiedziała, że jest bezpieczna, że on jej do siebie nie przyciągnie. Jeśli o nią chodzi, nie wyobrażała sobie pójścia do łóżka z kimś takim jak Simon Pagett, również dlatego, że przejrzał ją na wylot.

- Zrezygnowałem z nic nieznaczących, przygodnych związków pozamałżeńskich z powodów, których pani prawdopodobnie nie jest w stanie zrozumieć.

- Proszę spróbować ze mną. Mówię poważnie - prowokowała.

- Nie.

- Znowu to samo. Nie, nigdy. Czy nie zna pan słów: tak, zawsze?

Była prawie pewna, że on ją pocałuje, i pragnęła tego jak jeszcze nigdy niczego. Uniosła się na czubki palców i zamknęła oczy w oczekiwaniu. Bezceremonialnie osadził ją na podłodze.

- Nie podejmę pani gry, lady Whitmore.

Powinna była na tym poprzestać. Zagroził jej równowadze duchowej bardziej niż mężczyźni, z którymi sypiała. Mógł zniszczyć jej z takim trudem obronioną integralność, ale nie potrafiła się powstrzymać.

- Tchórz - rzuciła wyzywającym tonem.

Monty chrapnął przez sen. Nim Lina zorientowała się, co się dzieje, pastor chwycił ją za rękę i wyciągnął za przeszklone drzwi wychodzące na taras, skąpany w promieniach porannego słońca. Pchnął ją na kamienną ścianę domu i przywarł ustami do jej warg.

Lina nie posiadała się ze zdumienia. Nie spodziewała się takiego ładunku napiętności i zapamiętania. Zamknęła oczy i się poddała. Simon całował ją z żarem, który nią wstrząsnął do głębi. Czegoś takiego jeszcze nigdy w życiu nie doświadczyła.

Wreszcie oderwał się od niej.

- Pani myśli, że jestem wolny od pożądania, lady Whitmore? Że pani nie pragnę? Od dziesięciu lat żadna kobieta nie doprowadziła mnie do takiego szaleństwa. Uważa pani, że nie byłbym zdolny do złamania danego sobie samemu słowa i nie potrafiłbym pani posiąść? - Potrząsnął nią. - Nie oszuka mnie pani. Pani nie lubi mężczyzn ani seksu, a to jeszcze gorzej o pani świadczy, niż gdyby pani romansowała dlatego, że lubi seks.

- Nieprawda.

- Prawda. Dlatego nie zdradzę wszystkiego, w co wierzę. Nie dam się wciągnąć w pani gierki. Proszę sobie to wybić z głowy. Do diabła z panią!

Patrzyła na niego zmieszana i zarazem stęskniona następnego pocałunku.

- Do diabła - powtórzył szeptem i jego usta znowu odnalazły wargi Liny.

W pocałunku było tyle napiętności, że zadrżała. Postanowiła odepchnąć Simona, ale zamiast tego objęła go za szyję i zatopiła się w cudownym poczuciu bliskości. Za-

dziwiające, jak wszystko dookoła straciło na znaczeniu. Zdażyła jeszcze usłyszeć swoje imię wymówione gorącym, chrapliwym szeptem, gdy wyrwała się z objęć, bo zdawało się jej, że Monty się obudził i podszedł do drzwi.

To nie był Monty. Hałas wywołały trzy postacie, które zobaczyła na skraju tarasu. Dwie były w liberiach. W środku znajdowała się bosa, słaniająca się na nogach kobieta.

Charlotte.

## Rozdział czternasty

Adrian Rohan rozparł się w fotelu i szyderczym wzrokiem przyglądał się bywałcom klubu. Przy stoliku, gdzie grano w faraona, podniosła się nagle wrzawa. Ktoś najwidoczniej albo zyskał, albo stracił wielką fortunę. Kiedyś Adrian wstałby i podszedł do graczy, żeby zobaczyć, czyje życie odmieniło się radykalnie przynajmniej na ten jeden dzień, ale był zanadto zniecierpliwiony i rozdrażniony. Hazard stracił dla niego urok, wino smak, seks nie dawał przyjemności. Od trzech tygodni Etienne próbował go rozweselić, lecz Adriana nic nie bawiło. Nie opierał się, pozwalał kuzynowi wlec się po klubach i domach schadzek, ale wszędzie męczyła go ta sama nuda.

Nawet najlepsza dziewczyna ze stajni madame Kate nie była w stanie wyrwać go z apatii. Był zmęczony wszystkim, nie wyłączając towarzystwa kuzyna, choć ten stawał na głowie, aby go rozerwać. Adriana nudziło picie, wysokie stawki nie podniecały, kobiety nie nęciły. Wszystko było płaskie, bezbarwne i bez smaku.

- Co za głupiec z tego Lindenhama - wysapał Etienne, sadowiac się w fotelu obok.  
- Zaryzykował przyszłość rodzinnego majątku od rzutu kostką. Kretyński pomysł, nawet jeśli przez cały wieczór dopisywało mu szczęście. Zapewne za tydzień strzeli sobie w łeb.

- Albo jutro się odegra - stwierdził obojętnie Adrian. - Myślę o wyjeździe na wieś. Miejskie powietrze stęchło ostatnio. Sądzę, że świeża aura i aktywność fizyczna poprawią mi nastrój.

- Miałeś świeże powietrze i aktywność fizyczną u Monty'ego, tyle że ta ruda nie wypuściła cię ani na chwilę. Nie dziwota, że tęsknisz za błękitem nieba. Zakładając, że w tym okropnym kraju coś takiego istnieje.

- Jak ci się nie podoba nasza pogoda, to wróć do Francji - odparł poirytowany Adrian.

- Wrócić i stracić głowę? O nie! Przeczekam rewolucję tutaj. Te kanalie długo nie porządzą, powyrzynają się nawzajem.

- Jak chcesz... - Adrian nieraz słyszał te zapewnienia kuzyna.

- Jedno, co mi nie odpowiada, to fakt, że twoja posiadłość sąsiaduje z majątkiem twojego wielce szacownego ojca.

- O ile pamiętam, nie prosiłem cię, byś ze mną jechał. - Adriana uraziło lekceważenie, z jakim kuzyn wyrażał się o jego rodzinnych stronach.

- Nie, ale wiem, że jestem przez ciebie mile widziany wszędzie, dokąd się wybierasz. Beze mnie zanudziłbyś się na śmierć. Nie mogę pozwolić, by nuda zabiła mojego młodego *protégé*.

Adrian poczuł się jeszcze bardziej dotknięty. Kuzyn uważa go za swojego protegowanego? Z jakiej racji? Jedyne, w czym celował Etienne, to poziom zdeprawowania i braku umiaru. Uważał, że i bez takiego mentora radzi sobie nieźle w tej dziedzinie. Z czego znany był Adrian, wicehrabia Rohan? Ze skandalicznego trybu życia, tyle że na jego ekscesy przymykano oczy, ponieważ był utytułowany i nieżonaty.

Etienne nie żył na równie wysokim poziomie i gdyby nie poparcie ze strony Adriana, byłby uznawany za *persona non grata* w wielu miejscach. Poza tym nie był lubiany. Nie wystarczyło być uchodźcą z ogarniętej krwawą rewolucją Francji, żeby uzyskać dostęp do najwyższych kręgów społecznych w Anglii. Adrian należał do nich z tytułu urodzenia. Etienne mógł być zapraszany na imprezy organizowane przez Montague'a lub przyjęcia wydawane przez kobiety wątpliwej reputacji, takie jak lady Whitmore, był jednak ledwo tolerowany w domu rodziców Adriana i dawano mu to raz po raz odczuć, odkąd zamieszkał w Anglii.



- Nie śmiałybym cię wyciągać z Londynu podczas sezonu - powiedział. Mimo wszystko postanowił nieco osłodzić kuzynowi odmowę. - Potrzebuję samotności. Spodziewam się, że po tygodniu znudzę się wsią i wrócę.

- Skąd u ciebie nagła potrzeba samotności? - Etienne przyjrzał się uważnie Adrianowi. - Znam cię od małego, nie przypominam sobie, żebyś kiedykolwiek stronił od towarzystwa.

- Byłem przybity po śmierci brata. - Uwaga ta wymknęła się Adrianowi niechcący.

- Ach, tak. Biedny chłopiec - powiedział odpowiednio smutnym głosem Etienne. - Przykro mi, że nie mogłem zrobić dla niego więcej. Taki młody, silny, a mimo to gorączka zabiła go szybko. Podejrzewam, że twój ojciec obwinia mnie o jego śmierć.

- Nie bądź śmieszny - zaprzeczył Adrian. - To nie była twoja wina.

- Oczywiście, że nie. Zapewne twój ojciec uważa, że angielscy lekarze mogliby go uratować, a gdyby ten fatalny upadek zdarzył się w domu, skutki nie okazałyby się tragiczne.

Adrian miał dość tej rozmowy. Nienawidził rozmów o zmarłym Charlesie Edwardzie. Śmierć dziewiętnastoletniego spadkobiercy rodu była ciosem dla całej rodziny, ale dla trzynastoletniego chłopca, wpatzonego jak w obraz w starszego brata, była podwójnym nieszczęściem. Spojrzał zimno na kuzyna.

- Nie znasz mojego ojca. On nie należy do ludzi, którzy wiecznie zastanawiają się, co by było, gdyby. Ciężko przeżył śmierć Charlesa Edwarda, ale obwinia tylko siebie, i to przede wszystkim za to, że pozwolił mu dosiąść tego konia.

- Ten koń należał do mnie, drogi Adrianie - zauważył Etienne.

- Fakt, ale wielokrotnie ostrzegałeś Charlesa Edwarda. Niestety, im częściej to robiłeś, tym usilniej on się upierał. Upór jest chyba naszą rodzinną cechą.

- Rzeczywiście. Zauważyłeś, że wtedy na dobre rzuciłem medycynę? Jeśli nie potrafiłem uratować najstarszego syna mojego ukochanego kuzyna, to co mi po niej?

Adrian miał na końcu języka złośliwą uwagę, ale powstrzymał się od jej wypowiedzenia. Nie cierpiał hipokryzji.

Jeśli Francis Rohan, markiz Haverstoke, był ukochanym kuzynem dla Etienne'a, to on, Adrian, był mnichem. Ci dwaj, Etienne i Francis, nie cierpieli się nawzajem. Etienne

był od małego przekonany, że Francis pozbawił go jego przyrodzonych praw, wykorzystując okoliczność, że francuski kuzyn pochodził z nieprawego łoża. Etienne, choć bastard, uważał, że będąc Francuzem, powinien odziedziczyć tytuł hrabiego de Giverney i rodzinny majątek wraz z pałacem w Paryżu.

Z czasem Francis zrzekł się zarówno tytułu, jak i majątku na rzecz Etienne'a, jednak rządy terroru we Francji, które nastąpiły kilka lat później, pozbawiły go jednego i drugiego i wygnały z kraju.

- Wątpię, czy mój ojciec docenia twoje poświęcenie - powiedział z przekąsem Adrian.

Etienne porzucił medycynę, gdy otworzyła się przed nim perspektywa uzyskania arystokratycznego tytułu. Było nie do pomyślenia, by hrabia de Giverney prowadził praktykę lekarską, którą wcześniej kupiono mu za pieniądze Rohanów.

- To prawda. Twój ojciec zawsze kwestionował moje uczucia - przyznał ze smutkiem Etienne. Nagle poweselał. - Madame Kate sprowadziła nowe dziewczęta, w tym jedną Murzynkę. Pozwól, że dowiem się, czy nie moglibyśmy zabrać ich ze sobą na wieś. Moglibyśmy też kazać posłać kilka skrzynek koniaku, który właśnie nabyłem. Czas nie będzie nam się dłużył.

- Nie chcę, żeby czas mi się nie dłużył. Nie potrzebuję murzyńskich dziwek, koniaku oraz - muszę dodać z prawdziwą przykrością - twojego towarzystwa.

Etienne wyglądał na zbitego z tropu.

- Ach, tak. No cóż, nie miałem pojęcia, że moja przyjaźń tak ci ciąży.

- Nie nudź. Wiesz, że z nikim nie spędzam czasu tak dobrze jak z tobą. - Miesiąc temu, nawet tydzień temu, byłaby to prawda. Teraz Adrian nie marzył o niczym innym jak o uwolnieniu się od kuzyna. - Po prostu mam ochotę pobyć sam ze sobą. Czy tak trudno ci to zrozumieć?

Etienne nie mógł się zdecydować, czy nadal boczyć się na kuzyna, czy też pozwolić się ugłaskać.

- To do ciebie niepodobne - zrzędził. - Uważam, że źle robisz. Sezon się dopiero zaczął. Nie sprzeciwiałbym się, gdybyś wyjechał na wieś za miesiąc.

Naleganie kuzyna zaczynało być męczące, zresztą, jak wszystko inne, i Adrian ustąpił.

- Wyjadę więc za miesiąc, niech będzie. Gdzie jest ten kelner z winem? Mam pusty kieliszek. - Uśmiechnął się z przymusem. - Stawiam sto funtów, że będę musiał sam się po niego pofatygować.

- Przyjmuję zakład - rzekł zadowolony Etienne. - Będę jednak musiał pożyczyć od ciebie sto funtów, aby się założyć. Ostatnio krucho u mnie z gotówką.

- W takim razie sprowadź kelnera, a wygrasz zakład.

- Jeśli mi pożyczysz sto funtów, żebym mógł przyjąć zakład, to jak wygram, wypłacisz mi dwieście. - Etienne dbał o portfel.

- Zgoda. Czuj się właścicielem dwustu funtów. Jutro ci je wypłacę.

Na dobrą sprawę Adrian nie wiedział, czego chce. Prześladował go wyraz twarzy Charlotte Spenser, gdy się kochali. Nie chciał myśleć o niej ani o żadnej kobiecie. Postanowił się upić, a potem pójść do madame Kate i tam rozładować frustrację. Może madame ma w swojej stajni jakąś dziewczynę o miedzianych włosach? Jaka różnica: ta czy inna? Czy naprawdę było mu tak dobrze przez te dwa dni spędzone w jego wykutej w skale grocie? Utkwiły mu w pamięci tylko dlatego, że stanowiły nowość. Może powinien przestawić się na uwodzenie dziewic, jak to mieli w zwyczaju niektórzy mężczyźni.

W tym momencie przypomniał sobie o Montague'u. Ostatni raz widział przyjaciela przed wyruszeniem w pogoń za Charlotte. Monty sprawiał wrażenie bardziej słabowitego niż zazwyczaj. Trudno orzec, czy zaróżowione policzki świadczyły o gorączce, czy o nadużyciu rózu ze słoiczka. Jeśli zdecyduje się wyjechać na wieś, mógłby zawadzić o Sussex i sprawdzić, czy Monty czuje się lepiej. Nie przyjechał na tegoroczny sezon do miasta i Adrian podejrzewał, że londyńskie dni Monty'ego należą do przeszłości.

Dobrze, że jeszcze nie umarł. Odkąd Charles Edward zmarł we Francji piętnaście lat temu, nikt bliski Adrianowi nie odszedł z tego świata. W jego rodzinie wszyscy cieszyli się dobrym zdrowiem. Matka i cztery siostry rodziły bez trudności, nie wisiała nad nimi groźba śmierci nieodłącznie związana z macierzyństwem. Miał już siedmioro siostrzeńców i siostrzenic, za którymi specjalnie nie przepadał, jednak cieszył go fakt, że byli wyjątkowo zdrowi.

Mógł sobie powiedzieć „do diabła z Etienne” i wyjechać, zanim kuzyn by się zorientował i próbował mu wyperswadować wypad na wieś. To jednak pachniałoby tchórzostwem. Oprócz tego ten bezczelny bastard najpewniej podążyłby za nim.

Dla Adriana było nieodgadnioną tajemnicą, dlaczego Etienne'owi tak bardzo zależało na jego towarzystwie. Kiedy zjawił się w Londynie i przylgnął do niego, Adrianowi nawet pochlebiała atencja ze strony starszego kuzyna, nie mówiąc o tym, że imponowały mu niebezpieczne ekscesy, do których Etienne od początku go popychał.

Teraz ich urok zaczynał jednak zdecydowanie blednąć.

Wstał, podszedł do stolika, przy którym grano w faraona, gdzie Etienne chyba na dobre zapuścił korzenie.

- Nie wiem, dlaczego jestem taki zmęczony - wymamrotał. - Zamierzam położyć się wcześniej. Spotkamy się jutro wieczorem?

- Chętnie, chociaż myślałem, że poszukamy sobie bardziej wyrafinowanej rozrywki niż tańce w Ranelagh Gardens. Panuje tam nieznośnie angielska atmosfera.

- Jesteś w Anglii, nie zapominaj o tym - znowu zirytował się Adrian. - Czego się spodziewasz?

Kolejna noc nudy. Adrian miał do przejścia kilka przecznic w stronę Curzon Street, gdzie swego czasu kupił niewielki dom dla kochanki, do którego się wprowadził, gdy dziewczyna wybrała innego protektora.

Noc była chłodna i pogodna. Niedawny deszcz zmył brud z ulic. Adrianowi przypomniało się spotkanie z Charlotte. Świsnął w powietrzu laseczką z kości słoniowej. Nie wiadomo dlaczego ciągle był rozdrażniony.

Charlotte Spenser usadowiła się w wygodnym fotelu ustawionym wśród obfitej zieleni w oranżerii pałacyku Evangeliny, hrabiny Whitmore. Wilgotne i ciepłe powietrze było przesycone zapachem świeżych wiosennych kwiatów. Piła herbatę. Nie te okropne ziółka, które Lina wlewała jej w gardło galonami, lecz czarną angielską herbatę z odrobiną mleka i dużą ilością cukru. Co za rozkosz dla podniebienia, w odróżnieniu od tamtej wstrętnej lury.

Trzy tygodnie upłynęły od pamiętnego spotkania z Adrianem. Skręcona kostka przestała boleć, otarcia skóry i siniaki, których nabawiła się podczas upadku z wysokiego brzegu strumienia, prawie znikły. Obecnie nie mogła uwierzyć, że to wszystko rzeczywiście się wydarzyło. Tylko w chwilach zadumy, gdy znowu czuła na sobie dłonie i usta Adriana, kiedy miała wrażenie, że on ją wypełnia, wiedziała, że to nie była fantazja. Wtedy chciało się jej płakać.

Zazwyczaj Charlotte nie była skora do łez. Dlaczego płakała teraz? Przecież to nie było żadne traumatyczne doświadczenie, a poza tym nikt nie musi się o niczym dowiedzieć. Uznała, że w miarę upływu czasu powinno być łatwiej. Niestety, nie było.

Cały pierwszy tydzień tonęła we łzach, czym zaalarmowała Linę, która rzadko widywała wierną przyjaciółkę w takim stanie. Meggie bez specjalnego wysiłku wyciągnęła z Charlotte prawdę o tym, co przydarzyło się jej podopiecznej w Hensley Court. Wkrótce Lina została również dopuszczona do tajemnicy. Charlotte z trudem udało się wyperswadować Linie gotowość interwencji u Adriana i jego rodziny.

- Jeśli narobisz szumu, wszyscy się dowiedzą - argumentowała. - To była moja decyzja, nikt mnie nie zmusił. Nade wszystko nie chciałabym skończyć jako żona rozpustnika. Uważam, że dokonałam właściwego wyboru w kwestii utraty cnoty, ale na tym koniec.

- Był dobry?

- Nie powiem ci. Poza tym nie mam skali porównawczej.

- Ale było ci dobrze? Był delikatny? Osiągnęłaś ekstazę?

Charlotte czuła, że się czerwieni.

- Tak.

- Cholera - zaklęła Lina.

- Przepraszam, nie rozumiem.

- Muszę go unikać, choć miałam na niego chętkę. Uważam go za twoją własność i nie będę wchodziła ci w paradę.

- On nie jest moją własnością. Weź go sobie - odparła Charlotte, machając lekceważąco ręką. Prawie udało się jej uwierzyć, że mówi szczerze. - W końcu pierwsza go chciałaś.

- Nic podobnego. Ty wodziłaś za nim wzrokiem przez ostatnie lata, choć nie wiem czemu. Przyznaję, że jest niezwykle przystojny, ale przecież dla ciebie uroda to nie wszystko. Więc dlaczego?

Ponieważ ma smutne oczy, mogła odpowiedzieć Charlotte. Bo tak bardzo stara się być zły i nikczemny, a wystarczy zdjąć mu maskę, aby ujrzeć skrzywdzonego chłopca usiłującego zwrócić na siebie uwagę. Również dlatego, że jest przystojny. Zachowała te odpowiedzi dla siebie. Nie podzieliła się nimi z Liną.

- Nie mam pojęcia. Ja z nim skończyłam. Masz wolną rękę, może dopisze ci szczęście - powiedziała.

- Nic z tego - oznajmiła stanowczo Lina. - Wypij wreszcie te ziółka.

Charlotte przełknęła posłusznie napar, którym od powrotu do domu poila ją Lina. Okazało się, że dwa występne dni z Adrianem uszły jej bezkarnie. Dobrze, że o to zadbał.

Chciała wytłumaczyć to kuzynce, ale nie potrafiła.

- Nie trudź się, droga - uprzedziła ją Lina. - Wiem, co chcesz powiedzieć, i cieszę się, że miał przynajmniej tyle rozumu. Mimo wszystko pij ziółka.

Ostatecznie wszystko skończyło się pomyślnie. Doktor obejrzał ją i uznał, że wyszła bez szwanku z upadku. Charlotte nie pozwoliła mu się zbadać bardziej dokładnie. Natomiast ani Meggie, ani Linie nie wyznała, że została zepchnięta z wysokiego brzegu rzeczki. Męczyło ją nieznośne podejrzenie, że mógł to być Adrian.

- Kochana, szykuj się na dzisiejszy wieczór - przypomniała jej Lina, wkraczając zamaszystym krokiem do oranżerii. - To twoje pierwsze wyjście od powrotu z Susseksu. Ubierz się ładniej.

- Prawdę powiedziawszy, myślałam, że mogłybyśmy posiedzieć jeszcze kilka dni w domu - odrzekła Charlotte. - Nie wiem, czy moja kostka jest zupełnie zdrowa, i jakoś brakuje mi dawnej energii. Może zaczniemy od spaceru po parku, na przykład jutro. Nie mam przekonania do tańców w Ranelagh Gardens.

- Spaceru? - zapytała zdziwiona Lina. - Przecież wiesz, że nie spaceruję. Zabawa w Ranelagh Gardens powinna ci odpowiadać. Będzie maskarada, koncert w rotundzie, tańce, jak również inne rozrywki.



- Nie cierpię maskarad. Na marginesie, jeśli mam wystąpić w dominie przykrywającym mnie od stóp do głów, to co za różnica, co będę miała pod spodem?

- Na wypadek gdybyś zechciała zabłądzić w towarzystwie dżentelmena do którejś z bocznych alejek i zdjąć przebranie.

- Straciłam cnotę, lecz nie jestem dziwką - rzuciła Charlotte i przestraszona zakryła dłonią usta.

Błądzenie po bocznych alejkach w poszukiwaniu dżentelmenów było głównym powodem, dla którego Lina wybierała się do Ranelagh Gardens.

- Nie martw się. - Lina nie poczuła się dotknięta. - Daleko ci jeszcze do mnie, a poza tym już z tego zrezygnowałam.

- Z czego?

- Z romansowania. Masz przed sobą inną kobietę. Koniec z randkami i kochankami. Zamierzam być trzeźwa i poświęcić się działalności charytatywnej.

- Żartujesz. - Charlotte patrzyła ze zdumieniem na przyjaciółkę.

- Trochę. - Lina uśmiechnęła się. - Zmęczyło mnie skakanie z łóżka do łóżka. Odpoczynek mi nie zaszkodzi. Głowa do góry, nie zostawię cię samej dzisiejszego wieczoru. Zresztą, będziemy w towarzystwie kochanego starego Percy'ego Wainbridge'a. Żaden dżentelmen nie ośmieli się narzucać nam swojego towarzystwa.

- Mimo wszystko nie mam ochoty.

- Zapewniam cię, że wicehrabiego Rohana nigdy nie widywano w Ranelagh Gardens. On woli uroki Vauxhallu, choć nawet tam jest dla niego za bogobojnie. Najlepiej czuje się w domach gry i burdelach. Nie musisz się obawiać, że go spotkasz. Czy teraz jesteś spokojniejsza?

- Nie o to mi chodziło - skłamała Charlotte.

- Jasne, że nie. Włóż tę piękną zieloną suknię, którą wiesz trzymasz w szafie. Upudrujemy sobie włosy, żebyś czuła się zupełnie bezpiecznie. To już niemodne i robią to tylko starsze panie. Zrób to dla mnie, kochanie. Musimy uczcić twój powrót do zdrowia i moje wejście na drogę cnoty.

- Niech ci będzie. - Charlotte nie udzieliła się radość Liny, jednak poszła na górę, by się przebrać.

## Rozdział piętnasty

Był piękny wiosenny wieczór. Poprzedniego tygodnia nieustannie padało, ale teraz wreszcie się wypogodziło. Księżyc stał wysoko na niebie, powietrze było łagodne i ciepłe. Wymarzona noc dla kochanków, pomyślała ponuro Charlotte. Była zadowolona z osłony, jaką dawały maseczka na oczy i domino. Jej ponura mina powinna stanowić wystarczający środek odstręczający mężczyzn. Zamierzała bez zwłoki wrócić do domu, gdyby Lina zapomniała o przyrzeczeniu zachowania czystości i opuściła ją jak w Hensley Court.

Na szczęście kuzynka nie objawiała chęci odstąpienia od powziętego postanowienia. Jej gęste czarne włosy były mocno przypudrowane i starannie uczesane, a jedyną ich ozdobą były szpilki wysadzone drobnymi szafirami i brylancikami. Nie zrezygnowała zupełnie z różu, ale nałożyła go bardzo skąpo i nie przykleiła muszki. Jeśli zamierzała stonować swoją wyjątkową urodę, to osiągnęła przeciwny efekt. Bez przesadnego makijażu regularne rysy wyszlachetniały. Lina wyglądała olśniewająco.

Suknia, którą włożyła pod czarne domino, była skromniejsza niż strój Charlotte. Z jakiegoś powodu Lina zamówiła całe mnóstwo sukien z płyciej wyciętymi dekoltami i w bardziej stonowanych kolorach niż karmazynowa czerwień i królewski błękit, w których do niedawna się lubowała. Nowe suknie były blad różowe, szarozielone i jasnoniebieskie, zwłaszcza te ostatnie szczególnie pasowały do koloru jej oczu.

Na szczęście czy też na nieszczęście, w zależności od tego, jak Charlotte chciała na to spojrzeć, całe to piękno skrywała maska i domino. Upudrowane włosy stanowiły dodatkowy kamuflaż.

- Nie podoba mi się tu - odezwała się Charlotte, rozglądając się wokół.

- Nie bądź śmieszna - upomniała ją Lina. - Wieczór jest przepiękny. Byłoby zbrodnią spędzenie takiej nocy w domu.

- Księżyc jest w pełni i dlatego Meggie ostrzegła mnie przed opuszczeniem domu. Mówiła, że kłopoty wiszą w powietrzu, bo mężczyznom odbija podczas pełni księżyca.

- Musisz nakazać tej dziewczynie, żeby mniej gadała. Na marginesie, mężczyznom odbija bez względu na okoliczności.

- Może powinniśmy wrócić do domu. Po co kusić los.

- Absurd. Skoro tu jesteśmy, będziemy się dobrze bawiły. Sir Percy zamówi dla nas wyśmienitą kolację, w rotundzie będzie koncert, a w pawilonach tańce. Nie musimy tańczyć, jeśli nie chcesz. Pamiętaj, że nikt nie wie, kim jesteśmy. Możesz się bawić bez obawy, że ktoś cię rozpozna. Możesz flirtować, ile chcesz, bez żadnych konsekwencji. Niewykluczone, że to ci się spodoba.

Charlotte nie zadała sobie trudu, by odpowiedzieć na takie niedorzeczności. Była zmęczona, nie miała apetytu, a wygłupianie się na parkiecie było ostatnią rzeczą, jaka przyszłaby jej do głowy. Marzyła o powrocie do domu i położeniu się do łóżka. Najwyraźniej jednak Lina nie zamierzała się nad nią zlitować.

Sir Percy, pan około siedemdziesiątki, uklonił im się, nisko pochylając okrytą peruką głowę. Ze wszystkich swoich wielbicieli Lina najbardziej lubiła tego dżentelmena starej daty, który kochał kobiety i uwodził je tak czarująco, że nawet Charlotte zapominała o rezerwie i też zaczęła z nim flirtować.

Szli dobrze oświetloną alejką, pozdrawiając licznie zebranych amatorów beztrojskiej zabawy.

Niektórych łatwo było rozpoznać. Panie były przebrane przeważnie w stroje wzorowane na starogreckich szatach lub chińskich kimonach tak uszytych, by eksponowały niewieście kształty. Większość mężczyzn ograniczyła się do maski na twarzy, którą można było uchylić.

Ogrody były wspaniale udekorowane i rzeźbiście oświetlone, z wyjątkiem alejek przeznaczonych dla romansujących par i tak zwanego labiryntu kochanków. Po sztucznym kanale pływały łódki przypominające weneckie gondole. Tu i tam produkowali się śpiewacy udający włoskich minstrelów, a także akrobaci i żonglerzy. Charlotte wcale te występy nie bawiły.

Kolacja była raczej marna, choć potrawy nosiły wyszukane nazwy. Charlotte zadowolona się odrobiną chleba i galaretki, ale nawet niewielka porcja ciążyła jej w żołądku. Uznała, że to widocznie opowieści Meggie wywarły na nią zły wpływ. Przyznała rację Linie. Wieczór był przepiękny i po nad wyraz deszczowej wiośnie byłoby głupotą zostać w domu.

Charlotte siedziała sama przy stoliku ustawionym na trawie i sączyła lemoniadę. Na myśl, że mogłaby się napić wina, robiło się jej niedobrze, ale nigdy nie była specjalną amatorką win. Lina tańczyła z sir Percym statecznego menueta, odpowiedniego do wieku partnera oraz jej kostiumu. Charlotte obserwowała tańczących. Pomyślała, że byłoby zabawne być niewidzialną w tym tłumie. Chociaż nie potrzebowała ani maski, ani domina, żeby ludzie jej nie dostrzegali.

Menuet się skończył i muzykanci zagrali szybkiego kontredansa. Charlotte zaczęła wystukiwać stopą rytm pod ciężkimi spódnicami. Kostka już jej nie bolała i gdyby była na wsi, ruszyłaby w tany. Sir Percy wrócił do stolika, jego zarumieniona twarz pałała zadowoleniem.

- Lady Whitmore zatańczy z młodym Marchmontem. Przysłała mnie po panią i kazała nie słuchać wymówek.

- Przecież nie tańczę - oznajmiła stanowczo Charlotte.

- Uprzedziła mnie, że tak pani powie. Mam nie zwracać na to uwagi.

Charlotte uśmiechnęła się najmilej, jak tylko potrafiła.

- Naprawdę nie mogę. Kilka tygodni temu skręciłam nogę w kostce.

- Powiedziała mi, że pani tym będzie się usprawiedliwiała. Apeluję do pani dobroci. Jestem starym człowiekiem, większość młodych kobiet nie chce ze mną tańczyć. Zapominam, jak się wykonuje niektóre figury, a tak bardzo lubię tańczyć.

Przybrał żalną minę, Charlotte dłużej nie mogła się opierać. Każdemu natrętnemu młodemu człowiekowi udzieliłaby surowej odprawy, ale sir Percy był niesłychanie miły i okazywał jej wiele przyjaźni.

Wstała i przyjęła oferowane ramię.

- A może wolałby pan raczej pójść na spacer? - pytała, szukając ostatniej deski ratunku.

- Panno Spenser! - wykrzyknął nad wyraz zgorszony. - Sugeruje pani romantyczne *tête-à-tête*? Pochlebia mi pani, ale obawiam się, że w moim wieku to nie wypada.

Charlotte chciała mu wytłumaczyć, że nie o to jej chodziło, ale widząc jego zadowoloną minę na myśl o flircie z młodą kobietą, zrezygnowała. Nie będzie go rozczarowywać.

- Zatańczę - zdecydowała.

Ruszyli do pawilonu. Jestem nie do rozpoznania w przebraniu, przypomniała sobie, nie trzeba się denerwować. Jej rzucające się w oczy rude włosy były teraz lawendowo-białe, maska zakrywała połowę twarzy, a domino otulało sylwetkę. Może deptać tancerzom po palcach, nikt nie będzie wiedział, że to ona. Prawdę powiedziawszy, mogłaby skorzystać z okazji i kopnąć parę osób, które, jej zdaniem, na to zasługiwały.

Melodia była dobrze znana, „Tom Scarlett”. Sir Percy wprowadził Charlotte w taneczny krąg, zanim zdążyła się rozmyślić, tancerze ustawili się wokół nich. Wkrótce muzyka pochłonęła Charlotte.

Zacząła wystukiwać jej rytm najpierw jedną nogą, potem drugą. Ruszała się po parkiecie, kołysała ciałem z nieopisaną rozkoszą, stopy bezbłędnie wykonywały skomplikowane kroki.

Muzyka szybko ucichła. Charlotte zamierzała opuścić parkiet, ale kolejny taniec był wolniejszy, i nie mogła się oprzeć chęci zatańczenia i tej melodii. Okrążyła sir Percy'ego, potem swoje *vis-à-vis* i sąsiada z boku, ani na chwilę nie gubiąc kroku. Teraz muzyka stała się żywsza, więc Charlotte poruszała się szybciej, z odrzuconą do tyłu głową i uśmiechem na ustach. W czasie wykonywania tak zwanej ósemki mijala Linę. Nie widziała całej twarzy kuzynki, ukrytej za maską, dostrzegła tylko jej usta mówiące „a widzisz”.

Taniec się skończył. Charlotte była zdyszana, lecz szczęśliwa. Sir Percy miał już dosyć, jednak na parkiet porwał ją tym razem Marchmont, młodzieniec zaledwie siedemnastoletni. Poruszała się z zadziwiającą swobodą i pewnością siebie. Po raz pierwszy od trzech tygodni tryskała radością. Czowała, że jej ciało jest silne, zdrowe i w pełni rozkwitu.

Nowy partner Liny był starszym wiekiem wojskowym. On i Lina tańczyli w innym kręgu. Właśnie ich grupa utworzyła koszyczek. Charlotte zauważyła, że Lina gestykuluje w jej stronę gwałtownie, złożyła więc usta w niemym zapytaniu „co?”, ale nie dowiedziała się, o co chodziło kuzynce. Tańczyła teraz z pryszczatym młodzieńcem niemal tak samo niezręcznie jak niegdyś ona. Współczuła mu, bo wyraźnie przeżywał swoje niepowodzenia, dlatego za każdym razem, gdy się mijali, Charlotte szeptała mu do ucha in-

strukcje. Kiedy udało mu się wykonać pewną skomplikowaną figurę, nagroził ją uśmiechem wdzięczności.

Po następnym koszyczku natrafiła na nowego partnera. Kiedy wypadało wykonać przed nim przepisowe dygnięcie, zauważyła, że jej partnerem jest nie kto inny, tylko Adrian Rohan. Z wrażenia potknęła się, ale szybko odzyskała równowagę. Za jego plecami dostrzegła Linę, która zdjęła maskę. Jej piękną twarz wykrzywiało przerażenie.

Niech to, zaklęła w myślach Charlotte. Nie mógł jej rozpoznać, uspokoiła się w duchu. Bawiła się doskonale i nie zamierzała rezygnować tylko dlatego, że on pojawił się w ogrodach. Pozostały im do wykonania tylko trzy figury, potem więcej się nie spotkają. Lina trwała w gotowości, aby ją zabrać z parkietu, jak tylko skończy się taniec.

Charlotte nie odzyskała swoich okularów zgubionych podczas wyprawy do Sussexu, ale prawda była taka, że nie za bardzo ich potrzebowała. Wyraźnie widziała przejrzyste, niebieskie oczy Adriana Rohana. On też ją obserwował, nie dostrzegła jednak szczególnego zainteresowania swoją osobą. Była jedną z wielu tancerek na parkiecie, kimś, kogo się mija w trakcie wykonywania kolejnej figury. Nawet jeśli wyróżniała się wzrostem wśród większości kobiet, to nie było niczym nadzwyczajnym. Nie powinien zwrócić na nią uwagi.

Nie poznał jej, pocieszała się w duchu, chociaż nie opuszczało jej wrażenie, że on podchodzi ją jak drapieżnik ofiarę. Tańczył z wdziękiem, jak dawniej, gdy jego swoboda ją paraliżowała. Tym razem kocia gracia, z jaką poruszał się po parkiecie, nie onieśmiewiała Charlotte. Pozwalała sobie nawet od czasu do czasu zawiesić spojrzenie na jego ustach. Pamiętała ich dotyk, jego ciało przy swoim, skóra przy skórze...

Zarumieniła się, łapała ustami powietrze. Było jej gorąco, lecz nie z powodu zmęczenia tańcem.

W ostatniej figurze należało wyciągnąć ku partnerowi skrzyżowane ręce. Nawet przez dwie warstwy rękawiczek, swoich i Adriana, poczuła emanującą z niego energię. Wirowali razem. Nieoczekiwanie Charlotte ogarnął smutek, miała ochotę się rozplakać.

Nagle Adrian zniknął. Naprzeciwko Charlotte znalazł się pulchny mężczyzna w średnim wieku. Była uratowana. Nie zdradziła się w żaden sposób. Adrian Rohan nawet się za nią nie obejrzał.



Marchmont był blisko. Odetchnęła z ulgą.

Kiedy kobiety spotykają się z pierwszym partnerem, z którym stanęły na parkiecie, taniec dobiega końca. Będzie mogła uciec. Nie panowała nad emocjami. Jakie to do niej niepodobne. Jeszcze jeden obrót, jedno okrążenie, zmiana rąk. Jeszcze raz znajdzie się naprzeciwko Rohana. Wyglądał na znudzonego. Jego obecna partnerka, śliczna dziewczyna, nie ma szansy zatrzymać go przy sobie, gdy umilknie muzyka. Charlotte powinno to być obojętne, ale nie było. Cieszyło ją.

Wykonała ostatni obrót, przesuwała się z prawa do lewa. Był coraz bliżej. Na krótką chwilę jego okryta rękawiczką, gorąca dłoń dotknęła jej dłoni. Przesunął się ku kolejnej tancerce, nawet na Charlotte nie spojrzął i już wyrósł przed nią uśmiechnięty Marchmont.

Koniec. Zbliżyła się do nich Lina, znowu w masce, ale jej zdenerwowanie było widoczne.

- Przepraszam, najdroższa - zaczęła stłumionym głosem. - Co za fatalny przypadek. Nie wierzyłam własnym oczom. Na dodatek dostał się do twojego kręgu. Myślisz, że cię rozpoznał?

- Na pewno nie. Nie uważasz, że w tej sytuacji powinniśmy wracać do domu?

- Powinniśmy, masz rację. Musimy odnaleźć sir Percy'ego. Prawdopodobnie gra w karty. On lubi tańczyć, ale długo na parkiecie nie wytrzyma.

Charlotte obejrzała się nerwowo przez ramię.

Wicehrabiego nie było widać. Marchmont flirtował z jakąś nową tancerką.

- Lino, nie będę czekała na sir Percy'ego. Pójdę pierwsza. Do skraju parku blisko, a tam stoi mnóstwo dorożek. Wrócę na Grosvenor Square. Poszukaj sir Percy'ego. Spotkamy się w domu.

- Nie mogę zostawić cię samej w takim miejscu - oponowała Lina.

- Możesz. Nikt nie weźmie mnie za dziewczynę lekkich obyczajów. Wierz mi, także nikt nie ośmieli się mnie zaczepić.

- Nikt nie ośmieli się zaczepić panny Charlotte Spenser, znanej w tego, że potrafi odstraszyć każdego śmiałka groźnym spojrzeniem, ale tajemnicza dama w pałacowym dominie, tańcząca swobodnie, to co innego.

- Nie martw się, dam sobie radę. Naprawdę, Lino, im szybciej stąd zniknę, tym lepiej. A tobie nie wypada opuścić sir Percy'ego bez pożegnania, prawda?

- Chyba nie - odparła z wahaniem Lina. - Jeśli poczekaś chwilę, zawołam Marchmonta i każę mu dotrzymać ci towarzystwa.

- Dam sobie radę - powtórzyła Charlotte. - Jeszcze nieraz zdarzy się, że nie będzie pod ręką dżentelmena, który mógłby mi zapewnić eskortę, i z tego powodu nie mogę się stać więźniem.

- Idź do południowego wejścia. Tam się spotkamy, gdy uda mi się odnaleźć sir Percy'ego.

- Naturalnie - zgodziła się Charlotte, nie mając zamiaru posłuchać kuzynki.

Zachodnie wejście było znacznie bliżej, choć droga do niego wiodła przez labirynt i płataninę ciemnych ścieżek. Wcześniejsze ożywienie znikło, teraz była w nastroju do płaczu. Łzy były słabością, którą gardziła, ale nie potrafiła zapanować nad emocjami. Jedyne, na co liczyła, to że uda się jej wybuchnąć płaczem dopiero w dorożce.

Ruszyła szczelnie osłonięta dominem. Wejście zachodnie znajdowało się za rzędem pawilonów, w których mieściły się prywatne gabinety restauracyjne. Charlotte poczuła się niepewnie, skręcając w skąpo oświetloną alejkę. W razie konieczności pobiegnie. Była przekonana, że potrafi biec szybciej niż wielu zniewieściałych mężczyzn w pantoflach na wysokich obcasach. Adrian do nich nie należał. Nie nosił obcasów, był dostatecznie wysoki i bez nich.

W masce i dominie było jej gorąco, ale nie mogła ich zdjąć, przynajmniej nie wcześniej, niż wsiądzie do dorożki. Nikt nie powinien jej rozpoznać. Owinęła się dominem jeszcze szczelniej. Ta część parku sprawiała wrażenie opustoszałej. Większość par wybrała na zaloty teren nad kanałem przecinającym wschodnią część ogrodów. Inni albo tańczyli, albo jedli kolację. Wyglądało na to, że jest bezpieczna. Szła słabo oświetloną ścieżką i walczyła z cisnącymi się do oczu łzami.

Zapomniała, że wejście do labiryntu było celowo zamaskowane. Na tym polegała zabawa. Wychodziło się na niewinny spacer i nagle gubiło drogę. Charlotte o tym słyszała. Ponieważ rzadko chadzała do ogrodów rozrywki, nie zorientowała się, że weszła

na ścieżkę, na której nie powinna się znaleźć. Dopiero gdy dotarła do ślepego zaułka, gdzie drogę zagroziły jej grube gałęzie bukszpanowego żywopłotu, zrozumiała, że zabiła.

Zawróciła drogą, którą przyszła. Miała doskonałą pamięć, zrobiła tylko kilka zakrętów. Jeszcze jeden i wróci na właściwą ścieżkę. Niestety, za tym zakrętem znowu natrafiła na ślepy korytarz. Przystanęła i głęboko odetchnęła. Nie ruszała się, żeby zorientować się w położeniu. Wtedy usłyszała czyjś oddech.

Ktoś był w pobliżu, lecz to nie powód do paniki, wszak jest w miejscu publicznym, uspakajała się. Dookoła muszą być ludzie. Może ten ktoś pomoże jej wydostać się z labiryntu.

- Jest tam kto? - zapytała z nadzieją w głosie.

Odpowiedziała jej cisza. Nadal jednak słyszała czyjś oddech. Ten ktoś, kimkolwiek był, nie zamierzał kryć swojej obecności. Jego oddech był lekko świszczący, jakby był zmęczony biegiem. To musi być ktoś starszy i najwyraźniej bawi się z nią w chowanego.

- Sir Percy? - zawołała.

Pomyślała, że staremu dżentelmenowi zebrało się na niewczesny flirt. Nikt nie odpowiadał. Charlotte poczuła się nieswojo. Odniosła wrażenie, że jest obserwowana. Prawdopodobnie przez tę samą osobę, która oddychała tak głośno.

Środek labiryntu spowijały ciemności, oświetlone były jedynie zewnętrzne ścieżki. Utworzone z bukszpanu zielone ściany nie były specjalnie grube, zapewne dało się przez nie coś widzieć. Charlotte spróbowała zajrzeć do alejki po drugiej stronie, ale niczego nie zobaczyła.

Dostała gęsiej skórki. Nawiedziło ją przeczucie, że ów ktoś, kto ją obserwuje, ma złe zamiary.

- Nie jestem usposobiona do żartów! - zawołała odważnie. - Pokaż się albo odejdz.

Nie zrobił ani jednego, ani drugiego. Zrobił coś znacznie gorszego. Roześmiał się. Nisko, chrapliwie, nieprzyjemnie. Charlotte serce skoczyło do gardła.

- Idź do diabła! - krzyknęła.

Pragnęła, aby jej głos zabrzmiał pewnie, świadczyłoby to bowiem o tym, że się nie boi, lecz się nie udało. Ktokolwiek krył się w labiryncie, był naprawdę groźny. Nie nale-

żało go lekceważyć. Mimo wszystko zachowała zimną krew. Przypomniała sobie, jak opowiadano kiedyś przy niej, że aby wyjść z labiryntu, należy bez przerwy podążać za jedną ręką przytkniętą do ściany. Ten, kto ją obserwował, znajdował się raczej bliżej środka.

Aby się na niego nie natknąć trzeba było kierować się na zewnątrz. Ale jak? Miała wybór między drogą właściwą a niewłaściwą. Mogła się tylko modlić, że znajdzie tę, której potrzebowała.

Przytknęła dłoń do ściany i ruszyła. Musiał to słyszeć.

Ona też coraz wyraźniej słyszała jego kroki za sobą. Szedł za nią. To oznaczało, że wybrała właściwą drogę, pomyślała, i niemal rozplakała się z ulgi. Gdyby zmierzała w jego stronę, po prostu by na nią czekał przyczajony jak pająk.

Przyspieszyła. Nie zważała, że drapią ją gałęzie, a skręcona podczas niedawnego upadku noga ponownie zaczyna boleć. Szybciej. Szybciej. Brakowało jej tchu w pierśsiach. Gorset wpijał się w ciało, domino zaczepiało o gałęzie. On ją zamorduje, wrzuci ciało do Tamizy, ślad po nie zginie. Musi iść jeszcze szybciej.

Ujrzała otwierające się przed sobą wyjście. Potknęła się, zachwiała, niemal wpadła na elegancko ubranego dżentelmena. Mało brakowało a zwałiłaby go z nóg. Wyciągnął w jej stronę dłonie w rękawiczkach. Noc była teraz zupełnie ciemna, a Charlotte nie zgubiła maski. Na szczęście.

Mężczyznę, który uratował ją od upadku, był nie kto inny, tylko Adrian, wicehrabia Rohan.

## Rozdział szesnasty

- Droga pani - usłyszała znajomy głos - potrzebuje pani pomocy?

Charlotte odetchnęła. Ból w sforsowanej kostce dokuczał mocno, a jednak poczuła ulgę, że spotkała Adriana. Z pewnością wystąpiłby w jej obronie. To nie Rohan stanowił zagrożenie, rzeczywiste czy wymaginowane.

Wydawało się, że jej nie poznał. Przez chwilę wahała się - udawać wymowę francuską czy gwara londyńską, której uczyła ją Meggie? Potrafiła także mówić z akcentem z Yorkshire, żyła bowiem z rodziną na północy Anglii. Wszystko to było jednak zbyt skomplikowane. Istniała szansa, że on nie pamięta jej głosu. Postanowiła jednak na wszelki wypadek mówić z lekką chrypką.

- Ktoś był w labiryncie i śledził mnie.

Adrian podszedł do wejścia, nasłuchiwał chwilę. W labiryncie panowała głucha cisza. Odwrócił się z tym swoim urzekającym uśmiechem, który rzadko obejmował oczy, ale tym razem z jakiegoś powodu jego ciemnoniebieskie oczy rozświetlał uśmiech. A może tak się tylko Charlotte wydawało w mdłym świetle latarni?

- Jeśli ktoś tam był, to już go nie ma - powiedział. - Nie powinna pani być sama. Gdzie pani towarzystwo?

- Moja przyjaciółka właśnie szuka znajomego, z którym przyszyliśmy - odparła zgodnie z prawdą Charlotte. Mówiła cicho, co w połączeniu z chrypką nadawało rozmowie intymny charakter. - Postanowiłam na własną rękę wrócić do domu wynajętą dorożką lub lektyką.

- W takim razie, jeśli można, odprowadzę panią do dorożki. Nie wybaczyłbym sobie, gdybym pozwolił tak pięknej damie samotnie iść ciemnymi alejkami.

Pochlebilo jej, że nazwał ją „piękną damą”, ale szybko się opamiętała.

- Dziękuję panu, potrafie zadbać o swoje bezpieczeństwo.

- I dlatego błędziła pani po labiryncie, gdzie omal nie została napadnięta. Dżentelmen nie może zostawić damy w takich okolicznościach.

Uśmiech Adriana był urzekający. Charlotte była nim oczarowana, a jednocześnie zgorszona tym, że on, wicehrabia, emabluje każdą napotkaną kobietę, bo przecież mógł jej nie rozpoznać.

Czy niczego się nie nauczyła? Nic dla niego nie znaczyła. Posłużyła mu do rozładowania żądy, a ta spontaniczna i niezwykła reakcja, którą potrafił w niej wskrzesić, nie była warta wstydu, jaki czuła z powodu okazanego jej lekceważenia, wyrażającego się zwłaszcza w sposobie rozstania.

A jednak...

- Nie - odpowiedziała stanowczo. - Dziękuję, milordzie. Jest pan bardzo uprzejmy, lecz nie jestem przekonana, czy pańskie towarzystwo okazałoby się bezpieczniejsze niż tego mężczyzny z labiryntu.

- Chwalebna ostrożność. Bez wątpienia stać mnie na bardzo złe zachowanie. Tym razem jednak oferuję pani bezpieczną eskortę, nic poza tym.

Charlotte była gotowa nadal oponować, gdy w oddali usłyszała Linę nawołującą sir Percy'ego.

- Widziałam, jak szła tędy...

- Czy to głos pani towarzyski? - zainteresował się Adrian.

- Nie! - zaprzeczyła stanowczo. Musiała szybko podjąć decyzję. - W porządku, przyjmuję pańską pomoc. Chodźmy.

Wydawało się jej, że na jego wargach pojawił się uśmiech triumfu. Nie miała czasu zastanawiać się, czy było tak istotnie, położyła dłoń na jego ramieniu, a on przykrył ją swoją ręką.

- Nie w tę stronę. - Poprowadził ją ku bocznej alejce.

Zdążyli zniknąć w ciemnościach, zanim przy wejściu do labiryntu stanęli Lina i sir Percy

- Czy to był ktoś, z kim spotkanie byłoby pani niemiłe? Naturalnie, poza mężczyzną, który panią ściagał w labiryncie? - zapytał od niechcienia Adrian, gdy odeszli na tyle daleko, że nie mogli być słyszalni.

- Oczywiście, że nie. Skąd ten pomysł?



- Bo słysząc ich, zerwała się pani do ucieczki. A może nie życzyła sobie pani, żeby ją widziano ze mną?

Charlotte wyczuła, że Adrian bawi się jej kosztem. Dobrze to знаła. Czy on zawsze tak zachowuje się wobec kobiet?

- Dlaczego miałabym się martwić, że mnie z panem zobaczą?

- Najwyraźniej wie pani, kim jestem. Zwracała się pani do mnie „milordzie”. To nie przypadek. Jeśli zatem pani mnie rozpoznała, wie również jaką mam reputację. Samo pokazanie się w moim towarzystwie jest kompromitujące.

Charlotte rozważała, czy nie zaprzeczyć. Alejka, którą ją prowadził, była ciemna. Czy Adrian zamierza pocałować ją pod osłoną ciemności. Wiedziała, że gwałt jej nie grozi. Czy będzie miała szansę zasmakowania pocałunku, zanim on umieści ją w dorożce? Postanowiła, że mu pozwoli, gdyby próbował.

- Wicehrabia Rohan jest powszechnie znany we wszystkich kręgach towarzyskich, nawet tych, w których się nie obraca - powiedziała. Postanowiła chwycić byka za rogi. Udawanie, że nie wie, z kim ma do czynienia, było bezcelowe. - Ktoś pokazał mi pana na parkiecie tanecznym.

- Ach, tak.

Irytacja Charlotte wzrastała. Czy on jest tak mało spostrzegawczy w stosunku do wszystkich kobiet, czy tylko wobec niej?

- Dokąd mnie pan prowadzi?

- Ma pani jakieś obawy?

Nie chciała się przyznać. W grę wchodziły nie tyle obawy, co oczekiwania.

- Liczyłam na to, że zaprowadzi mnie pan do postoju dorożek przy zachodnim wejściu do parku. Każda inna możliwość byłaby nie do zaakceptowania.

- Nigdy by mi nie przyszło do głowy, moja piękna pani, dopuścić się czegoś, co byłoby dla pani nie do zaakceptowania.

Charlotte miała ochotę go kopnąć. Flirtował z nieznajomą, czarował każdą, która wpadła mu w oko. Właściwie dobrze. Zbawienna lekcja, jak mało dla niego znaczyła. Jeśli dawniej miała jakieś złudzenia, to teraz je straciła. Próżny, zapatrzony w siebie egoista!

- Coś panią niepokoi, piękna nieznajomo?

- Dlaczego pan pyta?

- Bo pani tak silnie wbiła paznokcie w moje ramię, jakby chciała rozharatać mi skórę.

- Przepraszam. - Cofnęła dłoń. - Myślałam o kimś.

- Zapewne o byłym kochanku?

- Skąd ten pomysł?

- Doświadczenie nauczyło mnie, że większość romansów nie kończy się dobrze.

Przynajmniej jedna strona czuje się porzucona i zraniona

Trafił w sedno.

- Jeśli tak, to dlaczego ludzie wciąż szukają okazji do nawiązywania nowych romansów? Czy nie lepiej byłoby nie zawracać sobie głowy?

- Ale to zawracanie głowy, jak była pani łaskawa się wyrazić, jest takie cudownie, kiedy trwa - wyszeptał stanowczo zbyt blisko jej ucha. - Nie potrafię oprzeć się pokusie.

Odskoczyła w bok jak oparzona. Tymczasem dotarli do zachodniej granicy parku choć, według Charlotte, szli raczej okrężną drogą. Wzdłuż ulicy stał rząd dorożek i lektyk. Widać było kilka otwartych faetonów i krytych miejskich powozów

Charlotte kamień spadł z serca. Na oświetlonej ulicy czuła się o wiele pewniej. Przestała się też bać, że on ją rozpozna, skoro do tej pory do tego nie doszło. Przypuszczałnie w ogóle nie pamięta o jej istnieniu.

- Był pan bardzo uprzejmy, milordzie - dygnęła. - Życzę panu dobrej nocy.

- Pani pozwoli, że pomogę wsiąść do dorożki.

Przez następne dni Charlotte będzie czyniła sobie wyrzuty, że okazała się mało spostrzegawcza. Owego wieczoru była jednak zbyt zadowolona, że udało się jej wyjść bez szwanku z opresji, by przyjrzeć się powozowi, do którego podprowadził ją Adrian. Co prawda, zauważyła, że był o wiele za elegancki jak na dorożkę, ale jej podejrzeń nie wzbudziłaby w tamtych okolicznościach nawet królewska karoca.

Drzwiczki były otwarte, schodki opuszczone. Adrian objął ją w tali i wsadził do środka, za chwilę miękkie resory ugięły się pod jego ciężarem; wsiadł za nią i zatrzasnął drzwiczki.

Charlotte otworzyła usta do krzyku, ale uciszył ją pocałunkiem. Pojazd ruszył niemal bez szarpnięcia. Była wściekła, zaczęła się szamotać. Nie przypuszczała, że będzie go stać na taką niegodziwość. Chciała go ugodzić, ale przewidział to i ją unieruchomił. Próbowwała się bronić łokciami, też bezskutecznie, przyciągnął ją bowiem do siebie bardzo blisko.

Zacisnęła usta, mimo że chętnie oddałaby mu pocałunek. Równie chętnie opadłaby na kanapę powozu i pozwoliła ustom Adriana wędrować po swoim ciele. Czuła jego dłoń na plecach, masował je lekko. Charlotte była świadoma, że jej opór zaczyna topnieć.

- Otwórz dla mnie usta, Charlotte - szepnął. - Wiele godzin czekałem, żeby cię pocałować. Moja cierpliwość się kończy.

Posłuchała oniemiała ze zdziwienia. Pocałunek okazał się namiętny. Czuła wibrującą w Adrianie pożądanie. Nie opierała się, choć wiedziała, że powinna. Zamknęła oczy, upajała się jego bliskością.

Usadowił ją sobie na kolanach, a ona się nie sprzeciwiła.

- Zrobiłaś postępy, słodka Charlotte, nabrałaś wprawy - pochwalił.

Przechylił jej głowę do tyłu i pocałował ją tak gorąco, że wszelkie jej obiekcje znikły. Jęknęła cicho, wiedząc, co ten dźwięk oznacza: poddanie się i przyzwolenie.

Zdjął maskę osłaniającą jej oczy i cisnął ją na przeciwległą kanapę, po czym zaczął rozpinąć domino.

- Jak mogłaś myśleć, że cię nie poznam? - strofował ją łagodnie. - Pamiętam, jak się poruszasz, jak się śmiejesz. Wiem, jak udajesz obojętność, gdy tak naprawdę bardzo ci na czymś zależy. Jedno, co muszę przyznać, to że za rzadko słyszę twój śmiech. Może przestaniesz się bocyć, a zaczniesz się częściej uśmiechać.

- Zostaw mnie w spokoju - zaprotestowała.

Miała nadzieję, że oschły ton wzmocni siłę jej żądania.

- Nie mogę, kochanie. Ostatnie trzy tygodnie dały mi się we znaki. Nie potrafię przestać o tobie myśleć i, niestety, żadna kobieta mnie nie zainteresowała.

A więc „to” dotknęło nie tylko mnie, pomyślała Charlotte. Przynajmniej tyle. Pożądał jej. Czuła to i zaczęła się lekko poruszać. Podziałało. Otoczył ją ramionami.

- Przestań - szepnął.

- Dlaczego?

- Chciałbym wytrzymać do czasu, aż dojedziemy do mojego domu.

Zadrżała.

- Nie pojedę do twojego domu.

- Obawiam się, że tak. Nie martw się, wyślę liścik do lady Whitmore, że jesteś bezpieczna. Nikt poza nią nie dowie się, że pozwoliłaś sobie na zmysłowe interludium.

- Nigdzie z tobą nie jadę. Wsiadaj.

- To mój powóz. Przygotowałem wszystko, gdy ujrzałem cię na parkiecie. À propos, przypominam sobie pewne zdarzenie, gdy nadepnęłaś mi w tańcu na nogę tak fatalnie, że kulałem przez dobrych kilka dni. Czy taka niezdarna bywasz tylko ze mną?

Charlotte poczuła, że się rumieni. Istotnie, wtedy była tak sparaliżowana strachem, że gdy Adrian poprosił ją do tańca, nogi odmówiły jej posłuszeństwa i plątały się bezradnie. W tej chwili poczuła się dotknięta, że on jej to wypomina.

Gwałtownie wyrwała się z jego objęć, a on jej nie zatrzymywał. Zgromiła go wzrokiem z przeciwległej kanapy.

- Ja nie tańczę.

- Śmieszna jesteś. Tańczyłaś dzisiaj ze mną i kilkoma innymi szczęśliwcami. Irytowali mnie.

Kpił z niej nieustannie. Charlotte nie mogła zrozumieć, dlaczego okrucieństwo wobec niej sprawia mu przyjemność.

- Czy kiedykolwiek widziałeś, milordzie, bym tańczyła w miejscu publicznym? Zakładam, że i tak nie zwróciłbyś na mnie uwagi. Zapewniam cię, że dzisiaj zdarzyło mi się zatańczyć po raz pierwszy od tamtego niefortunnego wieczoru, kiedy byłeś zmuszony poprosić mnie do tańca u lady Harrison - powiedziała obojętnym tonem.

Jeśli zamierzał jej dokuczyć, to ona nie okaże, że mu się udało.

- Oczekujesz, że się zawstydzę? Byłaś niemądra, skoro poczułaś się dotknięta nietaktownymi uwagami jakiegoś dandysa. Gdybym ja przejmował się wszystkim, co o mnie mówią złośliwi ludzie, chyba bym osiwiiał. Pamiętam, że miałaś na sobie koszmarną różową suknię, której kolor gryzł się z twoimi wspaniałymi rudymi włosami. Tańczyliśmy kontredansa. To był chyba „Prince William”.

Charlotte do dzisiaj dźwięczała w uszach ta melodia Spojrzała ze zdumieniem na Adriana.

- I ty to zapamiętałeś? Dlaczego?

- Bo rzadko bywam aż takim łajdakiem. Zazwyczaj nie atakuję bezbronnych. Wyglądałaś tak nieszczęśliwie, że ten obraz utkwił mi w pamięci.

- I teraz chcesz za to przeprosić, uprowadzając mnie?

- Nie, mój skarbie. Jako przeprosiny potraktuj te rozkoszne dwa dni, w czasie których nie opuszczaliśmy łóżka w grocie w Hensley Court. Uprowadzenie, jak upierasz się to nazywać, ma na celu powtórzenie tamtych wspaniałych doświadczeń.

Jego bezczelność nie znała granic. Charlotte nie wiedziała, jak zareagować. „Jak śmiesz” byłoby wymówką zbyt łagodną. Wpatrywała się z niedowierzaniem w Adriana i w pewnym momencie, nagle, rzuciła się do drzwiczek.

Powóz jechał dość szybko. Adrian wciągnął ją do środka, nim stoczyła się na zakurzony bruk ulicy. Leżała na podłodze, podczas gdy on ryglował drzwiczki pojazdu.

- Idiotka! - Wyraźnie zdenerwowany podniósł głos. - Mogłaś się zabić, skrócić kark.

- I dobrze.

- Śmierć albo hańba? Za późno, skarbie. Wcześniej zostałaś zhańbiona i zamierzam zhańbić cię jeszcze raz.

Znowu zerwała się do drzwi, ale był szybszy. Wciągnął ją na kanapę.

- Ile razy mam ci powtarzać, że nie wezmę cię siłą? Czy zrobiłem ci coś, czego nie chciałaś?

- Zwabiłeś mnie podstępem. Uwiodłeś.

- Naturalnie. Jestem w tym dobry. Czy nie dlatego mi się oddałaś? Skoro zamierzałaś stracić cnotę, to chyba dobrze, że trafiłaś na mistrza?

- Co za skromność.

- Zgódź się, słodka Charlotte. Pojedziesz do mnie i tam doprowadzę cię na szczyt rozkoszy. Przecież tego chcesz, prawda, kochanie?

Adrian Rohan był zbyt niebezpieczny dla niej.

- Nie - powiedziała lekko załamującym się głosem, choć bardzo jej zależało, by zaprzeczenie zabrzmiało pewnie. - Nie chcę.

- W porządku. - Nie wydawał się przejęty. - Wiele kobiet bez wahania cię zastąpi. Myślałem, że ucieszy cię smak zakazanego owocu, ale skoro nie chcesz, znajdzie się inna.

Charlotte zaczęła naciągać na głowę kaptur od domina. Nie pozwolił jej dokończyć.

- Nie rób tego. Co prawda, nie cierpię pudru do włosów. Zgaduję, że to idiotyczny pomysł lady Whitmore. Pudrowanie takich pięknych włosów jak twoje to zbrodnia.

- Przestań. Nie rozumiem, dlaczego...

- Dlaczego wtedy w Susseksie niemal wytrząsnąłem z ciebie duszę? Ponieważ tam byłaś. Muszę przyznać, że dobrze się bawiłem. Jeśli chodzi o ciebie, to chyba pociągała mnie nowość. Nie pamiętałem o tobie, i oto cię spotkałem. Tak jak dzisiaj. Musiała w tym być ręka losu, że nie zapewniłem sobie damskiego towarzystwa na dzisiejszą noc. Jeśli ty nie chcesz, to niech tak będzie. Może lady Whitmore okaże się skłonna ulec moim namowom.

Te okrutne słowa bolały niczym dźgnięcie nożem, lecz Charlotte nie drgnęła. Później, kiedy znajdzie się sama, przypomni je sobie i weźmie je do serca, teraz była zbyt na niego zła, aby pokazać mu, jak bardzo ją zranił.

- Wątpię, czy Lina będzie zainteresowana - powiedziała zimno. - Zazwyczaj nie chce resztek po mnie.

- Brawo. Odgryzasz się.

Taki był jej zamiar.

- Jeśli chodzi o nowość, to byłbyś głupcem, licząc na to, że odrosła mi cnota. Rozdziewiczyć można tylko raz. Ja, jak słusznie zauważyłeś, nie należę do tego rodzaju kobiet, z którymi przywykłeś romansować. Wolisz piękne i doświadczone, znające różne sposoby sprawiania rozkoszy. Nie będziesz przecież ponownie zawracał sobie głowy nieporadną starą panną.

- To prawda... Tyle że ta stara panna była tak cudownie ogłupiała na moim tle.



- Na szczęście zająłeś się nią, milordzie. Jedna noc z tobą jest najskuteczniejszą kuracją.

Spodziewała się, że doprowadzi go do wściekłości, ale on tylko się roześmiał.

- Oczywiście. Tym bardziej że były dwie noce. Naprawdę nie chcesz, żebym cię pocałował?

Przysunął się bliżej. W chłodnym nocnym powietrzu czuła ciepło jego ciała.

- Nie pragniesz poczuć moich ust na swoich piersiach?

Nie trzeba było ust. Same słowa sprawiły, że jej piersi nabrzmiały. Dobrze, że on o tym nie wiedział.

- Absolutnie nie.

- Nie chcesz krzyknąć w upojeniu, gdy będę pieścił to najczulsze miejsce twojego ciała?

Chciała. I on chyba o tym wiedział, ale to nie miało znaczenia.

- Nie lubię perwersji.

- Przypuszczam zatem, że nie namówię cię na noc rozkoszy? A może jednak?

Zadowolony z siebie, okrutny łajdak, pomyślała Charlotte. Piękny, zepsuty, nieliczący się z cudzymi uczuciami. Odwiezie ją na Grosvenor Square, gdzie ona pobiegnie do swojego pokoju, rozplacze się i będzie się czuła jak zbity pies.

- Odpowiedź brzmi: tak - powiedziała Charlotte.

Oniemiała z wrażenia twarz Adriana Rohana była rekompensatą za doznane upokorzenia.

## Rozdział siedemnasty

Gdy w Ranelagh Gardens Adrian rozpoznał Charlotte mimo przebrania, postarał się znaleźć w tym samym kręgu tanecznym, co ona. Następnie ruszył jej śladem, wystąpił jako mąż opatrnościowy i wreszcie ulokował w swoim powozie. Wyobrażał sobie, że oburzona Charlotte go spoliczkuje, po czym zażąda odwiezienia na Grosvenor Square. On chętnie się zgodzi, udowadniając jej i sobie, jak niewiele ona dla niego znaczy. To miała być uzdrawiająca kuracja, droga do wyparcia z pamięci Charlotte.

Tymczasem cały ten przemyślny plan legł w gruzach, a Adrian pogrążał się coraz bardziej. Wiele go kosztowało, by nie popchnąć jej na kanapę i kochać się z nią jeszcze w drodze do domu.

Nie posiadał się ze zdumienia, że powiedziała „tak”. Zaskoczyła go, musiał jednak odpowiedzieć na wyzwanie.

- Czy dobrze słyszę? Zgodziłaś się? Co za cudowna przemiana. Sądziłem, że postanowiłaś znowu być tą zgryźliwą, sztywną starą panną, którą byłaś, zanim wpadłaś w moje niegodziwe ręce.

Adrian żałował, że nie kazał oświetlić wnętrza powozu. Nie mógł widzieć dokładnie wyrazu twarzy Charlotte, a ona najwyraźniej grała z nim w pokera. Niedawne „tak” oznaczało „sprawdzam”. Miało być na odwrót: to on ogrywał przeciwników.

- Podobnie jak ty, milordzie, nie miałam żadnych planów na wieczór poza powrotem z kuzynką do domu. Jeśli jesteś w takiej desperacji, że mnie chcesz, nie będę się wzbraniała. To mi nawet pochlebia.

- Niezła zagrywka. Pragnę cię zapewnić, że nie jestem w żadnej mierze w desperacji. Chciałem cię trochę podręczyć. Dręczenie usychających z miłości dziewczyc... Och, przepraszam, zapomniałem, że nie jesteś już dziewczicą. Otóż dręczenie usychających z miłości starych panien jest daleko lepszą rozrywką niż zabawa z dziewczynami madame Kate.

- Próbujesz zranić moje uczucia, lordzie Rohanie? Jeżeli sprawia ci taką przyjemność zadawanie bólu, dziwne, że nie przyszło ci do głowy, by mnie wysmagać.

- Co ty wiesz o smaganiu, dziecko? - rzekł ze śmiechem.

- Nie zapominaj, że mieszkam z Liną. Ponoć to mężczyźni gustują w otrzymywaniu razów z małych kobiecych rączek.

- Ja nie jestem taki jak inni mężczyźni, jeszcze nie zauważyłaś? Wątpię, bym na tyle ci zaufał, aby dać ci nad sobą przewagę. Mogłabyś obedrzeć mnie ze skóry.

- To by się okazało.

Podobała mu się ta słowna utarczka. To chyba najlepsze, co mu się przytrafiło od wielu tygodni.

- Jesteś zadziwiająco uległa, panno Spenser. Spodziewałem się łzawych wymówek po tym, jak szorstko cię potraktowałem.

- To było szorstko? - spytała niewinnie. - Może brakowało ci trochę finezji, ale nie było aż tak źle.

Miał ochotę ją pocałować.

- Uważałem, że nie zasługujesz na lepsze staranie, ponieważ nie miałaś pojęcia, co robisz.

- Rzeczywiście. Liczę na to, że nie było to wszystko, na co cię stać. Byłoby smutno, gdyby świat uznał, że tak wygląda mistrzostwo.

- Świat nie ma pojęcia o moim mistrzostwie w łóżku.

- Oczywiście, że ma. Jak sądzisz, skąd wzięły się twoje przydomki? Kobieciarz, dziwkarz, rozpustnik...

- Wiedźma.

- Mój drogi, czyżbyś zmienił zdanie? Myślałam, że lubisz tylko niewinne, niedoświadczone panienki.

- Chcesz powiedzieć, że nagle zdobyłaś doświadczenie?

- Upłynęły trzy tygodnie.

- Naprawdę? Ja nie liczyłem czasu. - Punkt dla mnie, uznał Adrian.

- Ach, jak ja się dobrze bawiłam. Powinnam ci być wdzięczna za wprowadzenie mnie w miłosne szranki. Nie chcę cię krytykować, zrobiłeś, co mogłeś. Jeśli to nie było wszystko, na co cię stać, to wystarczyło na dobry początek. Naprawdę nie mam nic przeciwko pójściu z tobą do łóżka. Jestem pewna, że więcej praktyki dobrze ci zrobi.

Był dla niej pełen podziwu. Rozgrywała to pięknie. Spodziewała się, że go zirytuje, a on puści ją wolno. Niestety, im bardziej wyszukane były jej impertynencje, tym mocniej mu się podobały. Całkiem możliwe, że spędziła ostatnie trzy tygodnie, naśladowując swobodne zwyczaje kuzynki. Szczerze mówiąc, raczej w to wątpił. Charlotte wciąż zachowywała się bardzo niewinnie. Brakowało jej tego erotycznego kołysania biodrami, którym świadome swego powabu kobiety ściągają na siebie uwagę mężczyzn.

Charlotte całowała jak dziewica i zareagowała na tę śmieszłą próbę uprowadzenia jej jak dziewica. Natomiast walczyła z nim jak kobieta. Zła, zraniona, porzucona kobieta. Z jednej strony, zamierzał przerwać tę niedorzeczną grę i przygarnąć ją do piersi, z drugiej - było mu żal kończyć, bo dobrze się bawił.

- Czuję się zaszczycony, że dajesz mi szansę poprawy - powiedział. Uśmiechnął się pod nosem, słysząc, jak ciężko westchnęła. Gdyby grała w karty, wiedziałyby, że tego się nie robi. - To wszystko czy kryjesz coś jeszcze w zanadrzu?

- Jak to coś jeszcze?

- Jaką jeszcze obrazę zamierzasz rzucić mi w twarz? To jest nawet zabawne.

- Cieszę się, że udało mi się ciebie zabawić. - Z tonu Charlotte Adrian wywnioskował, że jej brawura słabnie. - Mimo wszystko sądzę, że możemy się zgodzić, iż nie warto powtarzać tego, co robiliśmy trzy tygodnie temu. Z całą pewnością potrafisz znaleźć sobie lepsze towarzystwo do tego rodzaju zabawy.

- Ależ, panno Spenser, teraz, gdy dysponujesz taką bogatą wiedzą, chyba zechcesz sformułować bardziej kompetentną opinię na temat mojej sprawności. Wytrzymałości, pomysłowości...

Charlotte milczała.

- Przyznaj się, przepłakałaś ostatnie trzy tygodnie. Wypłakiwałaś oczy z powodu nieuprzejmego rozstania. Sądzę, że dałabyś wszystko, żeby znowu ze mną być.

- Tak myślisz? Przeciwnie, dobrze się bawiłam.

- Udowodnij.

- Jak mogłabym udowodnić?

- Jeżeli spędziłaś ostatnie trzy tygodnie z mężczyznami, pokaż mi, czego się nauczyłaś.

Powóz zatrzymał się, ale nikt nie otwierał drzwiczek. Służba Adriana wiedziała, że nie wolno panu przeszkadzać dopóty, dopóki nie zastuka w dach. Charlotte siedziała wyprostowana, Adrian też się nie ruszał.

- Odwieź mnie do domu - odezwała się po dłuższej chwili.

- Z tego wnioskuję, że kłamałaś.

- Tak. Odwieź mnie do domu, bo zacznę krzyczeć.

- Jestem w szoku - stwierdził wciąż tym samym, żartobliwym tonem. - Nie przyszłoby mi do głowy, że uciekniesz się do tak mało pomysłowej obrony. Wiesz co? Założmy się o twoje uwolnienie.

Do wnętrza powozu wpadało teraz nieco więcej światła. Adrian widział Charlotte dość wyraźnie. Niestety, coraz bardziej jej pragnął.

- Tylko dlatego, żebyś mógł nadal twierdzić, że nigdy nie uciekasz się do użycia siły - stwierdziła z goryczą. - A może zagramy w karty, bo potrafisz mistrzowsko szachrować?

- Nic z tych rzeczy. Przesiądź się i pozwól się pocałować. Wtedy zdecydujesz: odchodzisz czy zostajesz.

Nie dowierzała mu.

- Już mnie dzisiaj całowałeś. Może nawet pół tuzina razy, gdyby ktoś liczył. Mimo to wciąż chcę wrócić do domu.

- W takim razie nie powinnaś się martwić o wynik zakładu. Wygrasz. Pozwól tylko, że będę cię całował, powiedzmy, przez trzy minuty, a potem zawiozę cię prosto na Grosvenor Square, jeśli wciąż będziesz tego chciała.

Charlotte się wahała. Czekał cierpliwie.

- Nie sędzę, żeby to był dobry pomysł - rzekła z rezygnacją.

- Dlaczego nie? Dotrzymam słowa. Dobrze wiesz, że cię pragnę. Sam nie wiem dlaczego. Jesteś wysoka, ruda i przemądrzała. Byłoby mi lepiej z dziwką albo z kobietą pokroju twojej kuzynki, lady Whitmore. Z kimś choć trochę lepiej obznajomionym z tajnikami łóżkowych rozkoszy, ale z zupełnie niezrozumiałych dla mnie samego powodów pragnę ciebie.

- Czuję się wyróżniona - odparła z przekąsem.

Znał jej słaby punkt. Uważała, że nie jest ładna.

Tymczasem w jego oczach była chyba najpiękniejszą kobietą, z jaką miał do czynienia, jak daleko sięgała pamięcią. Ta jej przyprószona słonecznym pyłem skóra, kształtne piersi, długie, zgrabne nogi. Dla niego wszystko było w niej piękne.

Nie zamierzał jej chwalić. Będzie mówił tylko o tym, co jest w niej niedoskonałe. Miał nadzieję, że to dobry sposób, aby uniknąć uzależnienia się od Charlotte.

- Pragnę cię, ale jeśli ty mnie nie chcesz, nie będzie dziury w niebie. Wyjechałem z Susseksu dość pośpiesznie, nie dokończyliśmy sprawy. Przyjmujesz zakład?

- A jeśli nie przyjmę?

Adrian nie brał tego pod uwagę.

- To wysiądziesz i pójdziesz na Grosvenor Square. To niedaleko. Mimo wszystko, nie radziłbym. Samotna kobieta na ulicach Londynu łatwo może być wzięta za dziewczynę lekkich obyczajów, którą, niestety, nie jesteś. No co, moja słodka, przyjmujesz zakład? Nie możemy tu tkwić bez końca.

Spojrzała na niego z namysłem.

- Zgoda.

- W takim razie usiądź mi na kolanach.

- Mówimy o pocałunku i niczym więcej - zastrzegła się Charlotte.

- Nie, mówimy o trzyminutowym pocałunku i wszystkim, co się z nim wiąże. Chyba nie sądzisz, że w ciągu trzech minut zdołałbym działać dużo więcej.

- Zgoda - powtórzyła i przesunęła się na kanapie w jego stronę. - Kiedy zaczynają się te trzy minuty? - spytała nerwowo.

- Teraz - odparł Adrian.

Sięgnął po Charlotte i usadowił ją sobie na kolanach. Następnie odchylił się na oparcie i pociągnął ją za sobą, tak że na wpół siedziała, na wpół leżała. Poczuła, jak bardzo jej pożąda.

Pocałunek przywołał wszystko, co zapamiętała z Susseksu - wyzwoloną namiętność i zarazem wstyd. Zgubiła się w plątaninie pochłaniających ją emocji. Zatraciła się w nich. Przeżyje to jeszcze raz, choć wcześniej uznała, że to doznanie jest poza nią na zawsze. Nie próbowała powstrzymać Adriana. Kiedy jego dłoń znalazła się między jej



udami, nie zacisnęła ich z panieńską skromnością, pozwoliła mu dotknąć najintymniejszej części swojego ciała.

- Tak, moja słodka. Nie walcz ze mną. Będiesz w siódmym niebie, obiecuję - szeptał jej wprost do ucha.

Charlotte była wstrząśnięta. Takie intymne pieszczoty były wyobrażalne, gdy leżeli oboje nadzy w łóżku. Tymczasem znajdowali się w powozie, w ubraniach. Na koźle siedział stangret, ulicą spacerowali przechodnie. Umierała ze wstydu, ale i z rozkoszy.

Miała teraz wolne ręce. Wiedziała, że powinna odepchnąć Adriana. Okłamał ją. Mówił, że ograniczy się do pocałunku, tymczasem posunął się znacznie dalej. Mimo to zamiast go odepchnąć, objęła go za szyję i przywarła ustami do jego warg. Dała ujście całej nagromadzonej w sobie od tygodni namiętności. Adrian pieścił ją niespiesznie, a jej wciąż było mało. Chciała więcej. Czowała niedosyt. Potrzebowała go. Niechby wziął ją tu i teraz. Właśnie wtedy on wyciągnął dłoń spod jej spódnicy i zaczął wygładzać zagniecenia materiału.

- Trzy minuty. Koniec - oznajmił.

Charlotte nie mogła ani myśleć, ani mówić.

Była tak blisko, tak blisko...

- Idziesz do mnie?

Przytomniała powoli.

- To nie było fair - powiedziała cicho.

- Nie było. Nie gram fair, gdy chcę wygrać.

W przefiltrowanym do wnętrza powozu świetle z ulicy Adrian był piękny. Podo- bało się jej w nim wszystko, od bujnych włosów na głowie, poprzez wypielęgnowane dłonie, do smukłej i zarazem muskularnej sylwetki. Charlotte chciała leżeć koło niego, całować go, smakować rozkosz w jego ramionach.

Na rękach miała cienkie rękawiczki z cielecej skórki. Zaczęła zdejmować jedną, bardzo powoli, palec po palcu. Spojrzała na niego z ujmującym uśmiechem i nagle ude- rzyła tak mocno, jak tylko potrafiła. Musiało go porządnie zabołec, bo ją też zabolęła rę- ka.

- Jeśli wyczerpałeś repertuar swoich gier - powiedziała zimno - to odwieź mnie do domu.

Nie drgnął, nawet nie dotknął twarzy. Na policzek zaczął mu wypływać ślad uderzenia z wyraźnym zarysem pięciu palców. Pochylił się do przodu, zastukał w małe okienko w przedniej ścianie powozu i podał stangretowi adres na Grosvenor Square.

Jazda nie trwała długo, niecałe pięć minut. Przez ten czas nie odezwali się do siebie ani słowem. Charlotte czuła na sobie wzrok Adriana. Nie wykonał najłżejszego ruchu, aby się do niej przybliżyć. Nie podjął żadnej próby skłonienia jej do zmiany postanowienia. Wydawało się, że był niemal zadowolony z zakończenia ich zapasów, co niezmiernie dziwiło Charlotte. Przecież jej pragnął. A może to jakaś nowa, wyrafinowana gra z jego strony? Może w jego klubie obstawiano zakłady, czy jeszcze raz uda mu się zaciągnąć do łóżka pewną rudowłosą jędzę? Jeśli tak, to on chyba stawiał przeciwko sobie, bo najwyraźniej jest usatysfakcjonowany.

Nie zamierzała pytać, bała się. Jeśli tak było, to plotka dotrze do Liny, a kuzynka jej powie. Nie kłamał. Po prostu zakpił z niej z braku jakiegoś ciekawszego zajęcia. Niewątpliwie mówił prawdę, że zapomniał o niej po krótkiej przygodzie na wsi. To chyba dobrze. Każde z nich powinno o tym zapomnieć.

Zauważyła swoją zgniecioną maskę na podłodze powozu i podniosła ją. Adrian wyjął maskę z dłoni Charlotte i założył ją, starannie zawiązując tasiemki z tyłu głowy. W samą porę. Nedorzeczne łzy znowu wypełniły oczy. Kiedy wreszcie skończy się ten łzawy okres w jej życiu? Nie płakała tyle nawet po śmierci rodziców.

Powóz stanął. Adrian wyskoczył na ulicę i podał dłoń Charlotte. Chętnie by go zignorowała, ale wąskie stopnie były bardzo zdradzieckie. Upadek w błoto byłby przypięczeniem jej porażki. Przyjęła oferowaną rękę. Chciała oddalić się bezzwłocznie, ale ją zatrzymał. Uśmiechał się, jednak na dnie jego przeraźliwie niebieskich oczu Charlotte dostrzegła niepokój.

- Spodziewam się, że po tym incydencie nabrałaś do mnie odrazy.
- Tego pragniesz?
- Tak byłoby najlepiej dla nas obojga.

W świetle ulicznej latarni ślad pięciu palców Charlotte na policzku Adriana był całkiem wyraźny. Przestraszyła się i zarazem ucieszyła.

- Do widzenia, lordzie Rohanie.

Drzwi do domu Liny stały otworem. Lokaj czekał cierpliwie.

- Nie spodziewam się, żebyśmy się mieli kiedykolwiek zobaczyć - dodała.

Adrian uśmiechnął się kpiąco.

- Założysz się, moja kochana?

TLR

## Rozdział osiemnasty

Charlotte spadł kamień z serca, gdy się okazało, że Lina jeszcze nie wróciła. Nie musiała się tłumaczyć, gdzie była tak długo. Z pomieszczeń pod schodami wyszła rozczochrana i rozanielona Meggie. Charlotte zdołała zapanować nad chęcią płaczu. Wciąż jednak czuła wielkie napięcie. Była załamana swoją irracjonalną reakcją, wahała się, czy nie zawrócić i nie pobiec za Adrianem.

- Zaszalała pani - stwierdziła Meggie, taksując Charlotte surowym spojrzeniem. - Myślałam, że jest pani rozsądniejsza.

- Licz się ze słowami! Lina i ja rozdzieliliśmy się. Wróciłam dorożką. A jak ty wyglądasz?

- Widziała pani nowego pomocnika stangreta? Mógłby skusić świętą, a ja, Bóg mi świadkiem, nie jestem świętą. Niech pani nie próbuje zmieniać tematu. Ma pani ten specyficzny wygląd.

- Ten wygląd bierze się stąd, że jestem zmęczona. Marzę o położeniu się do łóżka.

- Niech pani przysięgnie, że już w łóżku nie była.

- Co to ma znaczyć? Odmawiasz mi posługi?

- Niech pani nie udaje niemądrej, panno Charlotte - powiedziała łagodniej Meggie.

- Napije się pani herbaty? Zbudzę kucharkę i...

Urwała w połowie zdania, bo ktoś zakołatał do drzwi. Charlotte serce podeszło do gardła. Rohan! Wrócił po nią. Nieważne dlaczego. Zrobi wszystko, czego on chce. Pora jest niestosowna na towarzyskie wizyty, niemożliwe, by był to ktoś inny.

Skoczyła do drzwi, ale Meggie zastawiła jej drogę.

- Jenkins otworzy - powiedziała.

Charlotte zarumieniła się. Jak tak dalej pójdzie, nikogo nie zwiedzie. Usiadła. Musi się uspokoić. Po co wrócił? Pewnie czuje się tak osamotniony jak ona. Czy istniała możliwość, żeby ten wieczór skończył się inaczej, w jego ramionach? Oczywiście, że tak. Wystarczyło poprosić. Powiedzieć mu, że tego pragnie. Pokazać wszystkim, że straciła rozum.

W drzwiach salonu stanął Jenkins i oznajmił:

- Wielebny Simon Pagett do lady Whitmore. Wyjaśniłem, że jaśnie pani nie ma w domu, ale powiedział, że zaczeka. Zechce pani go przyjąć, panno Spenser?

Charlotte nie mrugnęła powieką. Mimo to Meggie podeszła i pocieszycielskim gestem położyła jej dłoń na ramieniu.

- Przepraszam, kochana - szepnęła.

Meggie miała to do siebie, że wiedziała więcej niż powinna, a czego nie wiedziała, szybko sobie dośpiewała. Charlotte wyprostowała się, przeklinając w duchu własną głupotę.

- Oczywiście, że go przyjmiemy, Jenkins. Lady Whitmore powinna wrócić lada chwila.

Charlotte przelotnie widziała pastora w Hensley Court, gdy poobijana, posiniaczona i wstrząśnięta po upadku ze skarpy wróciła nad ranem do dworu. Nie miała okazji poznania go bliżej. Była szczęśliwa, że nadarza się okazja do oderwania myśli od wydarzeń dzisiejszego wieczoru.

Interesujące. Lina twierdziła, że pastor Pagett jest starym, zgorzkniałym, ograniczonym duchowo człowiekiem, niewątpliwie najżałośniejszą istotą ludzką pod słońcem i będzie szczęśliwa, jeśli więcej go nie zobaczy.

Kłamała. Na oko Charlotte Simon Pagett nie przekroczył czterdziestki. Był szczupły i dobrze zbudowany. Miał poważną twarz, ale oczy patrzyły przyjaźnie, a o ustach niektóre kobiety powiedziałyby, że są namiętne. Co, oczywiście, nie pasowało do duchownego, ale pastor nie wyglądał na takiego, który by przeżył bogobojnie całe życie z dala od kobiet.

- Przepraszam za najście. Muszę widzieć się z lady Whitmore - powiedział.

- Proszę usiąść. Czy lord Montague... czy mu się pogorszyło?

Pastor nadal stał.

- Obawiam się, że tak - odparł. - Pytał o lady Whitmore. Mam nadzieję, że ją zabiorę do Susseksu. Oczywiście, jeśli będzie mogła porzucić obowiązki towarzyskie - dodał z nutą przygany.

- Pan potępia życie towarzyskie, pastorze? - zapytała Charlotte, myśląc, że może dlatego Lina nabrała do niego uprzedzenia.

Uśmiechnął się i natychmiast oczarował Charlotte. Widocznie nigdy nie uśmiechał się w taki sposób do Liny, inaczej miałyby o nim lepsze zdanie.

- Oczywiście, że nie, panno Spenser. Podróż ze wsi trwała długo i martwię się o Montague'a. To jest przyczyną mojej niecierpliwości. Czy mogę wiedzieć, gdzie jest lady Whitmore?

- W Ranelagh Gardens z sir Percym Wainbridge'em - poinformowała.

- Spodziewa się pani jej powrotu dzisiejszej nocy?

- Tak, spodziewa się mojego powrotu dzisiejszej nocy - dobiegł od drzwi ostry głos Liny. - Nie mam zwyczaju włączyć się z kochankami.

Pagett odwrócił się gwałtownie.

- Nie znam pani zwyczajów, lady Whitmore. Dała mi pani do zrozumienia, że robi pani wyłącznie to, na co przyjdzie jej ochota.

Lina zignorowała docinek.

- Monty umarł? - zapytała przestraszona.

- Jeszcze nie, ale obawiam się, że długo nie pożyje. Pyta, czy nie przyjechałaby pani pożegnać się z nim.

- Nie przyjechałabym.

Odpowiedź zaskoczyła zarówno Charlotte, jak i Pagetta. Pokiwał głową ze smutkiem.

- W takim razie, opuszczę panie.

- Nie przyjechałabym się pożegnać, bo on nie umrze. Nie pozwolę mu umrzeć i wyłącznie to chciałam powiedzieć. Wyruszymy jeszcze dzisiejszej nocy? A może rano nie będzie zbyt późno?

Czy w oczach Pagetta błysnęło uznanie? Jeśli tak, Lina niczego nie zauważyła.

- Podróż nocą jest trudniejsza.

- W samej rzeczy, ale pośpiech jest wskazany. Meggie! - przywołała służącą Lina.  
- Idź na górę i zajmij się pakowaniem. Charlotte, zostaniesz?

Sama w Londynie z Adrianem Rohanem o kilka przecznic dalej?

- Pojadę z wami. Pójdę pomóc Meggie.



- Czy ma pan jeszcze coś do załatwienia przed wyjazdem, panie Pagett? Dysponuję podróżnym obszernym powozem, znajdzie się w nim miejsce dla pana, gdyby chciał pan zostawić swojego konia w naszych stajniach.

Charlotte zauważyła, że Lina, zazwyczaj ciepła i skłonna do flirtowania z każdym, nawet tymi, którzy nie byli dla niej najżyczliwsi, zachowywała się niezwykle chłodno wobec Pagetta.

- Pojadę konno - odparł pastor.

- Tylko pożegnam się z sir Percym, przebiorę się i ruszamy - oznajmiła Lina i wyszła do holu.

- Percy, mój drogi - usłyszeli jej głos - muszę wyjechać z miasta, ale Jenkins zajmie się tobą.

- Niech mi sprowadzi powóz, to wystarczy - odrzekł sir Percy.

Wróciła do salonu.

- Potrzebuję pół godziny - zapowiedziała.

- Czy on nie za stary dla pani? - wycedził Pagett.

Była to niczym nieusprawiedliwiona i rozmyślna prowokacja.

- Teraz rozumiesz, dlaczego mówiłam ci, że to człowiek po prostu odpychający? - zwróciła się Lina do Charlotte, jakby pastora nie było. - Będzie pan musiał pojechać konno. - Ta uwaga była adresowana do Pagetta. - W moim powozie jest miejsce tylko dla trzech osób, a przecież musimy zabrać Meggie. Miejmy nadzieję, że pogoda się zmieni i pańskiej podróży będzie towarzyszyła przyjemna burza z gradobiciem.

- W kwietniu to rzadkość - odparł spokojnie pastor. - Poza tym wątpię, by i podróż powozem należała do przyjemności w takich warunkach. Muszę jeszcze wpaść w jedno miejsce i będę gotowy do drogi.

- Towarzyska wizyta, i to o późnej porze? - zapytała złośliwie Lina. - Innych ludzi też pan traktuje tak grubiańsko jak mnie?

- Wolałaby pani, żeby czekał do rana, lady Whitmore?

- Nie mówmy już o tym. Jeżeli nie zdąży pan wrócić za godzinę, ruszymy bez pana. - Powiedziawszy to, opuściła pokój, nie spoglądając nawet na Charlotte.

- Nie lubi mnie, odnoszę wrażenie. - Simon Pagett uśmiechnął się z przymusem.

- Może lepiej by się wam rozmawiało, gdyby pan jej nie krytykował.

- Nie jestem pewien - powiedział na poły do Charlotte, na poły do siebie. - Do widzenia, panno Spenser.

Charlotte odnalazła kuzynkę w jej pokojach. Wyjmowała z szaf i szuflad garderobę, którą Meggie z drugą służącą pakowały do kufra.

- Potrzebujesz pomocy? - zawołała, widząc stojącą w drzwiach Charlotte.

- Moje pakowanie potrwa krótko. Nie wspominałaś, że pan Pagett jest taki młody.

- Doprawdy? W każdym razie jest młodszy, niż na to wygląda. Ma jednak usposobienie starego, złośliwego zrzędy.

Charlotte przypomniła sobie miły uśmiech Pagetta i dziwny wyraz w jego oczach, gdy patrzył na Linę.

- Skoro tak twierdzisz...

Jeden kufer był już wypełniony rzeczami. Stos ubrań piętrzący się na łóżku był wystarczająco wielki, by zapełnić drugi.

- Jak długo zamierzamy tam pozostawać? - zainteresowała się Charlotte. - Pakujesz tego tyle, że wystarczyłoby na cały sezon.

- Nigdy nie wiadomo, co może się zdarzyć. Biorę wszystkie nowe suknie, nie zamierzam jednak zostawiać starych. Nie chciałabym, żeby pan Pagett uznał, że stonowane kolory i nieco mniej wycięte dekolty mają coś wspólnego z chęcią przypodobania mu się.

- A dlaczego miałby tak myśleć?

- W samej rzeczy, dlaczego? - przyznała Lina. - Idziesz się pakować?

- Meggie, zostań z lady Liną. Migiem przygotuję wszystko, co mi będzie potrzebne. Sussex nie leży na końcu świata. Zawsze możemy posłać do Londynu po brakujące rzeczy.

- Naturalnie - potwierdziła kuzynka. Podeszła do Charlotte i uściskała ją. - Jestem zadowolona, że wyjeżdżamy, a ty? Zapewne nie chciałabyś natknąć się ponownie na Adriana. Jestem potwornie zmęczona miastem. Wieś obu nam dobrze zrobi.

- Co będzie z lordem Montague'em?

- On nie umrze. Nie przyjmuję do wiadomości takiej ewentualności. Ma przed sobą długie lata.

Charlotte nie odezwała się. Kuzynka najwidoczniej wierzyła w to, co mówi. Ona byłaby zdziwiona, gdyby lord Montague przeżył kolejny miesiąc. Nie bez powodu Pagett wzywał je do pośpiechu. No cóż, co ma być, to będzie. Przynajmniej ona znajdzie się daleko od Adriana Rohana i nie będzie wodzona przez niego na pokuszenie.

Adrian był w fatalnym nastroju. Uprzytomnił sobie, że się posunął za daleko. Gdy Charlotte weszła do domu, nonszalancki uśmiech zniknął z jego twarzy. Odprawił stangreta z powozem. Z Grosvenor Square na Curzon Street było blisko. Musiał się przespacerować, aby rozładować zły humor.

Zastanawiał się, jaki błąd popełnił. Najpierw starał się doprowadzić Charlotte do stanu, w którym, obrażona na niego, zerwałaby z nim znajomość. Potem, gdy zmienił zdanie i zapragnął ją posiadać, udało mu się pokonać jej niechęć, przynajmniej do pewnego momentu. Celu jednak nie osiągnął, nie poddała się.

Klął w duchu własną nieudolność. Chciał wygrać czy przegrać? Dlaczego w ogóle zawraca sobie głowę Charlotte Spenser? Jest od niego starsza. Nikt jej do tej pory nie chciał. Miała za sobą co najmniej jeden sezon - pamiętał, jak płałała się w tańcu - ale nie otrzymała żadnej propozycji małżeńskiej. Została starą panną bez perspektyw. Jedyne, co jej pozostawało, to towarzyszenie Evangelinie Whitmore. W takim razie czemu go nie chciała? Czy nie powinna korzystać z nadarzającej się okazji przeżycia miłej przygody? Przecież cnotę i tak straciła.

To oczywiste, że kłamała. Przez ostatnie trzy tygodnie na pewno nie prowadziła równie swobodnego trybu życia jak jej kuzynka. Co nie znaczy, że tak będzie zawsze. Pokazał Charlotte, jaką rozkosz mogą dać sobie nawzajem kobieta i mężczyzna. Wokół Liny zawsze będzie się kręcić tłum zalotników, a Charlotte wcześniej czy później stanie się przedmiotem ich natarczywości. Nie pomogą groźne spojrzenia i zniechęcające miny. Ktoś zwróci uwagę na jej cudownie długie nogi, miedziane włosy i błyszczące oczy, na jej mlecznobiałą skórę i rozkoszne usta. Wystarczy, że raz komuś ulegnie, a wtedy inni jej nie odstąpią. Adriana rozzłościła taka perspektywa.

Jeśli Charlotte ma się zaangażować w wolny związek, to tylko z nim. Ta idiotka nie rozumie, że partner partnerowi nierówny. To, co między nimi zaszło, było - co naj-

mniej - specjalne. W ciągu dwóch dni spędzonych w izolacji od świata połączyła ich rzadka i niebezpieczna więź, której istnienia on wcześniej nie podejrzewał. Ten stan wciąż trwał, zakłócał mu sen i sprawiał, że nudziło go towarzystwo najpiękniejszych i doświadczonych w sztuce kochania kobiet, które czekały na jego skinienie.

Prawda była taka, że chciał jedynie Charlotte, a próby wyparcia jej ze świadomości tylko pogarszały sytuację. Szkoda, że zrezygnował z uwiedzenia jej w powozie. Rozładowałby napięcie i przekonał się, że przeżycie nie dorównuje wspomnieniom z Susseksu. Musi jeszcze raz się z nią przespać, to jedyny sposób, uznał.

Był już prawie pod domem. Na niebie świecił księżyc w pełni. Może to jest wyjaśnienie. W czasie pełni ludzie wariują. Straże miejskie zawsze mają ręce pełne roboty podczas pełni księżyca. Jutro poczuje się zupełnie inaczej. Przed wejściem do domu obejrzał się za siebie. Nie był gotów pogodzić się z porażką. A gdyby tak wrócić? Gdyby wiedział, który pokój w domu Evangeliny należał do Charlotte, mógłby się wspiąć po murze...

Roześmiał się ze swojego pomysłu. Charlotte odesłałaby go do diabła. Evangelina też nie okazałaby się pomocna, była nadopiekuńcza wobec kuzynki. Rozum podpowiadał, że lepiej iść do domu i spędzić resztę nocy przy butelce albo dwóch. Jednak Adrian nie posłuchał rozumu. Zawrócił.

Nagle w ciemności powstało zamieszanie. Zauważył trzech uzbrojonych w pałki osobników. Pierwszy cios spadł mu na głowę i lekko go oszołomił. Po drugim osunął się na kolana. Następny chyba rozpląta mu czaszkę, pomyślał resztkami przytomności.

- Wykończ go! - usłyszał głos jednego z bandziorów.

Adrian był przekonany, że już po nim. Ciekawe, pomyślał na wpół przytomnie, jak zareaguje Charlotte na wieść o jego przedwczesnej śmierci.

- Hej, wy tam! - odezwał się męski głos.

Napastnicy momentalnie się rozpierchli.

Adrian chciał się podnieść, ale nie mógł, był bliski omdlenia. Nieznajomy wsunął mu rękę pod ramię i pomógł. Adrian zauważył, że jego wybawca ma na szyi koloratkę.

- Cholera! - zaklął z bólu, stając na nogach.

- Nie przeklinaj, Rohan. Dziękuj Bogu, że jesteś w jednym kawałku - odparł duchowny.

- Do diabła! Nie mam za co dziękować! - Adrianowi kręciło się w głowie. Był niemal pewny, że nigdy wcześniej nie spotkał tego człowieka. - Kim pan jest? - zapytał podejrzliwie. - I skąd zna pan moje nazwisko? To pan nasłał na mnie zbirów?

- Uratowałem pana, nie pamięta pan? Wiem, kim pan jest, bo po pana przyjechałem. Nazywam się Simon Pagett. Przysłał mnie lord Montague.

- Umarł?

- Nie, ale jest bliski śmierci. Chce się pożegnać z przyjaciółmi.

- Tu mieszkam. - Adrian wskazał na swój dom. - Niech pan zajdzie i opowie mi o nim.

- Nie mam zbyt dużo czasu. Przyjechałem po kogoś, kogo mam eskortować do majątku lorda Montague'a.

- Głowa mi pęka. Muszę się napić, zanim się położę.

- To chyba nie za dobry pomysł upić się po otrzymaniu pałką w głowę.

- Jest pan lekarzem?

- Nie.

- No to zaryzykuję. Chodźmy, pastorze. Obaj się napijemy.

## Rozdział dziewiętnasty

Charlotte zazwyczaj dobrze znosiła podróże. Tym razem czuła się fatalnie i nie mogła się doczekać, kiedy wreszcie dojadą na miejsce. Całą drogę męczyły ją mdłości. Na postojach, gdy zmieniano konie, nie mogła przełknąć nic poza kilkoma łykami słabej herbaty.

Utarczki słowne między Liną a pastorem dostarczały Charlotte urozmaicenia w niedoli podróży i pozwalały oderwać myśli od Adriana Rohana. Im dłużej o nim rozmyślała, tym większy wzbudzał w niej gniew. Do tego jeszcze te dolegliwości żołądkowe. Jak śmiał ją kusić i się z niej naigrawać!

Traktował ją jak zabawkę. Pocieszała się, że mu nie uległa, choć jej ciało rwało się do niego. Wygrała bitwę. Czemu zatem czuła się tak, jakby przegrała wojnę?

Obserwowanie utarczek między pastorem a Liną pozwalało zapomnieć o własnych kłopotach. Cierpliwie słuchała gorących diatryb kuzynki na jego temat.

- On jest nieznośny - skarżyła się Lina.

Pastor jechał konno obok powozu. Musiał dostosować swoje tempo do wolno posuwającego się ciężkiego pojazdu.

- Mało przebywałaś w jego towarzystwie, inaczej sama zauważyłabyś, jaki jest despotyczny. Oby Bóg chronił mnie od małostkowych duchownych i ich przyziemnych zachowań!

- On nie sprawia wrażenia człowieka przyziemnego - zaprotestowała Charlotte. - Martwi się o Montague'a. Ty też się o niego niepokoisz.

- To jedyne, co nas łączy - przyznała gniewnie Lina. - Pagett nie ma prawa osądzać ludzi. Jego wcześniejsze życie było równie plugawe jak życie zdeprawowanych rozpustników.

- Skąd wiesz?

- Sam mi mówił. Zresztą, wystarczy mu się dobrze przyjrzeć, aby odgadnąć prawdę. Wygląda, jakby był o dobrych dziesięć lat starszy niż w rzeczywistości. To skutek nadużywania brandy i dziwek. Generalnie złego prowadzenia się. Jak on śmie mówić mi, jak powinnam się zachowywać! - perorowała Lina.



Charlotte rzadko widywała kuzynkę w stanie podobnego wzburzenia.

- A co ci sugerował?

Lina nie przestawała złorzeczyć na pastora. Była ubrana w twarzową, ale bardzo skromną suknię blad różowego koloru. Po raz pierwszy Charlotte nie musiała się martwić, że kuzynce grozi zapalenie płuc od wystawiania na przeciągi głęboko obnażonego dekoltu. Kapelusz też był wyjątkowo mało strojny; bez piór, kwiatów z jedwabiu czy zwierzątek, w których się dotychczas lubowała. Coś musiało zainspirować lady Whitmore do rezygnacji z ekstrawagancji w ubiorze. Charlotte podejrzewała, że za tą przemianą kryje się pastor.

- On się marnuje - ciągnęła Lina, po części do samej siebie. - Ten znudzony światem wzrok, ta naznaczona rozwiązłością twarz - wszystko na marne. Poślubi jakąś nudną pannę, która będzie mu wzorowo prowadziła dom i wyda na świat dzieci, a wszystkie kobiety w jego parafii będą go oczywiście uwielbiały. Bogobojny pan Pagett będzie udawał, że niczego nie dostrzega, będąc w pełni świadomy efektu, jaki wywiera na płochych kobietach.

- Dobrze się składa, że żadna z nas nie jest płochą kobietą - stwierdziła Charlotte, bardziej ciekawa reakcji kuzynki, niż przekonana o prawdziwości swojego stwierdzenia.

Według Charlotte, Lina była kobietą płochą od czubka swoich kunsztownie upiętych czarnych włosów, po rąbek sukni. Nie zamierzała jednak powiedzieć tego na głos.

Zaiste życie potrafiło płatać złośliwe figle. Jeśli jedna z nich miała zakochać się w trzeźwym pastorze, a druga w niezdolnym go głębszych uczuć dandysie, to role powinny być odwrócone - jej powinien przypaść pastor, a nie dandys. Westchnęła ciężko.

- Co się stało? - Lina przerwała potok oskarżeń pod adresem duchownego.

- Nic - mruknęła Charlotte.

Rzeczywiście jest zakochana? Co jej przychodzi do głowy. Jak można zakochać się w takim rozpustniku jak Adrian Rohan. To równie absurdalne jak pomysł, że Lina mogłaby zapalać miłością do pastora. Uśmiechnęła się do kuzynki. Nie chciała ujawniać trapiącego ją wewnętrznego zamętu.

- Pan Pagett istotnie potrafi być bardzo nieprzyjemny - przyznała rację Linie. - Wielka szkoda, bo wywarł na mnie bardzo dobre pierwsze wrażenie.

- Nie daj się zwieść pozorom. To waż.

Im goręcej Lina krytykowała pastora, tym bardziej Charlotte była zaintrygowana, dlatego jego osoba wzbudza taką gwałtowną reakcję kuzynki. Stanowczo Lina poświęcała zbyt dużo uwagi przyjacielowi lorda Montague'a, choć gotowa była zarzekać się, że on nic a nic jej nie obchodzi.

Charlotte kusiło, aby wypomnieć to przyjaciółce, ale zrezygnowała.

Zamknęła oczy. Miała nadzieję, że Adrian cierpi. Mężczyznom trudniej jest ukrywać pożądanie i ona nie żywiła wątpliwości, że on jej pożąda. Żałuje swojego gruboskórnego zachowania? Raczej nie. Adrianowi chyba nie grozi samotność i frustracja. Znajdzie się mnóstwo kobiet, które chętnie pójdą z nim do łóżka. Wystarczy przesłać któregoś miły liścik, złożyć nieoczekiwaną wizytę. W razie czego w odwodzie ma osławioną madame Kate. Łotr bez serca.

W ostatniej godzinie podróży Simon Pagett pojechał przodem, aby przygotować wszystko na przyjęcie gości.

Dobrze, że wreszcie dojechali, pomyślała Charlotte. Dłużej by nie wytrzymała. Powóz zatrzymał się przed Hensley Court. Charlotte nie czekała, aż lokaj spuści schodki. Wyskoczyła na kolana na wysypany kamykami podjazd i zwymiotowała. Było jej wstyd, ale nie mogła inaczej.

- Choroba lokomocyjna - wyjaśniła, zwracając się do Liny i Meggie. - Strasznie mnie wytrzęsło. Teraz już mi lepiej.

Lina nie potrafiła ukryć zmartwienia stanem przyjaciółki.

- Miałaś wcześniej takie objawy?

- Na szczęście nie. Od kilku dni dokuczał mi żołądek, ale coś takiego jak teraz zdarzyło mi się po raz pierwszy.

Kątem oka Charlotte zauważyła, jak kuzynka i Meggie wymieniają porozumiewawcze niespokojne spojrzenia.

- Już dobrze - zdenerwowała się. - Wszystko przez tę okropną podróż.

W obszernym frontowym holu czekał Simon Pagett. Charlotte była na tyle przytomna, że zauważyła, jakim wzrokiem popatrzył na Linę. Cokolwiek zawiązało się między tym dwojgiem, nie było jednostronne.

- Thomas śpi - oznajmił. - Pokoje dla pań są gotowe. Proszę wykorzystać czas jego drzemki na wypoczynek. Doktor dopiero co od niego wyszedł. Stan Thomasa jest dla niego zagadką. Kiedy myśli, że to już koniec, chory zaczyna mieć się lepiej. Doktor mówi, że nie wie, jak długo to może potrwać.

- Sugeruje pan, że ja wyglądam na zmęczoną? - zapytała zaczepnie Lina.

- Nie, lady Whitmore. Przypuszczam tylko, że po całonocnej podróży wiejskimi drogami chętnie pani skorzysta, nie będąc istotą o nadludzkiej wytrzymałości, z okazji do odpoczynku. Gdyby wolała pani wybrać się na szybki spacer do lasu, a potem wydać przyjęcie dla gości, nie będę stał na przeszkodzie.

Reakcja kuzynki nie zdziwiła Charlotte. Większość mężczyzn starała się zaskarbić sobie jej przychylność. Nie pamiętała, aby Lina kiedykolwiek reagowała tak kategorycznie jak w tej chwili.

- Moja kuzynka nie czuje się dobrze po podróży. Cierpiała na chorobę lokomocyjną. Dopilnuję, żeby miała wszelkie niezbędne wygodki, a potem zejść na dół i posiedzę przy Montym do czasu jego przebudzenia. Chyba nie ma pan nic przeciwko temu? Pan spędził wiele godzin w siodle, wyobrażam więc sobie, że to pan potrzebuje wypoczynku.

Pagett nastroszył się.

Obserwowanie, jak tych dwoje skacze sobie do oczu, było nawet dość zabawne, ale słabość wzięła górę. Charlotte postanowiła skorzystać z okazji, żeby się położyć.

W sypialni Meggie przebrała ją w batystową koszulę nocną i zapakowała do łóżka z rozgrzaną cegłą w nogach i zimnym kompresem na czole. Charlotte czuła się rozbita, dokuczały jej mdłości. Muszę się zdrzemnąć, uznała. Cierpienia ciała potęgowało poczucie doznanej krzywdy i wewnętrznego rozdarcia.

Nie zamierzała wmawiać sobie miłości do samolubnego sybaryty, który o nikogo nie dbał, goniąc za własnymi przyjemnościami. Skoro jednak raz przyszło jej to do głowy, nie mogła się od tej myśli uwolnić. Gdyby miała choć trochę rozumu, ostatnie wydarzenia w jego powozie powinny ją radykalnie uleczyć. Tymczasem sprawiły, że jeszcze bardziej do niego tęskniła.

Chlipała cichutko, żeby nie słyszały Lina i Meggie. Gdyby udało się nie widzieć go przez dłuższy czas, może potrafiłaby zapomnieć. Była już na dobrej drodze. Wszystko przez tańce w Ranelagh Gardens i to, co nastąpiło potem.

Fałszywy drań. Podstępny, nieuczciwy, amoralny, samolubny, nędzny... brakowało jej słów na opisanie Adriana. Im lepiej go poznawała, tym większą budził w niej odrazę. Z tą odrazą, to może przesada, zreflektowała się. Im bliżej go poznawała, tym lepiej rozumiała, że powinna trzymać się od niego z daleka. Wystarczy pozostać na wsi, żeby go więcej nie ujrzeć. Wiadomo było powszechnie, że wicehrabia Rohan nudził się na wsi i unikał wyjazdów z miasta jak ognia. Może przekona Linę, żeby pozwoliła jej zamieszkać w jej majątku w Dorset. Rohan wcześniej czy później wybierze się za granicę, a tam spadnie z wysokiej góry, ożeni się z chińską księżniczką lub zostanie pożarty przez tygrysa. Było jej obojętne, jaki smutny koniec go spotka, byle nastąpiło to szybko.

Lina i Meggie szeptały coś na jej temat. Były zapewne przekonane, że ona ich nie słyszy. Nie doceniały jej. Wyrosła w starym domu w Yorkshire, zanedbywana przez rodziców. Służba ciągle szeptała po kątach na temat biednego, opuszczonego dziecka. Charlotte doskonale rozpoznawała ów zatroskany ton, nawet jeśli nie rozróżniała poszczególnych słów.

Nieważne. Musi się zdrzemnąć. Jak się wyśpi, poczuje się lepiej. Wystarczy zamknąć oczy...

Lina znalazła Simona Pagetta na tarasie, skąd roztaczał się widok na kanał otaczający ruiny starego opactwa. Był piękny wiosenny poranek. W powietrzu unosił się zapach wilgotnej ziemi, kryjącej obietnicę odradzającego się nowego życia. Wzdrygnęła się na tę myśl. Obie z Meggie wyciągają chyba przedwczesne wnioski. Charlotte zapewniała, że wicehrabia był ostrożny, i Lina była skłonna w to wierzyć. Trudno przypuszczać, by Adrian ośmielił się zaryzykować zrobienie dziecka porządnej dziewczynie z dobrego domu. Co nie znaczy, że stary markiz był ucieleśnieniem cnót. W ryzach utrzymywała go żona, w której był ciągle nieprzytomnie zakochany.

Gdyby Adrian okazał się niewystarczająco ostrożny, a napary, którymi poiła Charlotte nieskuteczne, rozmyślała Lina, kuzynka znalazłaby się w nie lada kłopotcie. Istniały

pewne drastyczne sposoby pozbycia się tego kłopotu, ale Charlotte na pewno nie chciałyby ich zaakceptować, a i Lina by jej na to nie pozwoliła. Pozostawała jeszcze możliwość wspólnego wyjazdu za granicę pod warunkiem, że przekłęci Francuzi nie rozpętają nowej wojny. Mogłyby też wycofać się na jakiś czas na wieś.

- Jest pani zdenerwowana, lady Whitmore? - zapytał Pagett. - Co panią tak wzburzyło?

- Umiera mój najlepszy przyjaciel. To oczywiste, że jestem zdenerwowana.

Jeśli sądziła, że uda się jej zwieść Pagetta, to się pomyliła.

- Miała pani sporo czasu, żeby się z tym oswoić. Odnoszę wrażenie, że chodzi o coś całkiem świeżego.

- A gdyby nawet, sądzi pan, że podzieliłabym się z panem swoimi troskami?

- Nie widzę przeciwwskazań. W końcu jestem duchownym. Należy do mnie również wsłuchiwanie się w zmartwienia ludzi.

- Nie jestem pańską parafianką. Swoje zmartwienia zachowam dla siebie.

Stał blisko, powinna się odsunąć, ale ją korciło, żeby przysunąć się jeszcze bliżej. Spojrzał na nią z góry. Był więcej niż średniego wzrostu, a że Lina była niska, więc mocno górował nad nią.

- Człowiekowi łatwiej, gdy się podzieli zmartwieniem, ale pani mi nie wierzy.

- Nie wierzę. Zacznie mnie pan namawiać do wyznania grzechów, gdyż tylko tak uzyskam wstęp do nieba.

- Nie, nie zamierzam słuchać o pani grzechach - odparł stanowczo.

- Słusznie. Jest pan już niemłody, nie starczyłoby panu życia, aby wysłuchać całej listy do końca.

Zachmurzył się. Lina wiedziała, że dotknęła jego próżności. W końcu roześmiał się.

- Potrafi pani dokuczać, lady Whitmore. Już pani mówiłem, mam trzydzieści pięć lat. Spodziewam się żyć jeszcze dziesiątki lat. Wątpię, czy lista pani grzechów jest aż tak długa.

- Zdziwiłby się pan. - Chciała, żeby to zabrzmiało żartobliwie, lecz zabrzmiało poważnie.

Patrzył na nią z zadumą. Ma interesującą twarz, pomyślała Lina. Za młodu musiał być bardzo ładny. Dobrze, że nie spotkali się wtedy...

Nagle uzmysłowiła sobie coś przerażającego. Nigdy nie szła z kimś do łóżka na trzeźwo, zawsze musiała wypić, aby zagłuszyć obawy. Nie zawsze nawet pamiętała twarze swoich partnerów.

- Nie spotkaliśmy się nigdy przedtem, prawda? Kiedy nastąpiło to pańskie nawrócenie na drodze do Damaszku?

Roześmiał się, chyba czytał jej w myślach.

- Lady Whitmore, mogę panią solennie zapewnić, że nie spaliśmy ze sobą w moich grzesznych latach. Jest pani na to o wiele za młoda. A gdybym spotkał panią później, to z całą pewnością nie zapomnielibyśmy pani.

Zaczerwieniła się, niezwłocznie jednak odbiła piłeczkę.

- Wielu zapomniałam - powiedziała bez troski. - W gruncie rzeczy nie potrafiłabym ich nawet zliczyć.

- Nie wierzę.

Prowokował ją. Chciał, żeby zaciągnęła go do łóżka? Nie wiedzieć czemu, nie była tym zainteresowana. Słowne utarczki z Simonem Pagettem daleko bardziej ją bawiły.

- Muszę pochwalić obecny styl pani sukien, lady Whitmore. Stonowane kolory lepiej uwypuklają pani urodę niż te, w których pani gustowała poprzednio.

- Nie interesują mnie pańskie opinie na temat mojej garderoby, pastorze. - Lina udawała, że ta uwaga nie sprawiła jej przyjemności. - Nie uprzedził mnie pan, pokojówka spakowała wszystko, co było czyste.

- Naturalnie - przytaknął.

Lina była gotowa pobiec na górę i kazać Meggie natychmiast powycinać głębsze dekolty w nowych toaletach.

- Jest pan doprawdy irytujący, wie pan o tym?

Uśmiechnął się rozbrawiająco.

- Mówiono mi.

- Zastanawiam się... - rzekła przeciągle.

- Nad czym? - zapytał ostrożnie.



- Czy wszyscy mężczyźni są jednakowi? Nawet tacy, którzy odnaleźli drogę do Boga? - wyraźnie kpiła.

Pastor zeszywniał.

- Mam spokojne sumienie i śpię dobrze - powiedział. - Jestem szczęśliwszy.

- Nie wygląda pan na wyjątkowo szczęśliwego - zauważyła. - Jeśli zaś chodzi o spokojny nocny wypoczynek, to zastanawiam się, ile w tym prawdy.

- Naturalnie, że to prawda - zapewnił bez urazy. - Jeśli w ten oto taktowny sposób pyta mnie pani o przyjemności ciała, to mogę panią zapewnić, że wstępując do stanu duchownego, nie poddałem się kastracji.

- Dobra wiadomość. Monty mówił mi, że złożył pan śluby czystości. Nie wiedziałam, czy z konieczności, czy z wyboru.

- Monty za dużo papie. Jeśli już to panią interesuje, powiem pani, lady Whitmore, że nie złożyłem ślubów czystości. Uznałem tylko, że nie będę cudzołożył i zachowam wstrzeźliwość do czasu złożenia ślubów małżeńskich.

- Zamierza się pan ożenić?

- Na razie nie - odparł, spoglądając przeciągle na Linę - ale mogę zmienić zdanie.

- Niech pan nie zapomni zaprosić mnie na wesele. Zazwyczaj daję hojne prezenty.

- Jeśli będę się żenił, lady Whitmore, to pani na pewno będzie przy tym obecna. -

W jego głosie zabrzmiała tajemnicza nuta, której Lina nie potrafiła rozszyfrować.

Była niespokojna, poirytowana. Żałowała, że nie ma Charlotte, która potrafiła ją powstrzymać.

- A więc, pańskie śluby czystości... przepraszam, pańska świadoma decyzja... dotyczy również innych rzeczy?

Przysunęła się tak blisko, że fiszbiny, na których unosiły się jej spódnice, otoczyły jego odziane w ciemne spodnie nogi.

Stał nieporuszony.

- Jakie inne rzeczy?

Lina czuła go każdym zmysłem. Tak pięknych ust nie widziała u żadnego mężczyzny.

- Na przykład całowania - odrzekła, zarzuciła Pagettowi ramiona na szyję i przywarła ustami do jego warg.

## Rozdział dwudziesty

Nie takiej reakcji się po nim spodziewała. Myślała, że będzie zakłopotany, zawstydzi się i zacznie jej udzielać nauk moralnych, a ona będzie mogła go wyśmiać. Nie odpowiedział na pocałunek. Sięgnął za głowę, złapał ją za nadgarstki i ściągnął jej ręce w dół. Miał to być moment jej triumfu, ale nie był. Pastor opasał się w tali jej ramionami, odszukał ustami jej wargi i zmusił ją do ich otwarcia.

Zaskoczył ją. Przywarła do niego całą sobą, rozkoszując się bliskością jego szczupłego, umięśnionego ciała. Różnił się od często zniewieściałych i znudzonych dżentelmenów z towarzystwa. Był silny i stanowczy. Lina poddała się z zamkniętymi oczami i odchyłoną do tyłu głową.

Nie było ani pośpiechu, ani gwałtowności w pocałunku, odkąd Pagett przejął inicjatywę. Nie przepadała za głęboko penetrującymi pocałunkami. Teraz było inaczej. Podało się jej, i to bardzo. Przestała mieć pastorowi za złe burzliwą przeszłość. Potrzeba długich lat praktyki, żeby tak całować. Przesunęła dłonie w górę, aby jeszcze mocniej do niego przywrzeć. A on całował i całował.

- Panie Pag...

Do ich świadomości dotarł głos Dodsona. Kamerdyner zorientował się poniewczasie i próbował się wycofać.

Simon puścił Linę bez pośpiechu.

- Tak, Dodson? O co chodzi? - spytał spokojnym głosem.

Można by pomyśleć, że pocałunek zupełnie go nie poruszył, lecz Lina zauważyła, że był podniecony. Aby to ukryć, odwrócił się od niej i Dodsona, jakby nagle spostrzegł coś wielce interesującego na wypielegnowanym trawniku przed tarasem. Powinna się cieszyć z odniesionego triumfu, zamiast tego przeklinała w duchu kamerdynera.

- Przepraszam pana. Nie chciałem przeszkadzać. Przyjechał lord Rohan.

- Co?! - wykrzyknęła Lina.

Pastor odwrócił w jej stronę głowę i wyjaśnił:

- Wicehrabia Adrian Rohan. Od pani udałem się do niego. Thomas domagał się jego przyjazdu.

- Kiedy zamierzał pan mi o tym powiedzieć?

Lina wciąż była rozdrażniona, że Dodson zakłócił im chwilę intymności.

- Nie wiedziałem, że powinienem przedstawić pani do aprobaty listę gości Thomasa.

- A co mnie obchodzą ci wszyscy, którzy się tu kręcą? Rohan jest problemem... - Urwała, widząc wchodzącego na taras Adriana.

Wicehrabia, zazwyczaj wymuskany, przedstawiał opłakany widok. Kulał, miał podbite oko i posiniaczoną twarz.

- Dzień dobry, lordzie Rohan - powitał go pastor. - Jakże się cieszę, że mógł pan przyjechać tak szybko. Lepiej się pan czuje po tej ciężkiej próbie?

- Drobiazg, nie ma o czym mówić. Lady Whitmore, wygląda pani przepięknie, jak zawsze. Cieszę się, że panią widzę. - Adrian skłonił się uprzejmie.

- Do usług, milordzie. - Oddała ukłon.

Nie potrafiła orzec, czy był zaskoczony spotkaniem. Wydawało się wielce nieprawdopodobne, by przyjechał tu, wiedząc, że zastanie Charlotte, ale Adrian Rohan zawsze był zagadką.

- Jest pani sama tym razem? - zapytał.

Od odpowiedzi zwolniło Linę pojawienie się służącego.

- Lord Montague się zbudził - oznajmił.

- Przybył pan w samą porę - zwrócił się do Rohana pastor.

Lina była odmiennego zdania. Uważała, że pora była wręcz fatalna, ale nic nie mogła na to poradzić. Wszyscy troje od razu przeszli do sypialni chorego.

Monty przejawiał skłonność do teatralnej przesady, o czym świadczył też wystrój jego sypialni. Centralnym obiektem było wielkie łóżce z baldachimem i brokatowymi kurtynami, które byłyby na miejscu w pałacu sułtańskim. Cztery drewniane podpory, na których wznosił się baldachim zdobiły rzeźbione kupidyny, serafiny i potwory morskie,

zaś poduszkami, na których się wspierał, można było z powodzeniem obdzielić pół Londynu. Przeszkłone wysokie drzwi były otwarte na rozległy taras. Choć napływające z zewnątrz powietrze było ciepłe, w wielkim kamiennym kominku buzował ogień.

Monty był wymizerowany, ale się uśmiechał. Nie wyglądał na kogoś, nad kim śmierć wymachuje kosą, pomyślała z ulgą Lina. Ciekawe, co on takiego wymyślił.

- Cieszę się, że was wszystkich widzę - powiedział. - Przepraszam, że spałem, gdy przyjechaliście. Przeklęty doktor poi mnie laudanum, przez co za dużo śpię. Lino, kwitniesz. Szkoda, że nie mogę powiedzieć tego samego o tobie, Adrianie. Wyglądasz, jakby potraktował cię jakiś zazdrosny mąż. Czyją żonę uwiodłeś?

- Ostatnio nie zajmuję się mężatkami. Od razu chcą porzucić dla mnie swoich mężów, i to stało się po prostu nudne.

- Drogi chłopcze, przyślij tych mężów do mnie, wszyscy wtedy będziemy szczęśliwi. - Tym razem głos zawiódł Monty'ego, brzmiał o wiele słabiej. - Nie jesteśmy w komplecie, Lino, prawda? Gdzie jest twoja czarująca kuzynka?

Lina nie patrzyła w stronę Rohana. Nie chciała widzieć jego reakcji. Radość czy zakłopotanie? Jedno i drugie byłoby równie nie na miejscu. Charlotte nie powinna w żadnym wypadku go spotkać, przynajmniej do czasu wyjaśnienia się powodu jej niedomagania.

- Poszła się zdrzemnąć - odparła. - Spędziłyśmy całą noc w podróży, tak nam było do ciebie spieszno, kochany. Nie wszyscy są tacy wytrzymali jak ja.

Zamierzała się wymknąć na górę, aby uprzedzić Charlotte, zanim sama natknie się na Adriana. Będąc ostrzeżona, mogłaby nie wstawać z łóżka do jego wyjazdu. Grypa żołądkowa byłaby doskonałą wymówką. W gruncie rzeczy już można by zacząć przygotowywać grunt, uznała Lina, aby nieobecność kuzynki nikogo nie zdziwiła.

Za późno. W uchylonych drzwiach sypialni ukazała się głowa Charlotte.

- Proszę wejść, moja droga! - zawołał Monty. - Miło, że odwiedziła pani biednego inwalidę.

Charlotte знаła Monty'ego od lat. Weszła, starając się maskować troskę o jego stan.

- Dobrze pan wygląda, milordzie.

- Jak śmierć na chorągwi, i pani to wie. Proszę usiąść. Rohan, podaj pannie Spenser krzesło.

Sytuacja byłaby nawet komiczna, gdyby Lina nie wiedziała, że jest się czym martwić. Adrian Rohan stał ukryty za kotarą łóżka. Charlotte na jego widok zbladła. Lina bała się, że kuzynka po raz pierwszy w życiu zemdleje. Na szczęście Charlotte była dzielna. Ukłoniła się, wydusiła z siebie uprzejme powitanie i zajęła miejsce na krześle, które podał jej pastor, szybszy od Adriana. Lina pomyślała o nim z wdzięcznością.

- Jesteśmy w komplecie - stwierdził uradowany Monty z podejrzenie błyszczącymi oczami.

Można by sądzić, że wiedział, co przydarzyło się Charlotte i Adrianowi, jak również, co zaszło na tarasie między Liną a pastorem.

Lady Whitmore z podziwem patrzyła na kuzynkę, która siedziała z nieprzeniknioną miną.

- Jesteśmy w komplecie - powtórzył wicehrabia Rohan. - Jakie rozrywki dla nas przewidział, Monty? Chyba nie zamierzasz zwiędnąć na naszych oczach? Masz wyzdrowieć.

- Żałuję, że nie mogę się zastosować do twojego polecenia, drogi chłopcze. Kiedyś nieźle się razem bawiliśmy, prawda? Obawiam się, że czas zabawy się skończył.

- Monty, wystarczy, że z nami zostaniesz - wtrąciła Lina.

- Zostanę, jak długo będę mógł. Sprawiałaś mi radość, że przywiozłaś kuzynkę. A co do ciebie. Rohan, to cieszę się, że przyjechałeś bez kuzyna. Etienne nie należy do moich ulubieńców.

- Nie wiedziałem. Masz jakiś powód? - zaniepokoił się Rohan.

- Poznałem go przed laty w Paryżu. Byłeś wtedy jeszcze dzieckiem. Nigdy mu nie ufałem.

- Dlaczego mnie nie uprzedziłeś?

- Umieram - stwierdził beznamiętnie Montague. - Mogę mówić, co chcę, i nikt nie może mi tego zabronić. Poza tym ludzie muszą spełniać moje prośby.

- Czyżby? - spytała ze śmiechem Lina.

- Przyjechaliście tu na moją prośbę, prawda? Mam wam coś do powiedzenia i chcę to zrobić z każdym z was na osobności. Jestem pewien, że zabawicie się bez mojego udziału, gdy ja będę z wami po kolei rozmawiał.

- Damy sobie radę - zapewniła Lina. - My z Charlotte możemy pójść na spacer. Ruch dobrze nam robi po długiej podróży.

- Moja droga, z tobą chcę rozmawiać w pierwszej kolejności.

Lina była gotowa oponować, lecz Charlotte poderwała się z krzesła. Na jej bladej twarzy wróciły kolory, jakby na dobre przezwyciężyła poranną niedyspozycję. Najwyraźniej nie było się o co martwić. Kuzynka była w pełnej formie i będzie w stanie usadzić w miejscu Adriana Rohana, gdyby zdecydował się ją obrazić. Zresztą, on prawdopodobnie sam będzie od niej stronił. Wicehrabia był znany z niestałości, nie wracał do dawnych flam.

- Wiesz co, Simon? - odezwał się Monty. - Dowiedziałem się, że przecieka dach na kościele, a twój kościelny ma skłonność do kieliszka. Prawdę mówiąc, jest pijakiem.

- Wiem o tym - przyznał ponuro pastor. - Tyle że on pije od co najmniej dziesięciu lat, a dach przecieka od trzech. Zależy ci, żebym zajął się tym właśnie dzisiaj?

- Co masz zrobić jutro, zrób dziś - stwierdził sentencjonalnie Monty.

Rohan oderwał się od słupka podpierającego baldachim i przysunął się do Charlotte.

- Sądzę, że zrozumieliśmy rozkazy, panno Spenser - oświadczył i wyciągnął w jej stronę ramię.

Lina miała nadzieję, że Charlotte odmówi, ale nie zrobiła tego. Wyszła z Adrianem na taras. Simon ruszył za nimi, ale oddalił się w przeciwnym kierunku.

- Nieznośny jesteś, Monty - powiedziała bez pretensji Lina. - Nigdy nie przypuszczałabym, że weźmiesz się do swatania. Zawsze miałeś zbyt wiele szacunku dla ludzkiej odmienności.

- Za bardzo bałem się kłopotów, jakie mógłbym ludziom sprawić. Dzisiaj to już bez znaczenia. Nie pożyję na tyle długo, żeby mieć czas się tym martwić. Powiedz mi prawdę, moja droga. Czy on ci się podoba?

Lina zastanowiła się chwilę.



- Właściwie trudno powiedzieć, żebym go nie lubiła - zaczęła ostrożnie. - Nie przypuszczam jednak, by zamierzał się oświadczyć o rękę Charlotte. Trzeba bardziej przekonujących argumentów niż subtelne groźby, aby go zmusić do ożenku.

Patrzył na nią zaskoczony.

- Moja droga, czasami mnie zdumiewasz. - Montague wahał się, czy nie dodać coś jeszcze, ale pokręcił głową. - Nieważne. Na każdego przyjdzie wcześniej czy później jego pora.

- O czym ty mówisz? - Zesztywniała.

- Później ci powiem, skarbie, jak dojrzejesz do wysłuchania.

Charlotte zdjęła rękę z ramienia Adriana, gdy tylko znaleźli się na tarasie.

- Co tu robisz? - zapytała.

- Zostawiłaś mnie na lodzie. Mamy do dokończenia pewną sprawę.

- Nic podobnego. - Ukryła ręce w fałdach spódnicy, żeby nie zobaczył, że drżą. W pełni odzyskała panowanie nad sobą, które opuściło ją na krótko, gdy niespodziewanie ujrzała Adriana w sypialni Monty'ego. - Przepraszam za absurdałne pytanie. Jestem pewna, że gdybyś wiedział, iż tu mnie zastaniesz, byłoby to ostatnie miejsce, które zechciałbyś zaszczyścić swoją obecnością.

- Skoro tak twierdzisz... Prawdę powiedziawszy, Montague jest moim najlepszym przyjacielem. Przyjechałbym bez względu na monstra, z którymi musiałbym się spotkać.

Zaśmiała się sucho.

- Jedno tylko monstrum, lordzie Rohan. - Popatrzyła uważnie na jego posiniaczoną twarz. - Co ci się stało? Dostałeś w końcu od losu to, na co zasłużyłeś?

- Dlaczego miałbym zasłużyć na pobicie? Jaką wielką zbrodnię popełniłem? Oddałaś mi się z własnej woli.

Miał szczere, niewinne wejrzenie, lecz Charlotte pozostała niewzruszona.

- Wczoraj nie znalazłam się w twoim powozie z własnej woli. Gwoli ścisłości, nie wiedziałam, że to twój powóz. Jeśli chodzi o wydarzenie sprzed tygodni, to powiedz mi prawdę, czy mogłeś otworzyć zamek u drzwi, gdy cię o to po raz pierwszy poprosiłam? A kilka razy potem?

- Nie - odparł krótko.

Uwierzyła. Zaraz jednak przyszło jej do głowy kolejne pytanie.

- A czy ktoś mógłby przyjść i otworzyć drzwi, gdybyś tego zażądał?

Uśmiechnął się ponuro.

- Tak.

Powinna go zwymyślać, krzyczeć i tupać ze złości, oskarżyć go o wszelkie wyobrażalne zbrodnie. Tymczasem miała chęć popłakać się z radości. Pragnął jej. Nie musiał być z nią, nie utknął w pułapce bez wyjścia. Wybrał ją, bo chciał z nią być.

Adrian nie potrafił zrozumieć jej reakcji.

- Nie spoliczkujesz mnie? - zdziwił się. - Będę ci wdzięczny, jeśli tego nie zrobisz, i tak jestem cały obolały, co, nawiasem mówiąc, nie powinno być dla ciebie przeszkodą. Ustaliliśmy niniejszym, że zasłużyłem na cięgi. Czy zasłużyłem na śmierć?

- Mówisz poważnie? Ktoś próbował cię zabić?

- Zostałem napadnięty przez ulicznych rzeźmieszaków, którzy mieli szczerzy zamiar pozbawienia mnie życia. Gdyby nie spłoszył ich Simon Pagett, nie rozmawialibyśmy dzisiaj ze sobą.

Charlotte poczuła ukłucie w serce.

- Dlaczego ktoś chciałby twojej śmierci? Choć to właściwie głupie pytanie. Miałabym ochotę cię zabić. Jestem pewna, że wiele innych kobiet także. Przypuszczam jednak, że większość z nas nie wynajmowałaby płatnych zbirów, wolałybyśmy zrobić to dla większej przyjemności własnymi rękami. Komu się naraziłeś? - Ten żartobliwy ton, jak zauważyła Charlotte, odpowiadał Adrianowi.

- Wielu, choć pewnie nie aż do tego stopnia, żeby mnie uśmiercić. Najprostszym sposobem wyprawienia mnie na tamten świat byłoby wyzwanie mnie na pojedynek. Oczywiście, nie dałbym się łatwo zabić. Z tego wniosek, że mój wróg musi być tchórzem. W tej chwili o zbrodniczy zamiar nie podejrzewam nikogo poza tobą, i chociaż cię w pełni rozumiem, nie sądzę, że miałabyś dosyć czasu, by zorganizować napaść. To zdarzyło się niemal pod moim domem, nie zdążyłem jeszcze opuścić Curzon Street.

- Dokąd szedłeś? Dlaczego nie do domu? - zainteresowała się.

- No cóż, powiem prawdę - odparł. - Chciałem wrócić pod dom lady Whitmore i sprawdzić, czy nie dałoby się jakoś dostać do środka, aby dokończyć to, co zaczęliśmy.

Dzień był spokojny. Charlotte słyszała śpiewające w oddali ptaki i brzęczenie pszczoł zbierających nektar z kwiatów. Łagodny podmuch wiatru nawiał Adrianowi włosy na twarz. Chciała wyciągnąć rękę i odsunąć je, ale nie zrobiła tego.

- Przypuszczam, że poradziłeś sobie sam w tej sytuacji - powiedziała i pożałowała swoich słów, bo uśmiechnął się szeroko.

- Moje ręce nie są takie zręczne jak twoje, ale mógłbym zamknąć oczy i uruchomić wyobraźnię...

Przekleństwem jest posiadanie takiej jasnej cery, bo widać na niej najsłabszy rumieniec - pomyślała z niechęcią Charlotte. Czowała, jak się czerwieni.

- Przepraszam. To nie było właściwe z mojej strony.

- Czy nie przekroczyliśmy punktu, poza którym nie ma między nami rzeczy niewłaściwych.

- Myślę, że powinniśmy postarać się powrócić do poprzedniego stanu. Będziemy się spotykać przy różnych okazjach. Powinniśmy udawać, że nigdy...

- Że nigdy cię nie posuwałem?

- Czy nie ma mniej wulgarnego słowa?

Przysunął się do niej bardzo blisko.

- Ono nie jest wulgarnie. Jest dosadne i podniecające. Chodź do łóżka.

Propozycja padła tak znenacka, że Charlotte zamurowało.

- Słucham?

- Dobrze słyszałaś. - Mówił niskim, kuszącym głosem. - Chodź ze mną do łóżka. To duży dom, nikt się na nas nie natknie. Znajdziemy zaciszne miejsce. Pragnę cię. Doprowadzasz mnie do szaleństwa i nic nie jest w stanie tego odmienić.

Charlotte pomyślała, że oto nadarza się okazja, aby wziąć rewanż na Adrianie i skończyć z nim na dobre. Powiedzieć bardzo uprzejmie: „Dziękuję, odchodzę”. Dla niej on jest trucizną. Piękną i kuszącą, lecz trucizną.

Wyciągnął do niej rękę. Patrzyła i nie wierzyła oczom. Jego ręka drżała.

- Tak, drzę, bo bardzo cię pragnę. Co mam zrobić, Charlotte? Błagać?

Znała odpowiedź. Oboje ją znali, jednak żadne z nich nie wypowiedziało jej na głos. Żaden z niego materiał na dobrego męża; będzie się zadawał z dziewczkami, grał w karty i pił. Złamie jej serce.

- Czego ty chcesz? - zapytał Adrian, niemal zły.

Spojrzała mu prosto w oczy.

- Ciebie.

Charlotte szła za nim jak zahipnotyzowana. Co ona wyprawia?

Naturalnie, że kłamał. Nie mogła uwierzyć, że tak bardzo jej pragnął, iż zarzucił wszelką ostrożność. A jednak chyba właśnie tak było. Tu, pod okiem duchownego i mściwej Liny, Adrianowi groziło, że zostanie zmuszony do poślubienia ubogiej, neurodziwej starej panny, Charlotte Spenser.

Dlaczego podejmował takie ryzyko?

Powiedział, że pragnie jej do szaleństwa. W szaleństwo była skłonna uwierzyć. W to, że jej i tylko jej pragnął, już mniej. Poprzedniej nocy pozwolił jej odejść. Do tej pory nie była pewna, kto wygrał tę szczególną bitwę. Jeśli myślała, że udowodniła, iż potrafi od niego odejść, to była w błędzie. On mógł nabrać przekonania, że ona jest odporna na jego urok. Tymczasem nie potrafiła myśleć, nie mogła jeść ani spać. Mogła tylko tęsknić.

Nie wierzyła mu, że jej pragnie. Mówił tak, bo tkwił tu bez alternatywy. Jednak to kłamstwo było piękne i chciała w nie uwierzyć. Tak jak wtedy, gdy skwapliwie uwierzyła, że są zamknięci w zrujnowanym opactwie i nie mogą się z niego wydostać. Dowiedziała się, że nie musiał spędzać z nią w tym rzekomym więzieniu aż dwóch dni, lecz był z nią, bo tego chciał. W gruncie rzeczy jego chęć i tak była bez znaczenia. To były jej wybór i decyzja.

Zatrzymam go, postanowiła Charlotte. Na godzinę, dzień, na tak długo, jak on tego będzie chciał. Zmęczyło ją okłamywanie samej siebie.

Służący patrzyli na nich z zaciekawieniem, gdy Adrian ciągnął Charlotte przez cały dom. Był to olbrzymi, stary dwór, z licznymi komnatami od lat nieużywanymi. Najwyraźniej Adrian wiedział, dokąd zmierza. Szli schodami coraz wyżej do tej części rezydencji, która od dawna musiała być niezamieszкана.

- Dokąd idziemy? - spytała Charlotte. Nie dlatego, żeby miało to jakieś znaczenie, bo poszłaby za nim wszędzie.

- Do pokojów dziecięcych. Niestety, Montague nie był w stanie ich zapełnić. Nasze rodziny odwiedzały się, gdy byliśmy dziećmi. Moje siostry i ja byliśmy umieszczani w tej części domu. Mój starszy brat miał pokój w głównej części. Byłem o to zazdrosny.

- Masz starszego brata?

- Już nie. Umarł.

To jasne. Adrian nie byłby wicehrabią, gdyby miał starszego brata. Tamtemu należałby się tytuł. Charlotte nie próbowała nawet zapewniać go, że mu współczuje. Ton, jakim Adrian mówił o bracie, nie dopuszczał litości. Widać rana była ciągle bolesna.

Otworzył ukryte za kotarą drzwi, wciągnął ją do środka i zamknął za nimi. Dopiero wtedy puścił jej rękę.

- Dlaczego ze mną przysłaś? - zapytał po dłuższej chwili.

Strach ją ścisnął. Pomyślała, że znowu będzie chora, tak jak z rana. Bawił się nią. Przyprowadził ją tu, żeby się przekonać, jak daleko ona się posunie, a teraz ją wyśmieje i powie, że chciał wziąć rewanż za to, że go zostawiła wczorajszej nocy. Spanikowała. Zanim spadł pierwszy cios, który miał ją zranić, roześmiała się perliście.

- Z nudów.

- Ja też... Nie uważasz, że dobrze się składa, iż możemy się nawzajem zabawiać w takim nudnym miejscu?

Wykonał krok w jej stronę. Cofnęła się.

- Nic z tego nie będzie, jeśli będziesz się tak zachowywać.

- Może to i lepiej.

- Tchórzysz.

Zrobił kolejny krok w jej stronę. Znowu się cofnęła. Poczula za plecami zamknięte drzwi. Pochylił się do przodu, musnął wargami jej usta tak lekko, że mogło się jej zdać, że tylko to sobie wyobraziła.

- Biedna Charlotte - szepnął. - Jesteś tak samo zła jak ja.

- Co ty powiesz?

Wodził ustami po jej policzku, zatrzymał się przy uchu, w miejscu, gdzie bił puls.

- Szkoda czasu, nie walcz ze mną. Jesteśmy na siebie skazani. Poddajmy się.

Wsunął dłonie w jej włosy. Słyszała odgłos spadających na podłogę szpilek, które z nich wyjmował. Ściśle splecione warkocze opadły jej na ramiona.

- Odwróć się, Charlotte.

- Po co?

- Chcę rozpiąć ci suknię.

- Czy to niezbędnie konieczne?

Roześmiał się gardłowo.

- Tak, niezbędnie konieczne. Chcę cię ujrzeć naga. Całować każdą część twojego ciała. Odwróć się.

Charlotte oparła czoło o drzwi. Adrian rozpinał suknię bardzo wprawnie. Miał doświadczenie w tym względzie. Postanowiła o tym nie myśleć. Postanowiła w ogóle nie myśleć.

Suknia zaczęła się zsuwać, zawiesiła się na fiszbinach podtrzymujących spódnicę. Zabrał się do rozwiązywania sznurówki gorsetu, który krępował i utrudniał oddychanie. Potem rozsypał tasiemkę podtrzymującą w talii konstrukcję z fiszbin, na której leżały halki.

Wszystko to zaścielało podłogę u jej stóp. Charlotte chciała się odwrócić twarzą do Adriana. Nie pozwolił jej.

- Jeszcze nie jesteś naga.

- Wiem.

- Przecież uzgodniliśmy, że rozbiorę cię do naga.

- Ale ty wciąż jesteś ubrany.

- Zgadza się. Zamienimy się miejscami?

Teraz pozwolił jej się odwrócić. W półmroku widziała jego posiniaczoną twarz. Mimo wszystko wyglądał pięknie.

- Nie - powiedziała. - Zostań tam, gdzie stoisz.

Nigdy nie rozwiązywała męskiego fularu. Trochę potrwało, zanim zorientowała się w skomplikowanym węźle. Dłonie jej drżały, co nie ułatwiało zadania. W pewnej chwili Adrian odchylił się i wydał dźwięk, jakby się dusił.



- Może lepiej zrobię to sam, jeśli mam przetrwać dostatecznie długo, aby cię zadowolić.

Zrobiło się jej przykro. Przypomniało się jej pierwsze spotkanie, gdy drwił z jej nieporadności. Chciała się od niego odsunąć. Nie pozwolił. Uchwycił jej dłonie i oparł je sobie na piersiach.

- Powinnaś nauczyć się ze mną obchodzić, droga Charlotte. - Delikatnie ucałował kącik jej ust. - Potrafię być bardzo nieczuły, więc jeśli będziesz się obrażała, sporo czasu spędzimy na niepotrzebnych utarczkach i na godzeniu się. Właściwie może i dobrze, że będziesz na mnie ciągle zła.

- Dlaczego?

- Bo będziemy godzili się w łóżku, a to może być zachwycające.

- A nie może być zachwycające bez walki?

Zdjął fular i wręczył go jej.

- Możemy spróbować - rzekł miękko. - Uważasz, że poradzisz sobie z guzikami?

Wcześniej zdążył zdjąć surdut. Był ciągle w stroju do jazdy konnej, bez kamizelki. Perłowe guziczki śnieżnobiałej koszuli były drobne, ale Charlotte radziła sobie. Przy najmniej nie groziło mu uduszenie. Koszula otwierała się pod jej palcami, ukazując gładką klatkę piersiową z jedną niewielką kępką włosów na środku. Wyciągnęła koszulę ze spodni, zsunęła rękawy i przyłożyła policzek do obnażonej skóry, po czym ją pocałowała.

Adrian gwałtownie westchnął.

- Teraz spodnie, proszę. Guziki są z boku.

Wyczuła je palcami, nie stawiały oporu. Łatwo poradziła sobie ze spodniami i bielizną.

Nawet w panującym w pokoju półmroku widziała go dobrze. Wyglądał groźnie, ale Charlotte nie bała się.

## Rozdział dwudziesty pierwszy

Etienne de Giverney był człowiekiem pechowym. Przez całe życie ubiegał się o należną mu spuściznę, nie bacząc na to, że łamie po drodze prawa boskie i ludzkie. Wydawało mu się, że to, na czym mu zależało, jest w jego zasięgu, lecz pojawiła się ta rudowłosa stara panna i jego plany legły w gruzach.

Trudno to sobie nawet wyobrazić. Trzy tygodnie temu, kiedy Adrian, zamiast pić i bawić się w jego towarzystwie, zaczął się za nią uganiać, Etienne nie dostrzegł zagrożenia. Dziewczyna była mało urodziwa, starsza od Adriana, raczej pospolita i stanowczo za bardzo wygadana. Etienne przypuszczał, że kuzyn raz się z nią prześpi i o niej zapomni.

Tak się nie stało. Adrian zniknął na całe dwa dni w swojej grocie, którą utrzymywał w parku otaczającym ruiny opactwa. Sytuacja Etienne'a była dwuznaczna. Nie należał do socjety, nie był nawet gościem, tolerowano go jako towarzysza wicehrabiego Rohana. Etienne nie miał złudzeń co do Anglików. Znał ich nieznośne poczucie wyższości.

Postanowił zareagować. Wywabienie Adriana z jego kryjówki i namówienie go do wyjazdu nie było trudne. Aby upewnić się, że ze strony dziewczyny nie będzie kłopotów, zepchnął ją ze skarpy nad strumieniem, zanim razem z Adrianem wyjechali do Londynu.

Nie doznała większego uszczerbku, poza potłuczeniami. Kolejny pech: ludzie, których wynajął, aby wykończyli Adriana, sfuszerowali robotę. Zasadzili się na niego przy samym domu w Londynie, on tymczasem nie wszedł do środka. Musieli wyjść z ukrycia, aby go dopaść, i plan spalił na panewce.

Etienne czekał w domu kuzyna przygotowany na tragiczną wiadomość, gdy ten głupi angielski pastor przyprowadził Adriana. Dzięki Bogu, że udało mu się zachować dość zimnej krwi, żeby nie krzyczeć ze złości. Pagett poinformował Adriana, że Charlotte Spenser będzie w Hensley Court, i ten wariat popędził tam niczym zakochany żółtodziób. Kto by pomyślał?

Etienne robił, co mógł, aby zatrzymać Adriana, lecz nie wiedzieć czemu jego wpływ na kuzyna osłabł. Jeszcze trochę i Adrian porzuci go zupełnie i kto mu wtedy zapewni wstęp do domów angielskiej socjety?

Trzeba temu zapobiec, uznał.

Na dobrą sprawę, do tej pory Etienne nie ponosił bezpośredniej winy za nieszczęście, które spadło na Rohanów. Dziedzic rodziny, Charles Edward, wdał się w swojego ojca, był impulsywny. Najpierw robił, potem myślał. Nie potrzeba było nadmiernego wysiłku, żeby namówić go na przejażdżkę na ulubionym koniu Etienne'a, Meutrierze. Z typową arogancją cechującą Anglików młodzieniec nie wziął pod uwagę, że imię konia znaczyło „Morderca” i że zwierzę dostało takie imię nie bez powodu. Odznaczający się nieokiełznanym temperamentem, znarowiony rumak był na dodatek bity i tylko Etienne potrafił go ujarzmić.

Charles Edward nie lubił zakazów. Spadł z konia i doznał urazu kręgosłupa. Zapalenie płuc, które wywiązało się po wypadku, dopełniło reszty. Francisowi Rohanowi pozostał już tylko jeden syn i dziedzic, Adrian.

Zdeprawowanie Adriana okazało się dziecinnie łatwe. Był na dobrej drodze do samozagłady już w wieku lat dwudziestu pięciu, pogrążony w grzechu i rozpuście. Samo opium było dostatecznie wyniszczające, a wicehrabia stosował jeszcze inne niebezpieczne używki, rzecz jasna, podsuwane przez usłużnego kuzyna.

Podanie niebezpiecznej mikstury w ilości powodującej przedawkowanie nie byłoby trudne, Etienne wolał jednak pozostawić sprawy naturalnemu biegowi. Adrian szkodził sobie sam wystarczająco skutecznie.

Markiz Francis Rohan zbliżał się do siedemdziesiątki. Choć cieszył się dobrym zdrowiem, nie mógł żyć długo. Adrian, gdyby przeżył ojca, szybko poszedłby w ślad za nim do grobu, a wtedy nikt, poza Etienne'em, nie miałby prawa do tytułu markiza, rodowych włości i pieniędzy.

Zamierzał okazać wspaniałomyślność żonie Francisca. Oczywiście, musiałyby opuścić wszystkie pałace, ale ustanowiłby dla niej pensję umożliwiającą wygodne życie, gdyby utrzymała potrzeby na umiarkowanym poziomie. Jakże zresztą mogłaby mieć potrzeby? Żałoba wyłączyłaby ją z życia towarzyskiego. Po zakończeniu żałoby musiałyby nadal pozostawać w cieniu. Bez męża tylko to ją czekało. Byli do siebie zbyt mocno przywiązani. Etienne uważał, że takie zaślepienie jest w złym tonie, zwłaszcza po tylu latach pożycia i wydaniu na świat sześciorga dzieci. Jest i dobra strona takiej głupoty -

wdowa szybko podąży za mężem w zaświaty, a jemu odpadnie konieczność wypłacania nawet tej skromnej pensji, którą zamierzał jej wyznaczyć.

Wszystko to okaże się niemożliwe, ta wspaniała perspektywa zniknie, jeśli Adrian pożyje na tyle długo, by wyprodukować następcę. Etienne'a nie stać dłużej na cierpliwe czekanie.

W skromnej wiosce Huntingdon mieściła się marna gospoda, w której często popasali dziwni goście związani z Hensley Court, nikt więc nie zwracał uwagi na postawę Francuza. Tutaj nie martwiono się nawet o francuskich szpiegów. Większość głupich Anglików nie bała się, że Etienne byłby gotów sprzedać ich przy pierwszej nadarzającej się okazji. Byłby, gdyby nie fakt, że tak zwany rząd francuski szybciej zatknąłby na pikę jego głowę niż któregokolwiek z nich.

Na szczęście znał Hensley Court i jego sąsiedztwo. Rozglądał się uważnie po okolicy podczas kilku pobytów z okazji tamtejszych zabaw. Będzie łatwo się ukryć, gdy zdecyduje, co konkretnie robić. Doszedł do wniosku, że popełnił błąd, myśląc, że problem sam dojrzeje do rozwiązania. Zamiast poddawać się bez oporu jego wpływowi, Adrian emancypował się. Bywało, że Etienne łapał go na przyglądaniu mu się z taką samą zimną wzgardą, jaką widywał w oczach Francisa. To doprowadzało go do furii.

Etienne całą winę za ten stan rzeczy przypisywał pannie Charlotte Spenser. Nie wiadomo, jak zdołała usidlić Adriana, faktem jest, że przestał się interesować kobietami podsuwanymi przez Etienne'a. Wiedziały, że mają obowiązek odwdzięczać mu się za tę przysługę, i robić to, co im kazał.

Sytuacja nie wyglądała dobrze. Konieczne są drastyczne kroki. Będzie musiał zabić oboje. Adriana, bo stał mu na drodze, pannę Spenser, aby wyeliminować choćby najmniej prawdopodobne niebezpieczeństwo, że nosi w łonie spadkobiercę rodu.

Spadkobiercę, który będzie takim samym bękartem jak on, a jednak Francis - Etienne był o tym przekonany - poruszy niebo i ziemię, żeby przekazać wnukowi tytuł i majątek. Angielski kuzyn zawsze stawiał na swoim. Etienne miał nadzieję, że utrata drugiego syna załamie go ostatecznie.

Czarę goryczy Francisa dopełni zapewne świadomość, że to Etienne odziedziczy po nim wszystko. Przyjemność oglądania smutnego końca kuzyna była dla Etienne'a na-

wet większa niż samo odziedziczenie majątku. Francis, ten zadufany w sobie snob, miał to, co prawnie należało się Etienne'owi. Zrzekł się francuskiego tytułu i francuskich włości na rzecz Etienne'a tuż przed zniesieniem we Francji arystokratycznych tytułów i konfiskatą majątków szlachty. Gdy Etienne uciekł do Anglii, Francis dołożył wszelkich starań, by go tu powszechnie nie lubiono. Zemsta będzie zaiste słodka.

Czasami Etienne zastanawiał się, jak do tego doszło.

Francis płacił za jego studia, a po ich zakończeniu kupił mu praktykę lekarską w Paryżu, co było tylko drobną rekompensatą za ukradziony tytuł. Mimo wszystko przez dziesiątki lat Etienne jako lekarz pomagał ludziom. Być może będzie mu to zapisane w dniu sądu ostatecznego, ale czy można mieć pewność? Nie bardzo wierzył w życie pozagrobowe.

Tym bardziej musi dostać w doczesnym życiu wszystko, czego pragnie.

- Podejrzewam, że ona jest w ciąży - stwierdziła strapiona Lina. - Wiesz doskonale, jakie to nieszczęście.

- Nie wiem - odparł Monty. - Nowe życie jest dziełem boskim. Potraktuj to jako nowe doświadczenie. Do diabła z socjetą.

- Masz rację. Może zamieszkałybyśmy z tobą? Charlotte będzie mogła mieć dziecko i stworzymy własną małą rodzinę.

- W której ja będę matką - odrzekł z krzywym uśmiechem Monty. - Nie jestem stworzony na ojca rodziny.

- Ależ jesteś dostoyny i władczy, jak przystało na patriarchę. Musisz się tylko trochę postarać. Nie będziesz się wylegiwać w takim łożu jak to. Jeśli mamy mieć dziecko, będziemy bardzo zajęci.

- Zrobię, co będę mógł. Naturalnie nie bierzemy pod uwagę Rohana.

- Skąd wiesz, że to jego. Leżysz chory od trzech tygodni.

- Sądzisz, że moja służba nie donosi mi o wszystkim? - oburzył się Monty.

- O wszystkim?

- Tak, o wszystkim. Myślę, że Rohan może mieć inne plany wobec Charlotte, moja droga Lino. Co nie oznacza, że nie chcę, żebyś się tu sprowadziła. Będiesz wspinała panią domu w Hensley Court. Dawno wyobraziłem sobie siebie w tej roli.

- Kochany jesteś. Wyjdę za ciebie. Będzie nam dobrze. Myślę, że seks nie jest taki ważny, jak twierdzą ludzie.

- Seks jest bardzo ważny, moja droga. Po prostu nie spotkałaś odpowiedniego partnera.

- Co ty wiesz?

- Wiem doskonale, jak wygląda prawdziwa miłość. Moja kochana, nie ożenię się z tobą. Zresztą, nie sądzę, by starczyło mi na to czasu, gdybym nawet chciał.

- Całe życie przed tobą.

Lina przesiadła się z krzesła na łóżko.

- Skoro tak mówisz... Jeśli jednak nie pozostało mi wiele życia, będę bardzo szczęśliwy, myśląc o tobie. Powinnaś mieć dużo dzieci.

Lina była bliska płaczu. Ostatnie słowa zasmuciły ją jeszcze bardziej.

- Ja nie mogę mieć dzieci, Monty.

- Myślę, że z odpowiednim mężczyzną będzie to możliwe.

- W takim razie muszę takiego poszukać.

- Ja się tym zajmę.

Lina pochwyciła wychudłą rękę Monty'ego.

- Myślisz, że Rohan i Charlotte mogą być szczęśliwi? - przerwała milczenie. - On jest hulaką i rozpustnikiem.

- Jego ojciec też był i zmienił się, gdy zakochał się we właściwej kobiecie. Adrian jest kubek w kubek jak jego ojciec. Spodziewam się, że on i Charlotte będą nieprzyzwoicie szczęśliwi i stworzą przykładowe stadło do późnej starości. Nie ma nic gorszego jak zreformowany hulaka. Popatrz na Simona. On skończy prawdopodobnie tak samo. Nie mogę wprost na to patrzeć - zakończył żartobliwie Montague.

- Obiecuję, że nie poprawię się do końca życia - odparła ze śmiechem Lina.

- Zobaczymy.



Charlotte przekręciła się na bok i przeciągnęła. Przez zamknięte okiennice sączyło się do środka światło słoneczne. W powietrzu migotały smugi rozświetlonego kurzu. Podparła się na łokciu i przyglądała się śpiącemu Adrianowi. Wodziła wzrokiem po sekretnych częściach jego ciała, tak odmiennego od jej ciała. Przepelniała ją radość życia i energia, chciało się jej tańczyć i śpiewać.

- Śpij - wymamrotał, nie otwierając oczu.

- Nie mogę, jestem za bardzo szczęśliwa.

Otworzył jedno oko.

- Cieszę się, że to sprawiłem. Jeśli pozwolisz mi się zdrzemnąć, to uszczęśliwię cię ponownie.

- Nie mogę...

Wyciągnął ramię i przytulił do siebie Charlotte.

- No dobrze - szepnął jej do ucha - teraz czy później, wszystko jedno.

Wysunęła się z jego objęć i usiadła.

- Lina podniesie alarm.

- Nie musi wiedzieć do czasu, aż będzie za późno.

- Za późno? Na co? - nie rozumiała.

- Pobierzemy się, to oczywiste - odrzekł Adrian. - Nie jest to najlepsze rozwiązanie; nie zamierzałem się żenić, ale jeśli inaczej nie można... Wygląda na to, że nie potrafię się obyć bez ciebie. To wymaga czasu. Aby wyzwolić się spod uroku ulubionej kochanki i zacząć jej mieć dość, potrzebowałem ponad dwóch lat. Spodziewam się, że z tobą też tak będzie.

Charlotte słuchała z nieporuszoną twarzą.

- A co stanie się potem? - spytała. - Jeśli się pobierzemy, nie odprawisz mnie z brylantową broszką.

Roześmiał się.

- Brylantowa broszka to za mało, żeby się uwolnić z takiego związku, moja droga. Dojdziemy do porozumienia, kiedy socjeta otrząśnie się z szoku. Gdy namiętność wygaśnie, znajdziemy sobie innych partnerów i wyobrażam sobie, że nadal pozostaniemy przyjaciółmi.

Przeszył ją zimny dreszcz.

- Ja też znajdę sobie innego partnera?

- Oczywiście. Sądzisz, że byłbym taki niesprawiedliwy i ci tego zabronił? Teraz za nic bym ci na to nie pozwolił, ale zmienię zdanie. Zawsze zmieniam.

- Zawsze zmieniasz - powtórzyła jak echo Charlotte.

- Wiesz, dlaczego przyjechałem tak późno? Postarałem się o zgodę na ślub bez zapowiedzi. Dał mi ją mój ojciec chrzestny, który, tak się składa, jest biskupem Londynu. Moglibyśmy nakłonić Pagetta, by udzielił nam ślubu.

- Nie zrobimy tego.

- Nie chcesz, żeby on udzielił nam ślubu? - Uniósł brew.

- Nie chcę, żeby on udzielił mi ślubu z tobą.

- Nie bądź śmieszna. Oczywiście, że chcesz.

- Nie - zaprzeczyła Charlotte. - Jesteś pozbawionym uczuć, aroganckim draniem.

Zasługuję na kogoś lepszego.

Patrzył na nią ze zdziwieniem, jakby nagle wyrosła jej druga głowa.

- Nie wierzę własnym uszom.

Charlotte wstała, nieskrępowana własną nagością, ściągnęła z sąsiedniego łóżka narzutę i starannie się nią owinęła.

- Jestem zasadniczo życzliwa ludziom, lecz nie dam się wykorzystać. Nic mnie nie zmusi do wejścia w taki zawarty na zimno związek. Doceniam wielkoduszność twojej propozycji, nie mogę jednak jej przyjąć w takiej formie. Wsadź ją sobie w tyłek. Zasługuję na coś lepszego. Nie chcę mieć do czynienia z kimś takim jak ty.

Ruszyła do drzwi, ciągnąc za sobą ciężką narzutę. Adrian wyskoczył z łóżka i zastawił jej drogę. Był wściekły i zdezorientowany.

- Nie myślisz rozsądnie, Charlotte. Z kimś innym tego nie doświadczysz, to coś wyjątkowego. Daję ci szansę zostania wicehrabiną, posiadania własnego domu i może nawet dzieci...

- Jesteś gotowy do wielkiego poświęcenia, żeby zaspokoić chwilową żądzę. Znajdź sobie kogoś innego.

Położyła dłonie na jego nagiej klatce piersiowej, oparła się chęci pogłaskania go i zepchnęła z drogi.

Nie stawiał oporu.

- Idź do diabła! - warknął. - Wiesz, ile kobiet dałoby wszystko, żeby być na twoim miejscu?

- W takim razie znajdź sobie jedną z nich i się z nią ożeń. O mnie zapomnij.

Wyszła na korytarz majestatycznym krokiem, przekonana, że ma rację. Zabłądziła w płątaniu korytarzy. Za trzecim niewłaściwym zakrętem zaczęło się jej zbierać na płacz, a gdy doszła do ślepo zakończonego korytarza, osunęła się na wytarty dywan i rozszłochała. Nawet nie miała czym obetrzeć łez, gruba lniana tkanina narzuty zupełnie się do tego nie nadawała. Leżała więc i płakała dopóty, dopóki nie znalazła jej Lina.

- Gdzie twoje ubranie?

- W... w... w... pokoju dziecięcym - odparła przez łzy Charlotte. W dodatku prześladowała ją czkawka. - Nie idź tam. On jest wściekły.

- On dopiero pozna znaczenie tego słowa - odparła gniewnie Lina. - Zrobił ci krzywdę?

- Nie. - Charlotte pokręciła głową.

Lina знаła rozkład domu tak samo dobrze jak Adrian. Szybko odprowadziła Charlotte do jej pokoju i oddała ją w ręce Meggie, która zaczęła od przygotowania kąpieli.

- Zostawił pani znaki na ciele. Mam nadzieję, że pani też go poznała.

Charlotte zamknęła oczy. Nie chciała o tym myśleć. Na ramieniu Adriana musiał pozostać znak po ugryzieniu i ślady po jej paznokciach na plecach.

- Nie martw się, droga - pocieszała ją Lina. - On się z tobą ożeni, co do tego nie ma dwóch zdań. Jeśli myśli, że się z tego wywinie, nie oświadczając ci się...

- Oświadczył się. Odmówiłam mu.

Zdziwienie Liny było nie mniejsze niż zdziwienie Adriana. W Charlotte znowu wstąpił buntowniczy duch.

- Dlaczego wszyscy uważają, że powinnam mu być wdzięczna za te ochłapy, które mi rzuca? Nie chcę małżeństwa, którego jedynym spoiwem jest krótkotrwała żądza, a potem tylko konwenanse.

- To nie musi tak wyglądać - zaprotestowała Lina.

- Ale wygląda. Właśnie to mi zaproponował. Był zdumiony, że odrzucam taką wspaniałomyślną ofertę. Chyba spodziewał się, że oszaleję z wdzięczności. Tymczasem nie oszalałam. Wolę los kobiety upadłej. Raczej poślubię śmieciarza i będę żyła w rynsztokach Londynu, niż wyjdę za tego... nadętego świńskiego pęcherza.

Lina spokojnie czekała, aż kuzynka da upust złości.

- Będziesz musiała za niego wyjść. Podejrzewam, że zaczniesz się powiększać.

Charlotte popatrzyła tępo, nie rozumiejąc, co Lina ma na myśli. Gdy dotarł do niej sens słów kuzynki, stwierdziła krótko:

- Nie. Absolutnie nie - podkreśliła.

Pomyślała o swoich zmiennych nastrojach, o poczuciu zmęczenia przeplatany przyływami energii.

- To niemożliwe - dorzuciła.

- Meggie twierdzi, że nie miałaś miesięcznego krwawienia. Tych kilka kropli może być potwierdzeniem ciąży. Jesteś ciągle zmęczona, zapach bekonu, którym do niedawna się objadałaś, przyprawia cię o mdłości. To na razie tylko podejrzenie, ale wszystkie oznaki na to wskazują. Musisz za niego wyjść.

- Tym bardziej nie. Nie zamierzam dać swojemu dziecku za ojca takiego... bałwana jak Adrian.

- Chcesz wydać na świat bękarta?

- Możemy wychować to dziecko razem. To znaczy, o ile mnie od siebie nie oddalisz za niemoralność.

Lina skwitowała słowa Charlotte śmiechem, był to raczej jednak śmiech przez łzy.

- Nie oddalę cię. Jeśli nie chcesz Adriana, to nie. Coś wymyślimy. Pojedziemy na kontynent albo na wieś na okres połogu. Nikt nie musi się dowiedzieć.

- Ja nie oddam dziecka - uprzedziła Linę Charlotte.

- Powiemy wszystkim, że zaopiekowałyśmy się sierotą. Nie martw się, kochanie, damy sobie radę.

Drzwi sypialni otworzyły się z hukiem. Stał w nich Adrian, ubrany, rozwścieczony do białej gorączki.

- Nie uznawałaś za stosowne poinformować mnie, że jesteś w ciąży?! - ryknął.
- Skąd wiesz? - zapytała Charlotte.
- Od Monty'ego. Chce poznać powód, dla którego odrzuciłaś moje oświadczenia.
- Nie kocham cię.

Charlotte zdawała sobie sprawę z tego, że nie powinna tego mówić, ale nie panowała nad złością. Adrian zaniemówił, po czym wybuchnął śmiechem.

- Co też ci przyszło do głowy? - zapytał. - Miłość nie ma nic wspólnego z tym, co nas połączyło. To zdrowa namiętność i powinniśmy się nią cieszyć tak długo, jak trwa, a potem...

- Dostyc! - wtrąciła Lina. - Sądzę, że tego nadto jak na jeden dzień. Charlotte musi odpocząć. Jeśli jest przy nadziei, a jeszcze nie mamy co do tego pewności, to musimy o nią zadbać wyjątkowo troskliwie.

Adrian nie dał się zbyć.

- Mówiłaś mi, że po powrocie do Londynu przez cały czas zabawiałaś się w różnych dzentelmenami. Na jakiej podstawie sądzisz, że dziecko jest moje?

Meggie położyła właśnie tacę z herbatą na kolanach Charlotte. Nie namyślała się długo. Cisnęła dzbankiem w stronę Adriana. Gorąca herbata rozprysła się po sypialni.

Nie drgnął, choć z rozciętego ostrą porcelaną policzka zaczęła się sączyć krew.

- Do diaska z tobą! - powiedział i wyszedł, trzasnąwszy drzwiami.

Lina nie wiedzieć czemu uśmiechnęła się półgębkiem, ale szybko przybrała poważną minę.

- Wyjaśnijmy sobie, najdroższa - odezwała się do Charlotte. - Nie chcesz za niego wyjść, bo on cię nie kocha, prawda?

- Słyszałaś. Miłość nie ma nic wspólnego z tym, co nas połączyło.

- Ale my wiemy, że jest inaczej, prawda? Ty go kochasz. Nie rozumiem dlaczego, ale szanuję twój wybór.

- To nie mój wybór. On mnie nie chce, bo mnie nie kocha, a ja go nie chcę, bo go kocham. - Charlotte dłużej nie potrafiła powstrzymać płaczu. - Dlaczego ciągle zbiera mi się na płacz? Nigdy się tak nie rozmazywałam.

- Jeszcze jedno potwierdzenie, że jest pani w ciąży, panno Charlotte - odezwała się rzeczowym tonem Meggie. - Ile razy moja mama zaszła w ciążę, chodziła po kątach i płakała. Ja myślałam, że płacze, bo nie chce jeszcze jednego bachora uczonego jej spódnicy, ale ona mówiła, że to taki płaczliwy stan. Pani jest w ciąży.

Tego było za wiele. Charlotte przewróciła się na brzuch i zalała łzami, które wsiąkały w poduszkę. Dopiero po dłuższym czasie zorientowała się, że Lina wyszła na palcach z pokoju.

TLR



## Rozdział dwudziesty drugi

Adrian zdążył dojść do stajni i zawrócić. Zaczyna mi to wchodzić w nawyk, pomyślał niezadowolony. Ona rzeczywiście posiadała zdolność doprowadzania go do stanu, w którym tracił rozum. Niech go trafi szlag, jeśli dopuści do tego, by jego dziecko urodziło się jako bękart! Ona nie chce! Do cholery, przecież nie będzie miała krzywdy. Dostanie tytuł, majątek i dobry seks. Czego jeszcze chce ta piegowata, ruda stara panna? Nie obchodzą go jej zachcianki.

A jeśli ona nie jest w ciąży?

Wracał do domu tak szybko, jakby całe jego przyszłe życie od tego zależało. Jeśli nie jest, to on się postara, żeby wkrótce była. Uzmysłowił sobie, że chciał, aby była ciążarna. Chciał, żeby nosiła jego dziecko. Wyobraźnia podsuwała mu obraz jej zaokrąglonej figury, ociążale poruszającej się kołyszącym krokiem, i ten obraz przepełniał go odczuciem graniczącym z dumą. No, może to za wiele powiedziane. Jednak jego ojciec doceni go za zapewnienie rodzinie dziedzica, o ile będzie to chłopiec, a matka, stale zamartwiająca się o niego, wreszcie trochę się uspokoi.

Naturalnie, marzeniem matki było, by on się zakochał. Mógłby spróbować ją oszukać, choć to nie takie proste. Matka lepiej niż ojciec orientowała się w jego matactwach. Argumentów nie brakowało. Bowiem czymże innym niż wielkim uczuciem da się wytłumaczyć nocny najazd na dom ojca chrzestnego i domaganie się specjalnego zezwolenia na ślub. A potem całonocną szaleńczą jazdę konną, i to zaledwie parę godzin po napaści, po której okulał. Wreszcie zaciągnięcie Charlotte do nieużywanego skrzydła domu i tam szaleńczy seks w biały dzień w dawnym pokoju dziecięcym.

Argumenty były przekonujące. Rzecz w tym, że Adrian nie był jeszcze gotów się przyznać sam przed sobą, jak bardzo potrzebował Charlotte.

Przed wejściem do domu spotkał Simona Pagetta, który właśnie wychodził. Był czymś zmartwiony.

- Pan naprawdę jest pastorem? - zaczepił go Adrian.

- Nie. Noszę koloratkę, bo zwalnia mnie od konieczności wyboru modnego fularu.

Czego pan chce, Rohan?

Adrian wyciągnął z kieszeni pogniecione zezwolenie na ślub i wręczył je Pagettowi. Ten przeczytał je ze zmarszczonymi brwiami.

- Jak się panu udało dostać coś takiego?

- To mój ojciec chrzestny.

- Data jest dzisiejsza.

- Wiem, człowieku. Poszedłem do starego i zbudziłem go zaraz po pańskim wyjściu. Nie był zadowolony. Nie spodziewam się hojnego prezentu ślubnego.

- Nie byłem świadomy, że pan nie wiedział o jej ciąży.

- Do jasnej cholery, to wszyscy wiedzieli o jej ciąży, tylko nie ja? - zdenerwował się Adrian.

- Skoro pan nie wiedział, to dlaczego postarał się pan o zezwolenie na ślub?

Adrian nie odpowiedział.

- Jeśli mam udzielić wam ślubu, potrzebuję odpowiedzi.

- Pan jest jak wrzód na tyłku. Sam pan nie był święty.

- Na poprawę nigdy nie jest za późno. No więc, dlaczego?

- Bo taką miałem fantazję.

- A panna Spenser się zgadza?

- Panna Spenser odmawia. Spodziewam się, że pan jej wytłumaczy, iż popełnia błąd.

- Obawiam się, że nie mogę tego zrobić. Życzę jej jak najlepiej. Wątpię, czy pan da jej szczęście.

- Na litość boską! - krzyknął doprowadzony do furii Adrian. - Czego pan ode mnie chce?

- Proszę dać mi znać, gdy pan zrozumie. Tymczasem mam inne ważne sprawy.

Już odchodził, gdy z domu wyszła Lina. Czarne włosy opadały w nieładzie na ramiona, na twarzy malowało się wzburzenie.

- Zabiję cię - powiedziała do Adriana.

- Nie zrobi pani tego. Proszę go zostawić w spokoju, lady Whitmore. On musi wszystko przemyśleć - wtrącił Pagett.

- Jak pan śmie pouczać mnie, co mam robić! - Jej wściekłość skierowała się na pastora. - To sprawa między mną a lordem Rohanem.

- Nie. To sprawa między Charlotte a lordem Rohanem. Pani nie ma tu nic do powiedzenia. W dodatku pani jest wszystkiemu winna. Przede wszystkim, nie trzeba było przywozić panny Spenser na to, delikatnie mówiąc, oryginalne spotkanie towarzyskie, żeby ktoś taki jak lord Rohan mógł ją upolować.

- Tego już za wiele! - zaprotestował Adrian, ale tych dwoje, zajętych kłótnią między sobą, nie zwracało na niego uwagi.

- Przywiozłam ją, bo chciałam jej unaocznic, jak bezwartościowi są mężczyźni. Była ciekawa, a ja sądziłem, że dobrze będzie, gdy się dowie, iż niczego nie traci.

- Chwalebny altruizm, lady Whitmore. Gdybym wiedział, że jest pani do niego zdolna, pomyślałbym o bardziej pożytecznym ukierunkowaniu pani chęci czynienia dobra.

- Niech pan się o to nie troszczy, sama potrafię się ukierunkować...

Adrian wszedł do domu. Chciał odnaleźć Charlotte. Podniesione głosy Liny i pastora nie milkły.

- Dlaczego mnie pan pocałował? - zapytała Lina.

Niewzruszony zazwyczaj pastor wydawał się mocno wytrącony z równowagi.

- O ile sobie przypominam, to pani zaczęła. Oceniam pani zachowanie jako wielce niestosowne - dodał.

- Ja zaczęłam, a pan skończył.

- Sądziłem, że potrzebuje pani lekcji.

- Lekcji! Czego? Całowania? Zapewniam pana, że całowałam bardzo wielu mężczyzn.

- Wiem, jaką ma pani reputację, lady Whitmore. Jestem pewien, że straciła pani rachubę, ilu mężczyzn pani... całowała.

- A co to pana obchodzi?

- Absolutnie nic.

Idioci, pomyślał Adrian. Pobiegł marmurowymi schodami na górę, po dwa stopnie naraz.

Z impetem otworzył drzwi do sypialni Charlotte. Leżała w łóżku. Stał nad nią.

- Wyjdiesz za mnie. Nie masz nic do powiedzenia w tej sprawie. Moje dziecko nie będzie bękartem.

- Moje dziecko nie będzie miało za ojca samolubnego, pozbawionego wyższych uczuć, lubieżnego trolla, który...

- Trolla? - powtórzył. Stracił wątek. - Tylko nie trolla, wypraszam sobie.

- Owszem, trolla. Nie chcę cię.

- Nie masz wyboru. To moje dziecko i nie urodzi się poza małżeństwem. Rozmawiałem z Pagettem. Szósta godzina w kościele parafialnym. Nie chcę słyszeć sprzeciwu. Jeśli nie przyjdiesz, zawlekę cię za włosy.

Sięgnęła po najbliższą rzecz, która była pod ręką, ciężką książkę. Rzuciła w niego, ale zdążył się uchylić. Był już i tak porządnie pokiereszowany.

Adrian postanowił, że nie daruje Charlotte. Musi za niego wyjść. Doprowadzała go do szaleństwa. Nie zazna spokoju dopóty, dopóki nie zaciągnie jej do łóżka, i to legalnie.

Na razie była zbyt rozwścieczona. Wolał nie próbować.

Charlotte długo nie mogła dojść do siebie. Jak on śmiał wpaść do jej pokoju i rozkazywać jej?

Naprawdę myślał, że ona pojawi się w kościele? To niedorzeczne.

Wstała z łóżka. Meggie poszła po jej ubranie pozostawione w pokoju dziecięcym, więc Charlotte szybko włożyła inną suknię. Nie chodziło o to, że nie wierzyła w skuteczność ochrony przed Rohanem ze strony Liny. Rzecz w tym, że kuzynka miała własne kłopoty z Simonem Pagettem. Najlepiej byłoby, uznała, na jakiś czas zniknąć z Hensley Court.

Łatwo pomyśleć, trudniej zrobić. W domu kręciło się mnóstwo służby. Gdyby ktoś zauważył, że ona się wymyka, z pewnością doniósłby o tym Rohanowi. Musi wyjść niby na spacer, a potem zmieni kierunek. Wioska znajdowała się zaledwie o dwie mile od dworu, a w niej był zajazd dylizansów pocztowych. Zapewne jest co najmniej jeden kurs dziennie do Londynu, rozważała Charlotte. Wróci do miasta, a potem coś się wymyśli. Przynajmniej taką miała nadzieję.

Hol był pusty. Z niewinną miną schodziła na dół, gotowa się zerwać do ucieczki, gdyby pojawił się Adrian. Dopisało jej szczęście, bo nie napotkała nawet Dodsona, a całe zastępy lokajów Monty'ego też chwilowo gdzieś się zapodziały. Nie próbowała wychodzić drzwiami frontowymi. Przeszła do biblioteki, z której można było wyjść na taras i dalej do ogrodu.

Szła wzdłuż murowanego ogrodzenia. Serce biło jej z podniecenia. Za zakrętem wpadła na postawnego mężczyznę. Krzyknęła z przestachu, ale zaraz uspokoiła się, ponieważ go rozpoznała.

- Pan de Giverney - powiedziała, zastanawiając się, co tu robi kuzyn Adriana.

- Hrabia de Giverney - sprostował. - Rząd francuski zniósł arystokratyczne tytuły, ale ja wciąż jestem przywiązany do swojego.

- Oczywiście. Przepraszam. - Przeklinała w duchu jego próżność. Nie miała czasu do stracenia.

- Jestem tu, żeby pani pomóc, *mademoiselle* Spenser.

Charlotte nie zamierzała z nim rozmawiać, ale jego słowa ją zainteresowały.

- Jak pomóc, milordzie? - zapytała obojętnie.

Korciło ją, aby obejrzeć się za siebie. Adrian zapewne już zauważył jej zniknięcie i, jak tak dalej pójdzie, zaraz zacznie jej szukać.

- Chce pani uciec od mojego kuzyna, prawda? Dobry z niego chłopak, ale narwany. Domyślam się, że się pokłóciliście.

Nie lubiła Etienne'a de Giverney i nie ufała mu. Jeśli jednak zamierza zniknąć, zanim Adrian zacznie jej szukać, będzie musiała przyjąć oferowaną pomoc.

- Tak - przyznała. - On przymusza mnie do małżeństwa, a ja tego sobie nie życzę.

- Ach, tak? Ułatwię pani ucieczkę, *mademoiselle* Spenser.

Przyjrzała mu się podejrzliwie. Dlaczego ten człowiek miałby jej pomagać? Jest krewnym Adriana; czy nie powinien trzymać jego strony?

Nie miała wyboru.

- Będę wdzięczna za pańską pomoc, *monsieur* - powiedziała uprzejmie.

Uśmiechnął się po ojcowsku. Ten uśmiech obejmował mięsiste usta, nie dotarł jednak do oczu. Może Francuzi uśmiechają się inaczej niż Anglicy? - zadała sobie w duchu pytanie.

- A więc do dzieła. *En avant!* Proszę za mną, wywożę panią tam, gdzie nikt pani nie znajdzie.

- A dokąd, panie hrabio? Mogę wiedzieć?

Uniósł jej dłoń do ust. Miała chęć wyrwać mu ją.

- Proszę zostawić to mnie, *mademoiselle*. Niech mi pani wierzy, potrafię być całkiem pomysłowy. Choćby Adrian stanął na głowie, nie znajdzie pani.

- Jak pan to zrobi? Wcześniej czy później dowie się, gdzie jestem.

Uśmiechnął się dobrotliwie. Z jego uszu, nosa, na szyi spod fularu wystawały kępy czarnych włosów. Napawał Charlotte obrzydzeniem. Wiele ją kosztowało, by mu tego nie okazać. W dodatku oddech miał przepojony dziwnymi przyprawami kulinarnymi, robiło się jej słabo od tego zapachu.

- Nie dowie się, *mademoiselle*. Proszę się Zastanowić, co to może być za miejsce, gdzie nikt pani nie znajdzie? Obawiam się, że grób.

Adrian nigdzie nie mógł znaleźć Charlotte. Służba też była bezradna. W krótkim czasie między jego wtargnięciem do pokoju Charlotte i postawieniem jej ultimatum a przyniesieniem przez Meggie spóźnionego lunchu Charlotte zniknęła. Po prostu rozplynęła się w powietrzu. Pozostawiła jedynie napisaną na kolanie kartkę dla Liny.

W pierwszej chwili zastanawiał się, czy go nie okłamują. Czy to nie zmowa umożliwiająca Charlotte ucieczkę przed straszliwą karą, jaką byłoby małżeństwo z wyrozumiałym i dobrotliwym mężem. Wszyscy byli jednak równie zdezorientowani jak on. Lina i pastor zaprzestali nawet toczenia swoich dotychczasowych wojenek, połączeniu wspólną troską o los Charlotte. W jego przypadku troska graniczyła z panicznym strachem o jej bezpieczeństwo.

Odniósł wrażenie, że stąpa po kruchym lodzie i nie wie, kiedy z powrotem znajdzie się na twardym gruncie. Nie potrafił się oprzeć wrażeniu, że w powietrzu wisi coś bardzo



złego. Bezczytność doprowadzała Adriana do szaleństwa. W pewnym momencie Monty, za pośrednictwem lokaja, zaprosił go do swojej sypialni.

Przyjaciel miał poszarzałą twarz i jakby się skurczył w sobie. Leżał z zamkniętymi oczami Adriana ogarnęło przerażenie, że Monty nie żyje. On jednak otworzył oczy, a na jego twarzy pojawił się cień dobrze Adrianowi znanego, lekko ironicznego uśmiechu.

- Musisz ją odnaleźć - powiedział tak cicho, że Adrian zastanawiał się, czy się nie przesłyszał.

- Skąd wiesz, że uciekła? Głupie pytanie. Wiedziałeś, że z nią spałem i że jest w ciąży. Czy jest coś takiego, o czym byś nie wiedział?

- Nie mam pojęcia, gdzie ona jest. Nikt nie zauważył, jak wychodziła. Jeden z ogrodników mówił, że kilka godzin temu widział ją na końcu ogrodu, pod murem. Rozmawiała z wysokim mężczyzną. To byłeś ty?

Rohan pokręcił przecząco głową.

- Nie. Nie chce za mnie wyjść, a jak próbuję o tym pogadać, rzuca we mnie różnymi przedmiotami.

- Drogi przyjacielu, odnoszę wrażenie, że spartaczyłeś. Co mnie dziwi, albowiem zawsze radziłeś sobie z rozgniewanymi kobietami. Oczywiście, to specyficzny przypadek.

- Bo jest ciężarna?

Monty westchnął.

- Jak możesz być taki tępy! Uważałem cię za człowieka wybitnie inteligentnego. Oczywiście z wyjątkiem tych momentów, kiedy byłeś pod wpływem swojego kuzyna Etienne'a. Teraz zachowujesz się jak bałwan i w tej sytuacji nie mogę sobie pozwolić na to, żeby spokojnie umrzeć. Gdzie twój rozum?

- Do czego pijesz? Radzę sobie ze swoim życiem całkiem nieźle - powiedział urażony Adrian.

- Tak, ostatnio właśnie to zademonstrowałeś. Co ja z wami mam! Evangelina durzy się w Simonie, Simon wzdycha do niej jak do podlotka. Przynajmniej jest tego świadomy, w przeciwieństwie do Liny, która jeszcze nie zauważyła, że jest zakochana.

- Lady Whitmore zakochana w pastorze? - Adrian na chwilę zapomniał o własnych kłopotach. - Kto by pomyślał.

- Ty też nie jesteś lepszy. Charlotte jest kompletnie ogłupiała na twoim punkcie, zupełnie nie wiadomo dlaczego. Co prawda, jesteś niebrzydki, ale panna Spenser jest zanadto inteligentną kobietą, aby się kierować wyłącznie względami estetycznymi.

- Rzecz nie w mojej urodzie. Ona myśli, że nie jestem takim rozwiązłym i zepsutym do szpiku kości draniem, za jakiego pragnę uchodzić.

- Wspominałem, że jest inteligentna, prawda? Ty, z drugiej strony, jesteś kompletnym idiotą. Nigdzie nie znajdziesz drugiej kobiety wartej choćby połowę tego co Charlotte. Tymczasem kręcisz się w kółko, zupełnie nieświadomy własnych uczuć.

- Jakich uczuć?

- Nieważne. - Montague'a zaczynała nużyć rozmowa. - Nie wiesz przypadkiem, gdzie teraz podziwia się Etienne de Giverney? - zmienił temat.

Adrian najeżył się.

- Błagam cię, nie zachowuj się jak moi rodzice i nie tłumacz mi, jakim zagrożeniem dla mojego zdrowia jest zadawanie się z Etienne'em. Uważam, że masz szersze horyzonty, jeśli chodzi o folgowanie własnym upodobaniom. Kuzyn mnie bawi.

Nie było to do końca prawdą. Adrian był zmęczony towarzystwem kuzyna i jego ustawiczną gonitwą za rozrywkami, które pozostawiały po sobie niesmak. Prędzej jednak dałby się żywcem pokroić, niż do tego przyznać.

- Powinieneś wiedzieć - kontynuował - że gdy jechałem do ciebie, wyraźnie mi powiedziałem, iż nie życzę sobie jego towarzystwa. Próbowiał nalegać, powołując się na swoją sympatię do ciebie, ale ja, wbrew temu, co twierdzisz, nie jestem idiotą. On ciebie nie cierpi, podobnie jak ty jego, o ile wiem.

- Cieszę się, że to dostrzegłeś.

- Prawdę powiedziawszy, żał mi go. Utracił wszystko. Żyje na obczyźnie uzależniony od hojności mojego ojca, który nigdy go nie lubił.

- Ale ty go nie przywiozłeś?

- Nie. Mam go dość - przyznał Adrian. - Dlaczego pytasz?

- On jest wysokiego wzrostu, prawda? Wie, gdzie przebywacie, ty i Charlotte. W dodatku nienawidzi ciebie.

Adrian roześmiał się, choć niepokój zakradł się do jego duszy.

- Absurd, Monty. Ja go wprowadziłem na salony, dzięki mnie jest tolerowany w towarzystwie. Zawdzięcza mi swoją pozycję. Mojemu ojcu również.

- Nienawidzi twojego ojca tak samo jak ciebie. Nikt nie lubi być czyimś dłużnikiem przez całe życie. Jak myślisz, dlaczego twoja cudowna dziewczyna postanowiła uciec? Nie doceniła twojej szlachetnej ofiary.

- Nigdy tak nie stawiałem sprawy. Używałem argumentów rozumowych. Musisz wiedzieć, że oświadczyłem się jej, zanim dowiedziałem się o jej odmiennym stanie.

- Powiedziałeś jej, że powinniście się pobrać. Wciąż nie pojmujesz, dlaczego tak żałośnie zawiodłeś jej oczekiwania?

- Chyba nie spodziewała się deklaracji miłości i wierności do grobowej deski?

- Coś mi się wydaje, że właśnie tego się spodziewała.

Adrian zamilkł.

- Teraz sprawą najważniejszą jest odnalezienie jej - odezwał się po namyśle. - O nasz ślub możemy się sprzeczać później. Jeśli wiesz, dokąd się udała, na litość boską, powiedz.

- Myślę, że ma to związek z Etienne'em.

- Dlaczego?

- Z wielu powodów. On nie jest twoim przyjacielem. Etienne de Giverney, jakiego poznałem za młodu w Paryżu, nie jest zdolny do przyjaźni. On usuwa wszelkie przeszkody na drodze do osiągnięcia upragnionych celów. Uważam, że wbił sobie do głowy, iż zrekompensuje sobie utratę francuskiego tytułu i francuskich majątków tytułem angielskim i angielskimi posiadłościami. Jest gotów na wszystko, aby je zdobyć.

- Zawsze tak było. Nie jestem kompletnym durniem.

- Tylko w części. Przyznaję, że nie doceniłem jego determinacji, inaczej wcześniej bym cię ostrzegł. Stoisz mu na drodze. Twój przyszły syn również. Gdybym był na twoim miejscu, nie czekałbym z założonymi rękami, aż Charlotte sama się odnajdzie.

- Uważasz, że Etienne ją uprowadził? - spytał Adrian.

Strach o bezpieczeństwo Charlotte powrócił.

- Czy nie dość już powiedziałem? - zaczynał nie na żarty niecierpliwie się Montague. - Nie pozostało mi dużo czasu i energii, nie chcę tracić tych resztek na rozwiązywanie problemów życiowych przyjaciół, którzy sami wpakowali się w tarapaty. Zamierzam zakończyć życie ze świadomością, że ich sprawy zmierzają w dobrym kierunku. Byłbym niepokieszony, gdyby coś przytrafiło się Charlotte. To by mnie przybiło. Jeśli mam umierać przedwcześnie, to niech przynajmniej umieram szczęśliwy.

- Nic nie przytrafi się Charlotte. Znajdę ją i zmuszę do ślubu.

Montague zamknął oczy. Był już naprawdę znużony.

- Nie będę żył wiecznie, drogi chłopcze. Przestań być taki uparty. Kochasz tę dziewczynę. Przyznaj się i idź jej to powiedzieć.

Adrian nie był zadowolony, ale nie oponował.

- Dokąd Etienne mógł ją wyprowadzić?

- Mnie pytasz? Nie mam pojęcia, co mu strzeliło do głowy. Do tej pory mógł już ją udusić i wrzucić do kanału. A ty wciąż łechcesz swoją urażoną ambicję.

- To niemożliwe! - przeraził się Adrian.

- Myślisz, że on nie jest do tego zdolny?

- Nie. Wierzę, że jest do tego zdolny, tyle że ja wiedziałbym, gdyby Charlotte nie żyła.

- Doprawdy? Nie zaprzeczysz chyba, że aby coś takiego wiedzieć, musiałyby cię łączyć z nią szczególna więź?

- Będziemy dyskutować, czy ją kocham, czy nie, gdy ona będzie bezpieczna.

- To przynajmniej krok w dobrym kierunku. Dopuszczasz taką możliwość, podczas gdy każdy głupi widzi wyraźnie, że jesteś opętany przez tę dziewczynę. Zresztą, dzięki temu jestem spokojniejszy o twoją przyszłość. Gdy się nad tym zastanawiam, dochodzę do wniosku, że Etienne mógł ją uprowadzić w dwa miejsca. Mógł ją wywieźć do Londynu - ona prawdopodobnie sama chętnie by z nim pojechała, żeby uciec przed twoimi niefortunnymi oświadczeniami. Mógł ją też zaciągnąć w ruiny opactwa. Tam jest dosyć ustronnych miejsc. Przyślij mi Dodsona, każe zorganizować poszukiwania.

Rozmowę przerwało pojawienie się młodego lokaja.

- Wasza lordowska mość wybaczy, jakiś dżentelmen zostawił wiadomość dla wicehrabiego Rohana.

Adrian nie potrafił opanować strachu. Ręka wyciągnięta po złożoną kartkę papieru drżała. Natychmiast rozpoznał gryzmoły Etienne'a.

*Twoja narzeczona czeka na terenie opactwa, w kaplicy. Sugeruję, żebyś natychmiast przyszedł. Sam.*

Spojrzał tylko na Monty'ego i wyszedł bez słowa.

TLR

## Rozdział dwudziesty trzeci

Ciemność wydawała się zrazu nieprzenikniona. Charlotte wyczuwała tylko zapach. Tak mogły pachnąć ogień i siarka piekielna. Nie potrafiła sobie dokładnie przypomnieć, co się z nią działo. Biegła. Uciekała przed czymś. Dlaczego teraz nie może się poruszać? Coś okrywało jej głowę, zasłaniało światło. Próbowwała strząsnąć to coś.

Wtedy usłyszała szyderczy śmiech, taki sam, jaki zapamiętała z labiryntu w Ranelagh Gardens. Chciała się odezwać, ale nie mogła, była zakneblowana. Potrząsała głową, by pozbyć się knebla. Znowu usłyszała ten śmiech.

- Przeszkadza ci, moja pieszczotko? Gdybyś miała rozum i rozwalila sobie głowę o kamień, kiedy zepchnąłem cię ze skarpy, nie przechodziłabyś przez to teraz.

Etienne. To on ją popchnął. Poczula ulgę. Podejrzanie, że Adrian usiłował ją zabić, musiało ciągle tkwić w jej podświadomości, choć je odrzucała. Teraz znikło. Była skrupowana sznurem, nogi i ramiona zostały przywiązane do krzesła, na którym siedziała. Zaczęła się kołysać i natychmiast ciężka dłoń uderzyła ją w twarz.

- Jak będziesz grzeczna, zdejmę ci kaptur z głowy, zobaczysz, gdzie jesteś.

Charlotte przestała się kołysać, więc jej prześladowca zrobił, co obiecał. Rozejrzała się wokoło. Miejsce przypominało wnętrze kościoła. Może Etienne jest z Adrianem w zмовie i przyprowadził ją do wiejskiego kościoła, gdzie zostanie zmuszona do ślubu? Po chwili zauważyła, że krzyż jest odwrócony, zamiast ołtarza znajduje się łożo, a witraże w oknach są obsceniczne. Dość blisko stał koksownik, w którym płonął ogień. Promieniowało od niego dobroczynne ciepło w przesyconym wilgocią wnętrzu. To prawdopodobnie bluźniercza świątynia, Lina opowiadała o niej.

Odkręciła głowę do tyłu. Etienne de Giverney siedział na brzegu stołu, kołysząc nonszalancko nogą. Charlotte miała nas końcu języka epitety, którymi chętnie by go obrzuciła, uniemożliwiał to jednak knebel. Niemożność pofolgowania językowi była nawet gorsza niż krepujące ją więzy.

- Nie martw się, *mademoiselle*. Nie będziesz tkwiła w tym godnym pożałowania stanie wiecznie. Twój szlachetny rycerz zaraz wyruszy na ratunek. Będziesz miała szansę



umrzeć w jego ramionach, jak przystało prawdziwej heroinie. Proszę zachować spokój, inaczej znowu będę zmuszony cię uderzyć.

Nic nie odpowiedziała. Zaczęła dokładniej przyglądać się wnętrzu. Była to budowla względnie nowa, wzniesiona z drewna. Ciekawe, co powiedziałby Simon Pagett, gdyby zobaczył to miejsce. Pod ścianami rozmieszczone były wiązki drewna. Charlotte wyraźnie wyczuwała ich żywiczny zapach. Miejsce było przygotowane do podpalenia. Byłby w tym palec przeznaczenia: bluźniercza kaplica ginie w pożodze.

Obejrzała się i napotkała beznamiętny wzrok Etienne'a de Giverney. Uśmiechał się niemal przyjaźnie.

- Tak, to będzie bardzo smutny wypadek. Para kochanków ginie w ogniu. Wielka tragedia, prawda? Nie? Odnoszę wrażenie, że bardzo chciałabyś coś mi powiedzieć, ale na razie nie wyjmę knebla. Obawiam się, że mam niewrażliwe serce, łzy i prośby nie poruszyłyby mnie. Odwrotnie, jeszcze bardziej by mnie zirytowały.

Charlotte bardzo się bała, ale w tej chwili wściekłość wzięła górę nad strachem. Miałaby prosić go o litość? Niedoczekanie! Chciała, żeby wyczytał to z jej wzroku. On jednak siedział niewzruszony.

- To nie potrwa długo, *mademoiselle*. On tu zaraz zaszarżuje na białym koniu. Nie zrobi tego? Koń nie przepłynie wpływ strumienia? Nie szkodzi. I tak spodziewam się z jego strony wiele bohaterских deklaracji, zanim go zabiję. Coś słyhać, chyba nadchodzi.

Charlotte wyteżyła słuch. Zaczęła ponownie kołysać krzesłem. Chciała, żeby hałas ostrzegł Adriana. Reakcja Etienne'a była zdumiewająca.

- Tu jesteśmy, drogi chłopcze. Twoja ukochana czeka! - zawołał.

Charlotte spodziewała się, że Adrian wpadnie do środka z impetem, tak jak wcześniej wparował do jej sypialni. Zaparła się nogami o podłogę, przygotowana do zerwania się do ucieczki po uwolnieniu z więzów.

Tak się nie stało. Otworzył drzwi powoli i wszedł spokojnym krokiem.

- Etienne - jego głos brzmiał przyjaźnie - co to wszystko znaczy?

De Giverney roześmiał się.

- Nie powinieneś być zaskoczony. Gdybyś słuchał ojca, wiedziałbyś, że ja nigdy nie rezygnuję, jeśli mi na czymś zależy. Ale czy uparty młodzieniec słucha przestrog starszych? Radzę ci, odłóż pistolet na krzesło. Ja mam swój wymierzony w *mademoiselle* Spenser. Ona umrze, zanim zdążysz nacisnąć spust.

Adrian wyjął spod surduta pojedynkowy pistolet i powoli odłożył na wskazane miejsce.

- Naturalnie, wiedziałeś, że będę musiał spróbować.

- Naturalnie.

- Jak zdołam cię przekonać, żebyś wypuścił pannę Spenser? Ona nie ma nic wspólnego z porachunkami między naszymi rodzinami.

- Ależ ma. Przecież spodziewa się potencjalnego dziedzica. Od pierwszej chwili, gdy się w niej zadurzyłeś, wiedziałem, że będzie stanowiła problem. Wcześniej próbowałem się jej pozbyć. Gdybym teraz pozwolił jej odejść, nie tylko twój ojciec przełałby wszelkie prawa do dziedziczenia na jej dziecko, lecz także pozostawiłbym świadka. Wszyscy prędzej uwierzyliby głupiej angielskiej dziewczynie niż znieawidzonemu Francuzowi, czyż nie?

Głupia angielska dziewczyna, pomyślała dotknięta do żywego Charlotte.

Adrian musiał wyczuć, co przyszło jej do głowy.

- Wierz mi, niemożność wygarnięcia ci, co o tobie myśli, jest dla niej prawdziwą torturą. Ona umiera z chęci, by ci to powiedzieć.

- Umiera. Śmiem twierdzić, że to właściwe słowo. Zbliź się i rozwiąż ją, ale zrób to tak, żebyś się nie znalazł na linii strzału.

- Uwolnisz ją?

- Nie bądź głupi, Adrianie. Poruszaj się powoli. Wolałbym do ciebie nie strzelać, ale jestem gotowy to zrobić w każdej chwili.

Charlotte uniosła wzrok na stojącego nad nią Adriana. Znajdował się tyłem do Etienne'a. Na jego twarzy wyczytała żal, poczucie ogromnej winy i tęsknotę.

- Czy mogę się do niej odezwać? - zapytał.

- Proszę bardzo. Nie licz tylko na to, że ci odpowie. Mam niewielkie zrozumienie dla romantycznych deklaracji.

Adrian ukląkł przed Charlotte i zaczął rozwiązywać sznur kępujący kostki u nóg.

- Przepraszam, że cię w to wplątałem, słodka Charlotte - szepnął. - Gdybym wiedział, że w naszej rodzinie coś takiego może się wydarzyć, nigdy bym się do ciebie nie zbliżył.

Etienne wydał pomruk gniewu, ale zaraz się roześmiał.

- To nieprawdopodobne. Jesteś za bardzo do mnie podobny, Adrianie. Bierzesz, co chcesz, nie bacząc na konsekwencje.

Charlotte miała już wolne nogi. Adrian zaczynał teraz rozwiązywać jej nadgarstki.

- Ani trochę nie jestem do ciebie podobny. Nie jestem żalonym starym człowiekiem, który zmarnowane życie chce sobie wynagrodzić skradzionymi tytułami i majątkami - oznajmił głośno i zniżył głos: - Gdy się odwrócę, padnij na podłogę i leż bez ruchu.

Charlotte raczej domyśliła się, niż dobrze usłyszała, albowiem Adrian powiedział to bardzo cicho. W odchylonej po lewej stronie zauważyła zatknięty mały pistolet. Wydała nieartykułowany dźwięk protestu. Był, według jej oceny, bezużyteczny wobec wielkiego pistoletu, z którego mierzył Etienne. Adrian umrze na jej oczach, a ona tego nie znieśie. Kocha go - było za późno, aby temu przeczyć. Była idiotką, że odrzuciła jego propozycję!

- Co tam kombinujecie? - Usłyszała zaniepokojony głos Etienne'a. - Chyba nie planujecie czegoś głupiego? Odsuń się, żebym mógł widzieć naszą niezłomną pannę.

Adrian posłuchał. Cały czas starał się być tyłem do Etienne'a. Jedną ręką rozwiązywał więzy Charlotte, drugą sięgnął do pistoletu. Charlotte uniosła wzrok na Etienne'a i zamarła ze zgrozy: mierzył prosto w plecy jej ukochanego.

Postanowiła działać. Zerwała się na nogi, ramieniem trąciła w brzuch Adriana, żeby usunąć go z linii strzału. W zamkniętym pomieszczeniu huk wystrzału był ogłuszający. Oboje runęli na ziemię. Charlotte poczuła piekący ból w ramieniu, kiedy padała na Adriana. Zepchnął ją z siebie. Wciąż trzymał ten bezużyteczny mały pistolet, który wprost ginął w jego dłoni.

Charlotte wydawało się, że słyszy drugi wystrzał, a może to było tylko echo pierwszego. Adrian przyciskał ją wolną dłonią do podłogi. Wyczuła, że drgnął, pomyśla-

ła, że został trafiony, że Etienne go zabił. Krzyknęła, choć jej krzyk tłumiał knebel. Była w nieopisanej rozpaczy. Nie daruje, zabije go...

Próbowała się podnieść, ale była strasznie słaba, a na dodatek silne ręce przyciskały ją do podłogi. Ręce Adriana. Wnętrze wypełniał dym z wystrzałów. Była ogłuszona strzelaniną. Leżała na plecach, zdezorientowana. Widziała, jak Adrian wstaje, gibki i pełen gracji jak zawsze. Chciała krzyknąć, aby tego nie robił.

Czuła zapach krwi. Adriana czy Etienne'a? Gorszy od zapachu krwi był unoszący się w powietrzu nieznośny odór śmierci. Na szczęście Adrian wciąż żył. Ruszał się. Charlotte podparła się wciąż związanymi dłońmi i usiadła. Etienne de Giverney leżał na podłodze z rozwartymi nogami, na środku jego czoła widoczny był otwór od niewielkiej kuli. Obok leżał jego pistolet. Adrian podniósł go i stanął nad kuzynem. Kopnął go kilkakrotnie, aby sprawdzić, czy leżący żyje. Nigdy jeszcze nie widziała go tak wściekłego.

- Jak śmiałaś! - wrzasnął. - Nosisz moje dziecko! Jak śmiałaś tak się narażać!

Ręce miała wciąż związane, udało się jej jednak wypluć z ust knebel. Uniosła się do klęku.

- Ty draniu! Nic cię nie obchodzi, czy żyję, czy nie. Masz na uwadze tylko bezpieczeństwo swojego drogocennego następcy. Idź do diabła, ty samolubny, wyprany z wszelkich ludzkich uczuć łajdaku! I pomyśleć, że próbowałam ocalić twoje bezwartościowe, cholerne życie.

- Po co?

- Jak to po co?

Chciała wstać, zamiast tego, znowu upadła. Czuła się bardzo słaba, okropnie piekło ją ramię - i była bardzo zmęczona.

- Niby po co miałabyś próbować ocalić moje bezwartościowe, cholerne życie?

Zastanawiała się, czy to nie najodpowiedniejszy moment, aby zemdleć. Wtedy uniknie odpowiedzi. Przecież jest w ciąży i od rana nic nie jadła. Padła ofiarą uprowadzenia ze strony szaleńca, który omal nie pozbawił jej życia. To wystarczające powody, żeby nawet najsilniejsza kobieta, a za taką się miała, mogła zemdleć. Ale gdzie są te zawroty głowy, gdy człowiek ich potrzebuje?

- Bo cię kocham! - wykrzyknęła. - Nie zasługujesz na to. Nigdy za ciebie nie wyjdę, ale czy mi się to podoba, czy nie, nie chcę, żebyś umarł. Chyba cięża tak działa na umysły kobiet i zrobię wszystko, by jak najszybciej odzyskać zdrowy rozsądek.

Patrzył i nic nie mówił. Życie byłoby dużo prostsze, gdyby Adrian nie był tak urodziwy, pomyślała Charlotte. Była w żalonym stanie, bo gdy na niego patrzyła, topniało w niej serce. Powinna zamknąć oczy, ale wtedy całe wnętrze zaczynało tańczyć wokół niej, a ostatecznie postanowiła nie mdleć. Przybrała odpowiednio rozeźloną minę.

- Ty krwawisz, Charlotte! Ten łotr cię postrzelił.

- Och - westchnęła.

Jako ranna mogła sobie pozwolić na zemdlenie. Szkoda, że nie wiedziała tego trochę wcześniej. Nie musiałyby mówić Adrianowi, że go kocha. Przynajmniej teraz nie musiała mówić już nic więcej.

Spokojnie osunęła się w ciemność.

TTLR

## Rozdział dwudziesty czwarty

Tego tylko brakowało, jakby wszystkich nieszczęść było mało, pomyślał Adrian, siadając przed trybunałem, który na niego czekał w bibliotece Hensley Court. Nawet Monty kazał się przynieść, chociaż Adrian przypuszczał, że przyjaciel zrobił to raczej, żeby się zabawić jego kosztem, niż go osądzać.

Niósł nieprzytomną, krwawiącą Charlotte w stronę pomostu, gdy z naprzeciwna nadbiegli Pagett, Dodson, pół tuzina służących i - ku jego bezbrzeżnemu zdumieniu - jego własny ojciec. Nie oddał im bezwładnego ciała Charlotte ani wtedy, ani w łodzi. Przyciskał ją do piersi, podczas gdy Pagett rozrywał rękaw sukni, aby prowizorycznie opatrzyć ranę, która na szczęście okazała się powierzchowna. Gdyby nie wbity weń zimny, potępiający wzrok ojca, Adrian chyba by się rozplakał. Przez całą dalszą drogę do dworu niósł Charlotte, nie bacząc, że plamił go jej krew, i oddał ją dopiero wtedy, gdy znalazły się nosze, na których mógł ją złożyć.

Zauważył, że w pewnym momencie na łodzi odzyskała przytomność, lecz nie otworzyła oczu, a on nie miał jej tego za złe. On też chętnie by zemdleł, byle nie widzieć karcącego spojrzenia ojca.

W tej chwili Charlotte była bezpieczna, opatulona kołdrą we własnym łóżku. Przy niej czuwała jego matka. Przynajmniej ona nie weźmie udziału w spektaklu wydzierania z niego wątroby i rzucania jej na pożarcie wilkom.

Rozejrzał się po surowych twarzach swoich sędziów. Najgroźniej wyglądała lady Whitmore. Z miejsca wypatroszyłaby go, gdyby mogła. Usiadła jak najdalej od pastora, co nie zmyliło większości obecnych. Monty miał rację - tych dwoje miało się ku sobie. Adrian zastanawiał się, czy nie podnieść tego tematu i w ten sposób nie odwrócić uwagi od własnych przewinień, ale tego zaniechał.

- Co powiesz na swoją obronę, Adrianie?

Ojciec był godnym szacunku starszym panem, mimo że swoją rozwiązłością z okresu młodości mógłby zapewne przyćmić dokonania syna. Adrian domyślił się, że niespodziewaną wizytę rodziców zawdzięcza ojcu chrzestnemu. Skoro tylko Adrian opuścił go z zezwoleniem na przyspieszony ślub w rękę, biskup prawdopodobnie wysłał



umyślnego z listem informującym o czekającym ich ślubie syna. Adrian nie powinien wspominać ojcu chrzestnemu, dokąd z zezwoleniem jedzie, ale nie wydobrzył jeszcze po napaści płatnych zbirów Etienne'a i popełnił błąd.

- Jeśli spodziewacie się, że zacznę się tłumaczyć z rozwalenia łba Etienne'owi, to was rozczaruję - zaczął zaczepnie.

Jeszcze nigdy w życiu nie czuł większej potrzeby wypicia czegoś mocniejszego niż teraz.

- Nie powiesz, że rozwaliłeś mu łeb tą mizerną pukawką, którą miałeś - odparł ze śmiechem markiz.

- Przykro mi, że nie miałem większej.

- Mnie też przykro. Jeszcze bardziej mi przykro, że nie słuchałeś, kiedy cię przed nim przestrzegałem - oznajmił lodowatym tonem Francis Rohan. - Gdybyś trzymał się od niego z daleka, mogłoby do tego nie dojść.

- Jeśli zostałem tu wezwany, by wysłuchiwać uwag typu „a nie mówiłem”, to mam ważniejsze sprawy na głowie. - Adrian podniósł się z krzesła.

Ojciec nie potrzebował słów, przygwoździł go wzrokiem, i Adrian z powrotem usiadł. Był niespokojny o Charlotte. Nie widział jej od momentu wizyty lekarza. Po opatrzeniu rany i zbadaniu orzekł, że jest zdrowa i spodziewa się dziecka. Matka Adriana zastąpiła przy jej łóżku lady Whitmore, jego zaś wyproszono za drzwi, mimo że gorąco pragnął przytulić ją i samemu się przekonać, że jest cała i zdrowa oraz bezpieczna.

Miał jej coś do powiedzenia. To mianowicie, że choć był beużytecznym durniem, ślepym, nieczułym i płytkim, to mimo wszystko ją kocha. Powiedziałby jej to, ale mu nie pozwolili. To był spisek. Musi zainkasować należne cięgi, zanim go do niej dopuszczą.

- Chcę wiedzieć, co zamierzasz w istniejącej sytuacji.

Adrian udał, że nie rozumiał.

- Chodzi ci o kuzyna, ojcze? Zapewne będę musiał stanąć przed miejscowym sędzią.

- Ja jestem miejscowym sędzią - odezwał się Montague. W jego głosie dzwięczała dawna energia. Do biblioteki towarzyszył mu doktor, ale Monty odesłał go zniecierpliwionym ruchem ręki. - Zwalniam cię z odpowiedzialności za jakiegokolwiek przestępstwo.

Jeśli chodzi o Etienne'a de Giverney, to przypuszczam, że na wiejskim cmentarzu znajdzie się miejsce, w którym będzie można pochować jego zwłoki.

- On chyba był katolikiem - wtrącił czujnie pastor. - Jeśli zostanie pochowany na cmentarzu protestanckim, pójdzie do piekła.

- I bardzo dobrze - powiedziała lady Whitmore. - Chętnie pomogę grabarzom kopnąć grób.

- Nie o tym mówię. Co zamierzasz uczynić w związku z młodą kobietą, którą skompromitowałeś? - podjął wątek ojciec.

Z każdym innym Adrian wszcząłby dyskusję, co znaczy termin „kompromitacja”. Może i skompromitował ją w oczach innych mężczyzn, ale to właśnie było jego celem.

- Na wypadek gdybyś nie wiedział już tego od innych, ojcze, pragnę cię poinformować, że próbowałem ją przekonać, aby za mnie wyszła. Mam zezwolenie na szybki ślub i Pagett mógłby nam go udzielić od ręki, ale ona się nie zgadza.

- I któż mógłby mieć jej to za złe?! - wybuchła lady Whitmore. - Trzeba było poprosić ją o rękę w odpowiedni sposób. Czy pan da wiarę, lordzie Haverstoke, że pański syn oświadczył jej, że zamierza się z nią ożenić, ale nie zamierza dochowywać wierności małżeńskiej?!

- Niczego takiego nie powiedziałem - zaprotestował Adrian. - Wspomniałem tylko, że gdy wygaśnie w nas namiętność, będzie mogła czuć się wolna, aby poszukać sobie innej podniety, i ja również. Tak postępują wszyscy w naszej sferze.

- Twoja matka ma inne zdanie na ten temat. Uważam, że mówiąc takie rzeczy, uwłaczasz jej. - Ojciec wstał.

Mimo starości był wciąż imponujący.

Adrian dotrzymał mu pola.

- Nie próbuj mnie, ojcze, przekonywać, że wasze małżeństwo jest typowe. Wasze oddanie sobie jest tak przesadne, że, zdaniem niektórych, nawet w złym tonie.

Ojciec i syn mierzyli się wzrokiem.

- Uważaj, co mówisz, chłopcze.

- Chyba nie spodziewasz się, że uda mi się pójść waszym śladem.

- Niby dlaczego nie? Choć prawdą jest, że żadna kobieta nie może się równać z twoją matką, ufam, iż uda ci się zbliżyć do ideału. Popełniłem w życiu wiele błędów, ale nie uwiodłem niewinnej dziewczyny z dobrego domu.

- Z wyjątkiem mojej matki.

Stary markiz patrzył zimno na syna. Pagett pośpiesznie wkroczył między nich.

- Wydaje mi się, że sytuacja wymaga spokoju - odezwał się modulowanym głosem duchownego. - Wszyscy się zgadzamy co do tego, że chodzi nam o dobro panny Spenser.

- Mnie przede wszystkim - wtrąciła lady Whitmore. - Obawiam się, że pan za chwilę zasugeruje, że ona jest ladacznicą, którą należy umieścić w przytułku dla upadłych kobiet.

Pastor spojrział na nią niemal wrogo.

- Nie powiedziałem tego, lady Whitmore. Nawet pani nie zasługuje na takie miano. - Nie dopuszczał jej do głosu. - Sądzę, że najlepszym dla niej rozwiązaniem byłoby poślubienie wicehrabiego i dlatego zgadzam się dopełnić tej ceremonii. Kościół w wiosce czeka. Jednakże, moim zdaniem, sprawą pierwszoplanową jest, czy panna Spenser tego sobie życzy. Związek do grobowej deski z mężczyzną o charakterze lorda Rohana mógłby być dla niej nie do zaakceptowania.

- Wypraszam sobie! - zaprotestował Adrian.

- Nie potępiajcie Adriana - usłyszeli słaby głos Monty'ego. - Sami nie jesteście bez skazy. Ja wierzę, że Charlotte go zechce.

Adrian miał dość. Co by było, gdyby po prostu wyszedł? Musi się z nią zobaczyć.

- Ona nie musi marnować życia dla niego - odezwała się lady Whitmore. - Możemy osiaść na wsi. Londyn nawet mnie zmęczył. Na wsi obie będziemy szczęśliwe.

- Wolałbym, żeby zamieszkała z naszą rodziną w Dorset - powiedział markiz. - Zgadzam się, nie musi wychodzić za mąż za Adriana. Znajdziemy sposób, aby to wszystko jakoś załatwić.

- Charlotte może zostać tutaj, dopóki ja żyję - zaproponował Montague. - Jak umrę, będzie to zależało od mojego brata.

- Zawsze znajdzie tu dom - obiecał Pagett.

Wszyscy jednocześnie odwrócili się w jego stronę, zdziwieni.

- Dziękuję. - Monty się uśmiechnął. - Byłem przekonany, że mogę na ciebie liczyć.

- To twój brat? - Lady Whitmore domagała się wyjaśnień.

- Przyrodni - odparł Montague. - To mój spadkobierca. Szkoda, że upiera się, by pozostać pastorem, ale nic na to nie poradzę, skoro postanowił prowadzić przyzwoite życie. Poślubisz ją, prawda, Simonie?

Bracia wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Panowało między nimi pełne zrozumienie. Pastor uśmiechnął się melancholijnie.

- Dobrze mnie znasz, bracie. Oczywiście, że poślubię.

Lady Whitmore zerwała się z fotela. Jak na kobietę zazwyczaj umiejętnie ukrywającą uczucia, była wyjątkowo poruszona. Przynajmniej wszyscy przestali nareszcie zajmować się mną, pomyślał zadowolony Adrian. Rozważał, czy nie opuścić tego towarzystwa.

- Pan nie ożeni się z Charlotte! - wykrzyknęła Evangelina Whitmore.

Pastor odwrócił się do niej. Tych dwoje zachowywało się tak, jakby oprócz nich nikogo nie było w pokoju.

- Oczywiście, że nie. Udzielę jej ślubu, ale nie jest to kobieta, z którą zamierzam się ożenić.

Lady Whitmore wcale się nie uspokoiła.

- Więc kim jest ta kobieta?

- To ty, kochanie - uspokajającym głosem powiedział Montague. - On jest w tobie do szaleństwa zakochany, zupełnie jak sztubak. A teraz zajmij miejsce i bądź cicho.

Lady Whitmore usiadła, zwyczajnie brakowało jej słów.

Markiz Haverstoke obserwował tę scenę, uśmiechając się kącikiem ust. Uśmiech zniknął, gdy ponownie zwrócił się do syna.

- Wciąż nie zdecydowaliśmy...

Adrian postanowił położyć kres tej komedii.

- Obawiam się, ojczy, że nie do nas należy decyzja, lecz do Charlotte. Myślę, że już dostatecznie długo nie dopuszczacie mnie do niej.

Wstał i wyszedł, nie oglądając się za siebie. Mógłby przysiąc, że gdy wychodził, usłyszał aprobujące chrząknięcie ojca.

Charlotte leżała w łóżku. Miedziana aureola włosów otaczała jej bladą twarz. Adriana ogarnął strach. Nie była sobą, tą zazwyczaj kipiącą życiową energią kobietą.

Matka oderwała wzrok od robótki i powitała go ciepłym uśmiechem.

- Natarli ci uszu, synu?

- Naturalnie. - Ucałował ją w policzek. Kochał matkę, ale musiał wyprosić ją z pokoju. - Pozwolisz, mamó, że porozmawiam z nią na osobności?

- Proszę nie wychodzić! - krzyknęła Charlotte, ale markiza Haverstoke już wstała.

- Przepraszam, moja droga. Sądzę, że on przyszedł się ukorzyć. Nie powinnaś trać okazji, by mu na to pozwolić.

Chyba rzeczywiście dostał za swoje, pomyślała Charlotte, patrząc na Adriana. W pełni na to zasłużył, ona jednak była w tej chwili skłonna potraktować go bardziej wyrozumiale. Przecież ocalił jej życie. Przetrzymana przez Etienne'a, żałowała, że nie przyjęła oświadczyn i nie będzie miała okazji wziąć tyle, ile się da, z łączącego ich uczucia.

- Przepraszam, że na ciebie krzychałem. Bałem się, że on cię zabije.

- Rozumiem. Powinnam ci podziękować za uratowanie życia.

- To przeze mnie znalazłaś się w niebezpieczeństwie.

Charlotte bolało zranione ramię i zbierało się jej na płacz. Musiała dokończyć rozmowę. Popłacze sobie, jak on wyjdzie.

- Myślę, że spadło na ciebie zbyt wiele oskarżeń naraz - ciągnęła dzielnie. - Nie powinni ci zarzucać, że mnie skompromitowałeś. Nie sprzeciwiałam się.

- Aż do dzisiaj, gdy poprosiłem cię o rękę.

- Prawdę mówiąc, nie prosiłeś mnie o rękę. Oznajmiłeś mi, że się pobierzemy.

- Wiem - przyznał ze skruszoną miną Adrian. - Spartaczyłem to. Chcesz, żebym ukląkł? Zrobię to z ochotą.

- Nie. I tak za ciebie nie wyjdę. Nie potrzebujesz żony, której nie kochasz. Masz dopiero dwadzieścia osiem lat i dużo czasu, aby odpowiednio się ożenić i zapewnić przedłużenie rodziny. To chyba nie będzie twoje pierwsze nieślubne dziecko. - Położyła opiekuńczym gestem rękę na brzuchu.

- Nie mów tak. Byłoby pierwsze, ale nie będzie. Przyjechałem ze zgodą na szybki ślub. Nie miałem pojęcia, że jesteś w ciąży. Już wtedy wiedziałem, że chcę się z tobą ożenić.

- Dlaczego?

- Będziemy doskonałą parą. Nie bądź uparta, przecież mnie kochasz, sama to przyznałaś. Dlaczego nie chcesz wyjść za kogoś, kogo kochasz?

- Bo zasługuję na coś więcej. Zasługuję na porządnego mężczyznę, który mnie pokocha.

Wyciągnął rękę, pogłaskał ją po mokrym od łez policzku. Nawet nie wiedziała, że łzy płyną jej z oczu.

- Nie jestem porządnym człowiekiem, ale kocham cię. I bardzo będę się starał.

Powiedział już wszystko. Położył się obok Charlotte i otoczył ją ramionami.

Wiejski kościółek tonął w kwiatkach. Lina z niespożytą energią zajęła się przygotowaniami do uroczystości ślubnej, cały czas unikając, o ile było to możliwe, Simona Pagetta. Nie rozmawiali ze sobą od czasu niespodziewanej deklaracji Monty'ego. Dla niej nie miało to znaczenia. Ona i tak nigdy nie wyjdzie ponownie za mąż, a już na pewno nie za tego nudnego pastora, który ukrywał przed nią, kim naprawdę jest.

Kusiło ją, by włożyć swoją najbardziej wyzywającą suknię balową, z szokująco głębokim dekoltem. W ostatniej chwili postanowiła jednak tego nie robić. Towarzyszyła Charlotte do ołtarza jako jej drużna. Uroczystość była krótka i wzruszająca. Markiza Haverstoke płakała ze szczęścia, nawet markiz wyglądał na uradowanego. Lina sugerowała, by odłożyć ślub o dzień czy dwa, lecz Adrian oznajmił, że nie opuści łóżka Charlotte. Natomiast Simon oświadczył, że nie będzie tolerował życia bez ślubu pod dachem, pod którym przebywa. Nagle wszyscy doszli do wniosku, że najlepiej nie zwlekać i zorganizować uroczystość, zanim Charlotte zmieni zdanie.

Z kościoła wszyscy ruszyli w drogę powrotną do Hensley Court, gdzie zapewne udadzą się do swoich pokojów. Lina miała inny plan. Trzymała się w tyle dopóty, dopóki ostatni goście nie odjechali. Pragnęła uniknąć *tête-à-tête* z pastorem. Wiedziała, że Mon-



ty ma specyficzne poczucie humoru, ale nie podejrzewała, że Simon mógłby je podzielać. Ciągłe nie mogła uwierzyć, że on i Monty są braćmi.

Widziała, jak wspinał się do powozu chorego brata, i ukryła się w cieniu. Został jeszcze jeden mały pojazd. Zamierzała odczekać po to, by nikt nie zauważył jej powrotu do Hensley Court.

- Zastanawiałem się, kiedy wreszcie pani się wyłoni - dobiegł ją głos Pagetta.

- To był długi i męczący dzień - odpowiedziała, starając się skrywać nerwowość. - Proszę nie zaczynać od nowa.

Patrzył na nią wyrozumiale.

- Wydaje mi się, że zaczęliśmy parę tygodni temu, niezależnie od tego, czy pani to zauważyła, czy nie.

Ujął jej rękę. Wiedziała, że powinna mu ją wyrwać, ale ani ona, ani on nie mieli rękawiczek. Wieczór był chłodny, a dłoń pastora ciepła.

- Lady Whitmore - zwrócił się do niej - zrobi mi pani zaszczyt i zostanie moją żoną?

- Żoną pastora? Ja? Pan chyba postradał rozum. Zgorszeni parafianie wypowiedzą panu posłuszeństwo.

- Dobrą stroną mojej sytuacji jest to, że jako dziedzic majątku nie muszę nikogo słuchać. Jeśli parafianie będą mieli z tym jakiś problem, wygłoszę kilka kazań o chrześcijańskim nakazie wybaczenia grzechów i zapytam, kto pierwszy rzuci kamieniem.

- Nawet jeśli weźmie pan za żonę Marię Magdalenę?

Uśmiechnął się ciepło.

- Doprawdy? Cieszę się, że jest pani rozsądniejsza od swojej kuzynki. Obawiam się jednocześnie, że czeka panią jeszcze długa droga, zanim będzie pani mogła porównać się do Marii Magdaleny. Ona skończyła jako święta, jak zapewne pani wiadomo.

Pocierał kciukiem palce Liny i ta niewinna pieszczota wydała się jej mocno erotyczna. Dlaczego właśnie ten mężczyzna tak na nią działa? - zadała sobie w duchu pytanie. Dlaczego tylko on potrafi ją poruszyć?

- Nie chciałam ponownie wyjść za mąż - odezwała się cicho.

- Dlaczego?

- Bo nie cieszy mnie perspektywa łoża małżeńskiego. - Tak, taka była smutna prawda.

Zmieszał się.

- To dlaczego, jak by to określić, dlaczego pani tyle eksperymentowała?

- Miałam nadzieję, że się mylę. Ale tak nie jest. Dotknięcie mężczyzny nie robi na mnie wrażenia. Pozostaję zimna. Pan mnie na pewno nie zechce, jeśli nie będzie gotowy zadowolić się małżeństwem bez pożycia.

- Moja droga Lino, małżeństwo bez pożycia jest śmiertelnie nudne. Jeśli myślisz, że nie lubisz się kochać, to spróbuj mi zaufać. Moje dawne grzechy przydadzą się na coś. Potrafię cię przekonać do zmiany zdania.

Patrzyła długo, nic nie mówiąc. To niewyobrażalna głupota, ale ona była przecież głupia.

- Możesz spróbować - rzekła wreszcie.

- To znaczy, że wyjdiesz za mnie?

Westchnęła głęboko i wypowiedziała słowa, o których sądziła, że nigdy nie przejdą jej przez gardło.

- Tak, wyjdę za ciebie.

Adrian siedział w ławce kościelnej. Tuż przy nim miejsce zajmowała Charlotte. Po trzech tygodniach wrócili do Hensley Court. Byli świadkami ślubu Liny i Simona Pagetta. Adriana nie opuszczało poczucie szczęścia, ten nieprawdopodobny stan wydawał mu się jego stanem stałym. Charlotte wyzdrowiała po postrzale. Zdarzało się, że w nieodpowiednich momentach objawiała nieznośną tendencję do wypominania mu, ile wycierpiała, ale on się tym nie przejmował. Wciąż nie mogli się sobą nacieszyć w łóżku. Adrian gotów byłby się założyć, że nie znudzą się sobie nawzajem przez następnych dwieście lat. Oparła mu głowę na ramieniu. Objął ją i jeszcze mocniej przygarnął do siebie.

- Myślisz, że będą tacy szczęśliwi jak my? - szepnęła.

- Nikt nie będzie taki szczęśliwy jak my. Nawet moi rodzice - odrzekł z powagą.

Spojrzał czule na matkę. Po jej radosnej twarzy spływały łzy szczęścia. Matka zawsze płakała na ślubach. Ich ślub też praktycznie cały przepłakała.

- Lina wygląda na szczęśliwą, prawda? Panikowała i nagle dzisiaj rano się uspokoiła. Nie mam pojęcia, skąd ta zmiana. Myślałam, że będę musiała siłą ciągnąć ją do ołtarza.

Ukradkiem muskał palcami jej szyję. Miała taką delikatną skórę.

- Wytłumaczę ci to bez trudu. Widziałem, jak wczesnym rankiem opuszczała sypialnię Pagetta z uśmiechem na twarzy. Wydaje mi się, że skłoniła go do przyspieszenia nocy poślubnej. Nasz pastor nie jest widocznie taki zasadniczy, za jakiego pragnąłby uchodzić.

Złożył delikatny pocałunek na jej skroni.

- Któż potrafiłby się oprzeć urokowi Liny?

- Ja na pewno - szepnął, muskając ustami wargi Charlotte.

Nie potrafił zrozumieć, dlaczego jego ukochana żona wciąż potrzebowała zapewnień o miłości, ale był szczęśliwy, że może ich nie skąpić. Była wspaniała i niezmiennie ją kochał.

Usłyszał chrząknięcie ojca. Rodzic karmił go wzrokiem za szeptem w kościele. Matka wzięła go za rękę, żeby odwrócić jego uwagę od wykroczenia syna. Adrian po raz pierwszy rozumiał co naprawdę łączyło rodziców.

Co do jednego, jego niezrównany ojciec się pomylił.

On i Charlotte będą tacy szczęśliwi, tacy zapatrzeni w siebie, przez resztę życia. Prawdę mówiąc, już byli.

